KLAUDIA MUNIAK

POD DACHEM Z MORDERCĄ

TRAUMA Z DZIECIŃSTWA NIE ZNIKA, GDY STAJEMY SIĘ DOROŚLI.
PRZERADZA SIĘ W COŚ ZNACZNIE GORSZEGO.

KLAUDIA MUNIAK

POD DACHEM Z MORDERCĄ

CZWARTA STRONA

Copyright © Klaudia Muniak, 2024
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2024

Redaktorka prowadząca: Anna Rychlicka-Karbowska
Marketing i promocja: Marta Kujawa
Redakcja: Aleksandra Deskur
Korekta: Marta Akuszewska, Anna Nowak
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl
Projekt okładki i stron tytułowych: Magda Bloch
Fotografia na okładce: © Lea | Adobe Stock
Fotografia autorki: © Marta Machej
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-68045-64-2

CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26

27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
EPILOG
POSŁOWIE
Wywiad

1

Stukot klawiatury niesie się po domu. Odbija się echem od twardych posadzek i pustych ścian, których nie mam zamiaru obwieszać zbędnymi bibelotami. Kocham tę przestrzeń, wyłożoną kamieniem i betonem. Na pierwszy rzut oka wygląda na zimną i surową. W rzeczywistości to najcudowniejsze miejsce na ziemi, które daje mi to, co jest dla mnie najważniejsze: poczucie bezpieczeństwa.

Pracę przerywa mi dzwonek do drzwi. Zanim podniosę się z krzesła, odzywa się ponownie. Kiedy z kolei przechodzę do korytarza, rozlega się głośne pukanie. Wzdrygam się, bo nie spodziewam się gości, a kurier czy ankieter nie dobijałby się przecież tak zawzięcie. Jedno jest pewne: ktoś, kto stoi po drugiej stronie, bardzo się niecierpliwi.

– Policja! – Nim zdążę przekręcić klucz w zamku, słyszę męski głos.

Moja dłoń odruchowo wędruje na klatkę piersiową i zaciska się na masywnym krzyżu. Rzadko się z nim rozstaję, zdejmuję wisior właściwie jedynie na czas kąpieli. Spanie z nim bywa niewygodne, ale weszło mi w nawyk tak bardzo, że gdy nie mam krzyża na sobie, trudno mi zasnąć.

– Proszę otworzyć drzwi. – Pukanie zmienia się w zwyczajne walenie pięścią.

Włoski na karku stają mi dęba, a serce zaczyna niespokojnie kołatać. Przyszli po mnie? Po tylu latach?

Ściskam mocniej metalowy krzyż. Dawniej nieustannie się tego obawiałam. Małżeństwo z Maurycym przyćmiło tamten strach, w pewnym momencie uznałam nawet, że mi się upiekło.

– Halo, pani Soboń, jest pani w domu? – Znów dobiega mnie niski głos.

Znają moje nazwisko, więc nie mogę się łudzić, że to przypadkowa wizyta. Chłodny metal krzyża boleśnie wbija mi się w palce, czuję się jak sparaliżowana, nie jestem w stanie choćby drgnąć. Naprawdę poczułam się bezpieczna, uległam myśli, że tamto już mnie nie dotyczy. Wygląda na to, że popełniłam duży błąd.

– Halo, jest tam ktoś? – Dzwonek rozbrzmiewa jeszcze raz, a po nim rozlega się walenie do drzwi. – Pani Soboń, proszę otworzyć! W przeciwnym razie będziemy zmuszeni wejść do domu siłą. – Dudnią kolejne uderzenia. Jedno z nich mnie cuci, przekręcam klucz.

Do domu natychmiast wpada kilku mężczyzn. Nie zwracają na mnie większej uwagi, jeden z nich prawie mnie taranuje.

– Komisarz Łukasz Jankowski, Komenda Wojewódzka Policji – rzuca postawny facet, wymachując mi przed nosem jakimś dokumentem. Kolejne słowa policjanta trafiają w próżnię, wychwytuję tylko jedno z nich. Nakaz.

Dopadli mnie. Nogi mam jak z waty, niemal czuję zaciskające się na moich nadgarstkach kajdanki. Jednak mężczyzna chowa dokument i wolną ręką wskazuje w stronę schodów. Na górę w błyskawicznym tempie rusza dwóch uzbrojonych policjantów, jeden z nich przewraca po drodze donicę z figowcem. Brzęk tłuczonej ceramiki zagłusza skrzypienie drzwi. Obracam się i widzę, że dwóch kolejnych funkcjonariuszy wychodzi na taras.

– Gdzie jest pani mąż? – słyszę.

Wracam spojrzeniem do faceta, który najwyraźniej jest tutaj szefem.

– Pani Soboń, gdzie on jest? – powtarza.

– M-Maurycy? – wyduszam z największym trudem.

– Tak. Gdzie jest pani mąż? – Policjant świdruje mnie twardym spojrzeniem.

– W pracy – dukam.

– Zapewniam panią, że nie, nie ma go w szpitalu.

– Jak t-to? – jąkam się, skrajnie oszołomiona sytuacją. Poluzowuję przy tym chwyt, palce, które do tej pory zaciskam na krzyżu, mam mokre od potu. – Wyszedł rano do pracy, pojechał do szpitala – wyjaśniam.

– Dół czysty – słyszę za sobą.

– W ogródku czysto! – meldują funkcjonariusze, którzy przed chwilą wyszli na taras.

Szef ekipy ponownie przeszywa mnie spojrzeniem.

– Gdzie jest pani mąż? – pyta po raz kolejny.

– Nie wiem. – Głos mi drży.

– Jest tu piwnica? – pada następne pytanie.

– Nie. Nie mamy piwnicy.

Facet zaciska usta, wygląda na wkurzonego, a jednocześnie na jego twarzy maluje się rozczarowanie.

A jednak wcale nie przyszli tu po mnie.

– Gdzie jest Maurycy? – pytam, bo z jakiegoś powodu właśnie o niego im chodzi.

– Liczyłem, że pani mi to powie. – Mężczyzna dosłownie miażdży mnie wzrokiem.

– Czy coś... – zaczynam, ignorując całą złość, którą ma w oczach. Teraz najważniejszy jest Maurycy. – Czy coś mu się stało?

Policjant głośno prycha. Macha przy tym ręką, a jego ludzie zaczynają dosłownie patroszyć mój dom. Otwierają szafki i szuflady, zupełnie jakby w którejś z nich mógł zmieścić się człowiek. Zaglądają w kolejne kąty, robi się straszny harmider.

– Szefie! – rozlega się wołanie z góry. – Musi szef tu przyjść. – Ze sposobu, w jaki niesie się głos, wnioskuję, że policjanci są na poddaszu.

Komisarz idzie w stronę schodów. Ruszam za nim, ale jeden z funkcjonariuszy mnie zatrzymuje.

– To mój dom – rzucam z butą, która zaskakuje nawet mnie. – Chyba mam prawo wiedzieć, co w nim robicie!

Jankowski spogląda na mnie przez ramię.

– Mam prawo wiedzieć, czego szukacie – dodaję.

– Pani męża, pani Soboń – odpowiada policjant, po czym szerokim gestem dłoni wskazuje, żebym szła pierwsza.

Ruszam na górę, gdzie urządziliśmy gabinet Maurycego. Serce bije mi szybko i niespokojnie, trzewia palą nieprzyjemnym ciepłem. Usiłuję przypomnieć sobie, kiedy ostatnio byłam na poddaszu. Nie przepadam za tym pokojem, właściwie unikam przebywania w nim.

Jeszcze zanim przekroczę próg gabinetu, widzę funkcjonariuszy rozglądających się płochliwie po regałach i ścianach pomieszczenia. Komisarz wchodzi tuż za mną i niemal natychmiast w jego oczach pojawia się ten sam lęk. Sama spoglądam na biurko, na którym widzę ludzką kończynę: umięśnione ramię i kościstą dłoń zakończoną drobnymi paliczkami.

– Co to, kurwa, jest? – wymyka się z ust jednemu z policjantów.

– Prace Maurycego – odpowiadam prawie szeptem.

2

Pomieszczenie, do którego mnie zaprowadzono, nie bardzo przypomina pokoje przesłuchań, jakie znam z filmów i seriali. Jest tu zwyczajnie. Ani przyjemnie, ani przerażająco. Brak małego zakratowanego okna, ale za to chyba jest tu lustro weneckie. Krzesło, na którym siedzę, wcale się nie chybocze, wręcz przeciwnie – wydaje się całkiem solidne. Biurko przede mną zresztą też.

Przyniesiono mi wodę, jednorazowy kubek stoi tuż przede mną, ale nie wzięłam nawet łyka. Czuję, że nie zdołam nic przełknąć, a poza tym nie chcę dostarczać policji próbki swojego DNA. Wydaje się, że wcale nie chodzi tu o mnie, lecz lepiej dmuchać na zimne, na wypadek gdyby się okazało, że przeszłość jednak mnie dopadła.

Nieustannie myślę o Maurycym.

Jest anestezjologiem. Dzisiejszy poranek nie różnił się niczym od poprzednich. Zjedliśmy razem śniadanie, wypiliśmy kawę, potem mąż pognał samochodem na dyżur, a ja usiadłam do komputera.

Zerkam na komórkę. Wybudzam aparat, by nie przegapić powiadomień. Nie mam żadnego. Nie jest to niezwykłe, Maurycy nie ma czasu pisać ani tym bardziej dzwonić, kiedy jest na oddziale. Tyle że dziś chyba go tam nie ma… Tak przynajmniej powiedzieli mi policjanci. Nie usłyszałam jednak najgorszego. Gdyby Maurycemu coś się stało, gdyby… Myśl o stracie męża nie chce wybrzmieć w mojej głowie.

Maurycy żyje, gdyby było inaczej, dawno by mi już o tym powiedzieli. Żyje. To najważniejsze. Kurczowo się tego trzymam, usiłując jednocześnie zrozumieć, co się, do cholery, wydarzyło. Łupie mnie w czaszce od domysłów, między którymi stale czai się poczucie,

że wszystko, co się teraz dzieje, to tylko zasłona dymna. Że tak naprawdę chodzi im jednak o mnie.

Zaczynam masować skronie, kiedy do pokoju wchodzi policjant. To ten sam, który podczas przeszukania dowodził resztą ekipy. Próbuję przypomnieć sobie, jak się nazywa. Nic z tego. Pamiętam tylko, że jest komisarzem.

Facet siada naprzeciwko mnie i zaczyna mi się czujnie przyglądać. Patrzy na mnie jak na przestępczynię. Drga mi dłoń, znów chcę zacisnąć palce na metalowym krzyżu, ale udaje mi się powstrzymać ten odruch.

– No dobrze… – odzywa się policjant. – Mąż się z panią nie kontaktował? – Wskazuje ręką na moją komórkę.

– Nie – odpowiadam, starając się wziąć w garść. – Ale nigdy tego nie robi, kiedy jest w pracy – dodaję. – Nie ma na to czasu.

– Pani męża nie ma teraz w szpitalu.

Kiedy ponownie słyszę to stwierdzenie, zaciskam usta. Skoro Maurycego nie ma ani w pracy, ani w domu, to gdzie jest?

Werbalizuję swoje myśli.

– Myślałem, że to już ustaliliśmy: to ja usiłuję dowiedzieć się od pani, gdzie jest pani mąż.

Otwieram usta, ale nie wypowiadam ani słowa. Głos komisarza jest szorstki i nieprzyjemny, pełen pretensji. Nie rozumiem tego.

– Maurycy wyszedł rano do pracy. – Postanawiam coś jednak powiedzieć. – Jak co dzień. I jak co dzień miał wrócić wieczorem do domu. Jak na pana patrzę, to boję się, że tak się jednak nie stanie.

Mężczyzna nic nie mówi. Mdli mnie jeszcze bardziej.

– Proszę mi powiedzieć, co się stało – odzywam się ponownie.

Policjant wpatruje się we mnie z kamiennym wyrazem twarzy i kręci młynka palcami.

Podpieram czoło na ręce, głowa tak mnie boli, że chyba mi zaraz pęknie. Wzdycham przy tym głośno.

– Dobrze, przyjmijmy, że nic pani nie wie…

Unoszę spojrzenie na funkcjonariusza.

– Na przestrzeni ostatnich sześciu miesięcy doszło na terenie Krakowa do kilku zaginięć – mówi. – Dokładnie czterech osób. To ludzie w różnym przedziale wiekowym, trzy kobiety i jeden mężczyzna.

Marszczę czoło, bo nie mam pojęcia, dlaczego funkcjonariusz o tym wspomina. Oczywiście słyszałam o zaginięciach, o których mówi, żyje nimi już nie tylko Kraków, ale też cała Polska.

– Jeden z zaginionych właśnie się odnalazł – oświadcza komisarz.

Otwieram szeroko oczy ze zdziwienia. Oglądam serwisy informacyjne regularnie, ale tej rewelacji nie słyszałam. Nie wiem, czy ją przegapiłam, czy może nie podano jej jeszcze do publicznej wiadomości.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego z Maurycym – odzywam się, kiedy policjant nic więcej nie mówi.

– Historia tego człowieka jest więcej niż zaskakująca, bo… – Mundurowy zawiesza na moment głos. – Przed zaginięciem był to zdrowy, silny mężczyzna, a został znaleziony… w kiepskim stanie. Doznał poważnego paraliżu.

– Zaraz, zaraz… – wchodzę policjantowi w słowo. – Ale co to ma wspólnego z Maurycym?

Policjant przypatruje mi się surowo, znów kręcąc młynka palcami.

– No proszę mi to wyjaśnić! – podnoszę głos. – Bo ja zupełnie nie rozumiem, o czym pan do mnie mówi.

– Mamy podstawy, by sądzić, że sprawcą zaginięć jest pani mąż.

Nagle huk, który do tej pory rozsadzał mi głowę, ustaje. W ułamku sekundy robi się w niej cicho jak makiem zasiał.

– Chyba się panu coś pomyliło – mówię twardym tonem. – Mój mąż to szanowany lekarz. Dobry człowiek.

Policjant unosi dłoń, jakby chciał mnie uciszyć.

– Oczernia pan mojego męża i jeszcze oczekuje, że będę milczeć?! – grzmię.

– Powiedziałem, że mamy podstawy, to znaczy dowody.

Prycham kpiąco pod nosem. Słowo daję, to jakaś farsa.

– Czy to telefon pani męża? – Policjant podsuwa mi iPhone'a. Nie mam pojęcia, gdzie wcześniej go trzymał, bo dopiero teraz go zauważyłam. – Śmiało, może pani wziąć do ręki. Wszelkie analizy zostały już wykonane.

Ani drgnę. Nie wiem, co ten facet chce mi wmówić, ale nie uda mu się nastawić mnie przeciwko Maurycemu.

– No proszę bardzo, proszę obejrzeć ten telefon.

– Nie będę brać udziału w żadnych tego typu gierkach. Proszę powiedzieć mi, gdzie jest Maurycy!

– Właśnie to próbujemy ustalić.

– Nie aresztowaliście go?

– Nie. Choć bardzo bym tego chciał.

Następuje chwila ciszy, podczas której decyduję się sięgnąć po telefon.

Model i kolor aparatu się zgadzają, właśnie takiego telefonu używa mój mąż. Unoszę komórkę i w jednej chwili wiem, że to smartfon Maurycego. Zdjęcie ustawione jako tapeta to nasza wspólna fotka z ostatnich wakacji, spędziliśmy je na Wyspach Zielonego Przylądka. Upewniam się, gdy po odblokowaniu telefonu widzę kolejną wspólną fotografię, także z tego wyjazdu. Zresztą wpisałam kod, którym Maurycy się posługiwał, więc, cholera, to naprawdę jest jego telefon.

– Skąd go pan ma? – pytam.

Policjant unosi jedną brew, zapewne dlatego, że zabrzmiałam, jakbyśmy się właśnie zamienili rolami.

– Ma pan telefon Maurycego, musi więc pan wiedzieć, gdzie on jest! – Nie przejmuję się niezadowoleniem mężczyzny. – Drwi sobie pan ze mnie czy co?

– W pamięci telefonu znaleźliśmy bardzo interesujące fotografie. – Funkcjonariusz bez ogródek przejmuje ode mnie komórkę Maurycego. – Są tu zdjęcia zaginionych. Wszystkich czterech osób.

– Nie rozumiem. – Kręcę głową, na nowo robi się w niej głośno jak w ulu.

– Nie powinienem wchodzić w szczegóły ani czegokolwiek pani pokazywać, ale… – Policjant szuka czegoś w komórce. – Proszę spojrzeć na to zdjęcie. – Podsuwa mi aparat pod nos.

Na wyświetlaczu widzę łóżko, które przypomina te spotykane w szpitalach i innych placówkach zdrowia publicznego. Ktoś na nim leży. Ujęcie pozwala stwierdzić, że to człowiek, mężczyzna, jednak nie widać wyraźnie jego twarzy.

– To absurd! – wybucham. – Po co Maurycy miałby mieć takie zdjęcie w swoim telefonie?!

Usiłuję sobie przypomnieć, kiedy ostatnio trzymałam w rękach komórkę męża. Kilka dni temu zamawiałam pizzę z jego aplikacji, to tyle. Nie miałam w zwyczaju przeglądać zawartości jego telefonu, podobnie jak Maurycy mojego. Przez myśl by mi nie przeszło, żeby sprawdzać jego Messengera czy WhatsAppa ani tym bardziej galerię zdjęć. Darzymy się wzajemnym zaufaniem, nie mamy nic do ukrycia.

No prawie, poprawiam się w myślach. Tym razem nie udaje mi się powstrzymać odruchu, unoszę dłoń i zaciskam palce na metalowym wisiorze.

– Są tu zdjęcia wszystkich zaginionych osób – oświadcza tymczasem policjant. – W tym mężczyzny, którego ostatnio udało się odnaleźć.

– Nie rozumiem, co to wszystko ma znaczyć – dukam.

Funkcjonariusz wydyma usta, nie przestaje przy tym świdrować mnie nieufnym spojrzeniem.

– Też do końca tego nie rozumiemy. – Zawiesza na chwilę głos. – Wiemy natomiast, że pani mąż uprowadził cztery osoby. Nie mamy pojęcia, co się stało z trzema, ale zdjęcia, które są w tym telefonie,

z całą pewnością przedstawiają właśnie tych ludzi. Zakładamy, że pani mąż poczuł się zbyt pewnie, stąd to wszystko. To się zdarza w przypadku seryjnych sprawców.

– Seryjnych sprawców? – powtarzam, zdezorientowana do granic możliwości. – Maurycy nie może być żadnym seryjnym mordercą, do diabła! Co pan w ogóle opowiada?! Proszę natychmiast przestać!

– Celowo użyłem określenia „sprawca", a nie „morderca", bo człowiek, który się odnalazł, żyje. Niewykluczone, że pozostałe osoby również.

Puszczam miedziany krzyż i zaczynam uciskać skronie, gdyż ból głowy nieznośnie się wzmaga.

– Mężczyzna, którego znaleziono, nie doznał żadnych znaczących obrażeń. Jego ciało... Hmm, jak by to dobrze ująć, nie zostało okaleczone... w sposób mechaniczny. Doznał natomiast poważnego upośledzenia, czegoś przypominającego porażenie mózgowe.

– Nie rozumiem – odpowiadam.

– Przed zaginięciem był to w pełni zdrowy i fizycznie, i umysłowo mężczyzna, w tej chwili to człowiek całkowicie sparaliżowany.

– Nadal nie rozumiem! – wykrzykuję. Jest mi koszmarnie gorąco, pocę się i denerwuję.

– Przeprowadzone badania wskazują na to, że mózg tego mężczyzny doznał dłuższego niedotlenienia. Nie wiemy natomiast, jak do tego niedotlenienia doszło. Nic nie wskazuje na to, żeby ten człowiek był duszony, podtapiany czy w jakiś inny sposób pozbawiony dostępu do powietrza.

– To co mu się stało?

– Właśnie tego próbujemy się dowiedzieć.

PIĘĆ LAT PÓŹNIEJ

3

Nie dowiedziano się, co spotkało tamtego mężczyznę, nie udało się także namierzyć trzech pozostałych kobiet. Nie znaleziono też Maurycego.

Nie mam pojęcia, co się stało z moim mężem, gdzie jest, dlaczego zniknął i czy w ogóle żyje, ale wiem jedno: policja nie ma racji. Maurycy nikogo nie zabił. Chociaż precyzyjniej byłoby powiedzieć, że nikogo nie skrzywdził, bo przecież tamten mężczyzna żyje, a los pozostałych zaginionych wciąż jest nieznany.

Nie jestem jedną z tych żon ślepo zapatrzonych w męża, naiwnie przekonanych o nieskazitelności drugiej połówki. Maurycy miał wady, popełniał błędy, nie wykluczam, że nawet zrobił coś, do czego nigdy by mi się nie przyznał, ale nie niszczył życia. Maurycy to życie ratował. Zawsze.

Dlatego ciągle tu mieszkam, w naszym domu, we wnętrzach, które razem urządziliśmy. Obok tych samych sąsiadów. Pomimo upływu czasu pamięć o wydarzeniach sprzed pięciu lat wciąż jest żywa. Teraz już nikt wprost mi o nich nie przypomina, ale ja dostrzegam detale, które świadczą o tym, że ludzie wciąż myślą o mnie w ten sam sposób. Chyba już zawsze będą mnie postrzegać jako żonę Sobonia. Żonę potwora.

Z pewnością łatwiej byłoby się stąd po prostu wynieść. Tyle że moja wyprowadzka oznaczałaby kapitulację. A do tego nigdy nie dojdzie. Nie przestanę wierzyć w niewinność Maurycego.

Poznaliśmy się jeszcze na studiach. Ujął mnie łagodnością i empatią wobec każdej żywej istoty. Mąż nie skrzywdziłby nawet

muchy. Więcej, postanowił zostać lekarzem, by nieść pomoc i ratować życie. To wspaniały człowiek. I choć zdarzało się, że wkurzały mnie jego częste nieobecności w domu, to tak naprawdę w pełni wszystko rozumiałam. Maurycy był światu zwyczajnie potrzebny, był lekarzem z prawdziwego powołania.

Jest mi ciężko bez niego. Mieliśmy przed sobą całe życie, plany, chcieliśmy mieć dwoje dzieci. Kochałam… kocham go.

Chyba najtrudniejsza jest niepewność. Są dwie możliwości. Albo Maurycemu przytrafiło się coś w ogóle niezwiązanego z całą tą serią zaginięć, jakiś nieszczęśliwy wypadek, o którym nie było mi dane się dowiedzieć, albo Maurycy… podzielił los tamtych ludzi. Stał się, tak jak oni, ofiarą. Boli mnie, że policja nie bierze pod uwagę żadnej z tych opcji.

Ciągle pracuję zdalnie. Tuż po zniknięciu Maurycego było mi to bardzo na rękę. Każde wyjście z domu wiązało się z nieprzychylnymi spojrzeniami. Najczęściej ludzie patrzyli na mnie z jawną wrogością, oskarżycielsko. Niektórzy nawet z pogardą, czystą nienawiścią. Ale byli też tacy, który przyglądali mi się z zaciekawieniem. Nie spotkałam się natomiast ze współczuciem, nikogo nie obchodziło, co przeżywam. Ani to, czy Maurycy faktycznie zrobił coś złego.

Czasem dopada mnie bolesne przekonanie, że zniknięcie Maurycego to swoista karma. Że właśnie w taki sposób dosięgła mnie sprawiedliwość.

Mogłabym wrócić do pracy w biurze, ale tak bardzo przyzwyczaiłam się do trybu zdalnego, że nawet nie myślę o zmianie. Jestem tłumaczką. Kiedy w szkole średniej okazało się, że mam dryg do języków obcych, poszłam w tym kierunku. Zawdzięczam to przede wszystkim nauczycielce języka angielskiego, bo to właśnie ona mi uświadomiła, że moją drogą powinna być lingwistyka. Znam biegle angielski i niemiecki, tłumaczę różne teksty, dokumenty i oficjalne pisma. Zdarzyło mi się nawet przełożyć książkę z niemieckiego. Wprawdzie nie sprzedała się w oszałamiającym nakładzie, ale jestem

duma z tego zlecenia. Mam tylko nadzieję, że do porażki powieści na polskim rynku nie przyczyniło się moje tłumaczenie.

Zaglądam do lodówki, świeci pustkami. Kiedy włączam ekspres, okazuje się, że i kawa się skończyła. Nie mam wyjścia, zanim usiądę do pracy, muszę wyskoczyć do sklepu. Od najbliższego supermarketu, w Modlnicy, dzielą mnie nieco ponad trzy kilometry.

Maurycy lubił robić ze mną zakupy. O ile nie przepadał za wyprawami do sklepów z odzieżą, o tyle chętnie decydował, jakie produkty spożywcze trafiały do naszej kuchni. Miał fioła na punkcie zdrowej żywności, ja z kolei od zawsze lubiłam wsunąć coś, co niekoniecznie było odżywcze. Często żartował, że musi mnie pilnować, żebym nie nakupowała badziewia. Pasowało mi to, uwielbiałam, gdy tłumaczył mi, dlaczego coś powinnam jeść, a z czegoś jak najszybciej zrezygnować.

Parkuję przed sklepem, wchodzę do środka i sprawnie wybieram to, czego potrzebuję. Kolejka do kas samoobsługowych jest dziś niewiarygodnie długa, postanawiam więc wyjątkowo skorzystać ze standardowego stanowiska.

Kasjerka skanuje produkty klientki przede mną, ja wykładam swoje zakupy na taśmę. Kiedy koszyk mam już pusty, zauważam, że ekspedientka zerka w moją stronę. Raz, potem drugi i jeszcze trzeci. Po kolejnym ukradkowym spojrzeniu sprawdzam, czy nie mam brudnego ubrania, dotykam włosów, czy gdzieś mi coś nie sterczy. Spoglądam nawet w aluminiową rurkę przy kasie, w której odbija się moja twarz, ale nie wygląda na to, że rozmazał mi się makijaż. A mimo to kobieta znów na mnie spogląda, pospiesznie, krótko, tak żebym tego nie zauważyła. Ale ja to widzę. Widzę również to, że posyła wymowne spojrzenie klientce, którą właśnie obsługuje, na co ta także zerka w moją stronę. Niby przypadkiem, płochliwie.

Robi mi się ciepło od środka, moje tętno przyspiesza, a nogi dziwnie miękną. Znam to uczucie. Bardzo dobrze je znam. Ale od dawna już go nie doświadczyłam. Robię zakupy w tym samym

markecie, do którego jeździliśmy razem z Maurycym, pojawiałam się w nim także po jego zaginięciu. Nie od razu, jednak stosunkowo szybko zaczęłam wychodzić z domu. Zaraz po tym, jak zrozumiałam, że tylko konfrontując się z sytuacją, potwierdzę swoje przekonanie o niewinności męża. Wtedy wciąż na mnie zerkano tak, jak teraz robi to ta ekspedientka.

Zadzieram wyżej podbródek, dbam o to, żeby nie zacisnąć ust. Grunt to nie pokazywać swojego zdenerwowania. Z czasem nauczyłam się tego, że tylko z wysoko uniesioną głową można stawić czoła oszczerstwom. Jeśli hieny zwęszą twój strach, pożrą cię.

– Dzień dobry – odzywam się, kiedy ekspedientka zaczyna kasować moje zakupy.

– Dzień dobry – odpowiada. Teraz, gdy stoję tuż przy niej, w ogóle na mnie nie patrzy. Typowe. Właśnie tak zwykle to wyglądało.

Dreszcz przebiega mi po plecach. Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz byłam wytykana palcami. Nie dano mi spokoju z dnia na dzień, oczywiście, że nie, ale od dłuższego czasu już nikt nie pluje mi w twarz.

– Dwieście trzydzieści dwa osiemdziesiąt cztery – informuje sprzedawczyni, nadal na mnie nie patrząc.

– Kartą, proszę – rzucam.

Kobieta wciska coś na kasie, nic nie mówi, a ja przykładam kartę do terminala. Transakcja zostaje zaakceptowana. Wkładam do siatki ostatnie produkty, ekspedientka już zaczyna obsługiwać kolejnego klienta. Kiedy jestem bliska przekonania samej siebie, że tylko niepotrzebnie coś sobie wkręcam, kobieta rzuca mi spojrzenie, które nie pozostawia najmniejszych złudzeń. Spogląda na mnie jak na… żonę potwora.

Odchodzę od kasy, nie pożegnawszy się ze sprzedawczynią, ona natomiast spogląda na mnie jeszcze raz. Czuję jej wzrok na plecach, kiedy wychodzę ze sklepu. Ściskam mocniej siatki z zakupami. Może pracuje tu od niedawna. Albo po prostu dopiero się dowiedziała, że

w okolicy mieszka żona Sobonia, tego lekarza, co miał uprowadzać swoich pacjentów, no i mnie rozpoznała. Fakt, ekspedientka wyglądała na młodą osobę, dałabym jej najwyżej dwadzieścia dwa lata. Pewnie kiedy była jeszcze nastolatką, niespecjalnie interesowała się tego typu aferami.

Wsiadam do samochodu, kładę ręce na kierownicy i biorę głęboki wdech. Szybko odzyskuję równowagę, bo już pogodziłam się z tym, że tak będzie zawsze. W każdym momencie mogę trafić na kogoś, kto przypomni sobie, kim jestem. A raczej – kim wszyscy myślą, że jestem. W końcu Maurycy nie zrobił nic złego.

Wracam do domu. Po rozpakowaniu zakupów podlewam jeszcze kwiaty. W salonie mieszkają dwa fikusy, monstera i kilka dracen, w części jadalnej panoszy się filodendron pnący. Podarował mi go Maurycy.

Siadam wreszcie do pracy. Mam sporo tłumaczeń na dziś, zabieram się do kolejnych dokumentów, a poranna wyprawa do sklepu szybko przestaje zaprzątać mi głowę. Mijają kolejne godziny.

Późnym popołudniem, kiedy za oknem jest już ciemno, chrzęści klucz w zamku. Jak zwykle nasłuchuję uważnie. Wiem, że po odgłosie stawianych kroków poznałabym, że to Maurycy wchodzi do domu. Ten odruch zdaje się bezwarunkowy. Chyba podświadomie, nieśmiało i po cichu liczę, że któregoś dnia mąż wróci. Stanie przede mną, rozłoży ramiona, w które będę mogła się wtulić, wszystko mi wyjaśni i odzyskam życie, które utraciłam.

– Cześć! – woła Arek.

Bąkam powitanie, nie odrywając wzroku od laptopa. Szeleści kurtka, za moment trzaska szafka na buty, a po chwili słyszę, że brat jest już u góry.

Wychowałam się w domu dziecka, trafiłam tam, kiedy miałam zaledwie kilka miesięcy. Odebrano mnie rodzinie przemocowej, zanim zdążyli mnie zabić. Mimo że w pierwszych tygodniach życia zaniedbywano mnie, a nie mam wątpliwości, że tak właśnie było, nie

poniosłam poważnego uszczerbku na zdrowiu. Pod innymi względami szczęście już mniej mi dopisywało. Nie wiedzieć czemu nie znalazła się rodzina, która zechciałaby mnie przygarnąć na stałe. Mogę chyba nawet mówić o koszmarnym pechu, bo przecież dzieci w wieku niemowlęcym są najchętniej adoptowane przez bezdzietne pary. Może to przez moje odstające uszy, a może tak po prostu miało być, bo życie zaplanowało dla mnie coś innego.

Nie znam nikogo ze swojego rodzeństwa poza Arkiem. Jest ode mnie młodszy o pięć lat, został odebrany rodzicom dopiero jako siedmioletni chłopiec. Tak jak ja trafił do domu dziecka, ale nie zabawił tam długo, bo szybko został adoptowany przez parę, która nie mogła mieć własnego potomstwa.

Dowiedziałam się o istnieniu Arka już jako dorosła kobieta. Brat chodził wtedy do liceum, ja byłam na półmetku studiów. Nim skończył osiemnaście lat, jego adopcyjni rodzice zginęli w nieszczęśliwym wypadku. Wtedy Arek przeprowadził się do mnie. To znaczy do nas, Maurycy chętnie przyjął go pod nasz dach.

Brat bierze prysznic, słyszę dobiegający z góry szum wody. Zerkam na godzinę, dochodzi dziewiętnasta. Chyba najwyższa pora zrobić sobie przerwę. Zamykam komputer i przechodzę do salonu. Po drodze znajduję pilota, wreszcie opadam ciężko na kanapę i włączam telewizor.

– Co tam oglądasz? – Arek zjawia się w salonie, gdy rozpoczyna się blok reklamowy.

– A nic. – Ziewam, nagle zrobiłam się strasznie śpiąca.

– Włącz Discovery Science.

– Zaraz, czekaj. – Ziewam jeszcze raz. – *Fakty* teraz będą.

– Nie masz jeszcze dość tej całej polityki? Mnie już ona bokiem wychodzi, jest wszędzie.

– Lubię wiedzieć, co się wokół dzieje – odpowiadam.

– Weź sobie dziś odpuść. – Arek chwyta pilota i nim rozpocznie się czołówka wiadomości, przełącza stację. Zaczyna skakać po kanałach.

Posyłam mu niezadowolone spojrzenie.

– Włączmy coś sensowniejszego. O! *Niezwykły dr Pol*, to jest dobre.

– No proszę cię. – Przewracam oczami.

– Poważnie. Fajny program. Gdyby mi się nie udało z medycyną, pewnie poszedłbym na weterynarię.

Czyli dokładnie tak jak Maurycy, myślę. Arek ma z nim wiele wspólnego. Jest zdolny, zafiksowany na leczeniu ludzi i oddany swojemu powołaniu. Kiedy mój mąż to wszystko w nim dostrzegł, bez wahania pomógł Arkowi przygotować się do studiów, a później znaleźć staż i wybrać specjalizację. Brat ratuje ludzkie życie z nie mniejszym zaangażowaniem, niż robił to Maurycy.

– Nie no, nie będę tego oglądać. – Przejmuję pilota i teraz ja skaczę po kanałach. Arek jęczy z zawodem. Stale się przekomarzamy, trochę tak, jakbyśmy próbowali nadrobić stracone dzieciństwo.

Kolejne programy nie wzbudzają mojego zainteresowania, za to Arek chce oglądać najpierw *Starożytnych kosmitów*, potem *Pułapki umysłu*, a nawet *Jak to jest zrobione – samochody marzeń*. Każdy jego wybór kwituję kwaśnym uśmiechem i idę dalej.

Na ekranie pojawia się twarz Marty Kuligowskiej, prezenterki TVN24.

– Wrócił czy ktoś go naśladuje? – mówi kobieta. – Policja uspokaja, że to spekulacje na wyrost, ale jak tu nie spekulować, skoro mieszkańcy Krakowa ciągle dobrze pamiętają serię niewyjaśnionych zaginięć sprzed pięciu lat… – Dźwięk nagle się urywa.

– Włącz to! – Odwracam się gwałtownie w stronę Arka.

– To nie jest dobry pomysł – stwierdza brat, ściskając w dłoni pilota. – Lepiej, żebyś tego nie słuchała.

– Oddaj. – Wyciągam rękę. – Daj mi go – powtarzam.

– Olga, proszę cię. W niczym ci to przecież nie pomoże.

– Oszalałeś?! Dawaj. Dawaj, i to już! – Usiłuję przejąć pilota, ale Arek trzyma go zbyt mocno. – Myślisz, że uchronisz mnie przed tym,

wyłączając mi telewizor? – Podnoszę się z kanapy rozzłoszczona.

Arek głośno wzdycha.

– Myślisz, że się nie dowiem? – mamroczę, sięgając po swojego laptopa.

– Media szaleją – odpowiada mój brat. – Ale policja jest raczej powściągliwa.

Aha, czyli dobrze się zorientował, co w trawie piszczy, wnioskuję. I już rozumiem, dlaczego dziś chciał oglądać te wszystkie dziwne programy, chociaż zazwyczaj przesiadywanie na kanapie przed telewizorem w ogóle go nie rajcuje.

Stukam nerwowo w klawiaturę i po chwili przeglądarka wypluwa materiały, które zdają się pasować do tego, co mnie interesuje.

Dowiaduję się, że zaginęła kobieta, trzydziestoczterolatka, mieszkanka Krakowa. Ostatnio była widziana w Szkole Podstawowej nr 52, gdzie uczy języka polskiego. Wyszła z pracy wcześniej niż zwykle, kamera umieszczona przed wejściem do budynku zarejestrowała ten moment. Weronika P. miała udać się do Poradni Otolaryngologicznej, nie wiadomo jednak, czy rzeczywiście tam dotarła. Wprawdzie dane z ostatniego logowania telefonu zaginionej potwierdzają, że pojawiła się w okolicy szpitala, ale personel utrzymuje, że pacjentka nie stawiła się na umówioną wizytę.

Czuję strużkę potu spływającą mi po plecach, gdy okazuje się, że wizyta miała się odbyć w szpitalu Epione. Tam, gdzie pracował Maurycy. Kiedyś trudno było mi zapamiętać nazwę tej placówki, aż do czasu, kiedy Maurycy uświadomił mi, że Epione to nic innego jak imię greckiej bogini ukojenia bólu.

Nogi zaczynają mi drżeć, kiedy w kolejnych materiałach, które czytam, pojawia się nawiązanie do zaginięć sprzed pięciu lat. Każda redakcja snuje przypuszczenia, niektóre krzyczą wprost: „Soboń wrócił!". Nazwisko mojego męża gęsto przewija się w artykułach, niestety zawsze w tym samym niechlubnym kontekście.

Przymykam powieki. To takie krzywdzące.

– Nie rozumiem – mamroczę pod nosem. – Na jakiej w ogóle podstawie wywlekają nazwisko Maurycego?

– Znika pacjentka Epione… – przypomina mi Arek, jakbym oczekiwała odpowiedzi. – Tamci ludzie też się u nas leczyli.

– I co z tego?! – syczę. – To może być zwykły zbieg okoliczności.

Arek wzdycha.

– Okej, może i nie jest – przyznaję. – Ale jak to się ma do Maurycego, do ciężkiej cholery?! Czy nie powinno przyjść im wszystkim do głowy, że to ktoś, kto nadal pracuje w tym szpitalu? Maurycy od pięciu lat nie daje znaku życia! – grzmię. – A co? Może kręci się po szpitalu i nikt go nie widzi? – Prycham z takim oburzeniem, że aż kropelki śliny lądują mi na brodzie.

Arek ponownie wzdycha i włącza telewizor. Marta Kuligowska mówi już o czymś zupełnie innym niż to, co mnie w tym momencie interesuje. Brat przeskakuje na TVN24 BiS i wtedy jak na zawołanie słyszę:

– Wrócił czy ktoś go naśladuje? Policja uspokaja, że to spekulacje na wyrost, ale jak tu nie spekulować, skoro mieszkańcy Krakowa ciągle dobrze pamiętają niewyjaśnioną serię zaginięć sprzed pięciu lat. Wraca postać Michała Malczyka, jedynego porwanego, który się odnalazł, i zagadka losów pozostałych ofiar młodego lekarza. Czy Weronika P. jest kolejną z nich?

Na ekranie pojawia się Paulina Malczyk, żona jedynego odnalezionego. Kobieta nigdy nie kryła swoich personaliów, zawsze głośno opowiadała o wyrządzonej jej krzywdzie.

– Dostałam wiadomość – oświadcza. – Krótką i zwięzłą.

– Jak ona brzmiała? – dopytuje reporter.

– „Wróciłem” – mówi kobieta.

– Ma pani jakieś podejrzenia, kto mógł przysłać pani tę wiadomość?

– To przecież oczywiste – stwierdza żona pokrzywdzonego.

– No pewnie, a jakżeby inaczej! – Wyrzucam z wściekłością ręce w górę. Nie odrywam spojrzenia od twarzy Malczykowej, wykrzywionej w pogardzie. Maluje się na niej także pewność. Jest tak wielka i niezachwiana, że aż przeszywa mnie dreszcz. Ta kobieta jest przekonana, że Maurycy skrzywdził jej męża, choć nie ma na to niezbitych dowodów.

– Jak to wyglądało? – docieka tymczasem dziennikarka. – Dostała pani maila, SMS-a czy inną tego typu wiadomość?

– Nie, nie, nic z tych rzeczy – oznajmia Malczyk. – To lekarz, nie jest głupi. Zaraz namierzyliby IP komputera, z którego wysłałby takiego maila. Nie to, co taką zwykłą kartkę. Wrzucił mi ją do skrzynki na listy.

– I napisał tylko tyle? „Wróciłem"? To jedno słowo? – upewnia się redaktorka.

– Zgadza się. – Kobieta kiwa zapalczywie głową.

– Co za bzdury! – wykrzykuję, coraz bardziej trzęsąc się ze złości. – Co ta baba w ogóle gada?! – Zerkam na brata. Arek wykrzywia usta w trudnym do odczytania grymasie.

Rozkładam ręce w wymownym geście, bo oczekuję z jego strony czegoś więcej, stanowiska, jakiegoś komentarza, a nie ciszy!

Brat jednak nic nie mówi, wskazuje za to na telewizor. Obracam z powrotem głowę w kierunku ekranu.

– Gdzie teraz jest ta kartka? – Reporterka wciąż nie skończyła rozmowy z żoną Michała Malczyka.

– W rękach policji, oczywiście. Może dzięki niej uda im się dotrzeć do Sobonia. – Głos kobiety nadal przepełniony jest pewnością, brzmi obrzydliwie, aż mdli mnie od słuchania. – Wierzę, że w końcu jakoś go namierzą. Policja na pewno dysponuje środkami, z jakich nie zdajemy sobie sprawy, i wykorzysta je, żeby złapać bydlaka.

4

Nie mogę spać, nie po tym, jak obejrzałam wszystkie możliwe serwisy informacyjne i każdy kolejny był kalką poprzedniego. Leżę na wznak i gapię się w sufit. Miejsce po wściekłości wypełniło poczucie krzywdy, które wcale nie jest łatwiejsze do udźwignięcia.

W domu panuje cisza, Arek śpi od dobrych kilku godzin.

Podnoszę się z łóżka, bo wiem, że sen szybko nie nadejdzie. Z bezsennością zmagam się od najmłodszych lat. Najpierw dzieciństwo spędzone w domu dziecka. Trafiłam do dobrych placówek, zatrudnieni w nich opiekunowie postrzegali swoją pracę jak misję, a wiem, że nie zawsze tak jest, akurat pod tym względem miałam olbrzymie szczęście. Jednak to wciąż za mało, rodzicielskiej miłości nic nie jest w stanie zastąpić. A później przyszedł koszmar tamtej nocy. Dopiero miłość Maurycego ukoiła moje rany. Jak miałabym się wyprowadzić z tego domu? Maurycego tu nie ma, ale wszystko w tych murach mi o nim przypomina.

Idę na trzecią kondygnację, do gabinetu męża. Kiedyś unikałam przebywania na poddaszu, ale teraz jest zupełnie inaczej. Teraz pokój na strychu to pomieszczenie, w którym czuję, że jestem najbliżej Maurycego.

Otwieram drzwi u szczytu schodów, mrok rozświetla blask księżyca wdzierający się do pokoju przez sufitowe okna. Blada łuna pada prosto na szkielet, ciemne, puste oczodoły wydają się skierowane na mnie. Brak tu oświetlenia sufitowego, przecinam więc gabinet i zapalam stojącą lampę. W jej świetle szkielet jest bardzo dobrze widoczny. Ludzka czaszka wciąż sprawia wrażenie, jakby zerkała w moją stronę.

Odrywam od niej spojrzenie i siadam na fotelu przy lampie. Podciągam kolana pod brodę. Cała przeciwległa ściana wyłożona jest półkami, na części z nich są poukładane książki. Prześlizguję się wzrokiem po ich grzbietach. Najwięcej jest pozycji związanych ze specjalizacją Maurycego: *Anestezjologia ambulatoryjna, Anestezja w stanie zagrożenia życia, Anatomia dla anestezjologów* i wiele, wiele innych.

Kieruję spojrzenie dalej. Resztę regału zajmują modele ludzkich narządów. Półki te do złudzenia przypominają wystawę Body Worlds. Jest tu wszystko, od pojedynczych organów po całe układy. Każdy model odwzorowuje ludzkie tkanki w detalach, przez co wyglądają tak realistycznie, że niektóre są zwyczajnie odrażające. Na biurku wciąż leży niedokończona makieta ludzkiej kończyny.

Maurycy stworzył to wszystko sam. Zaczął już na studiach, mówił, że początkowo te modele po prostu pomagały mu w nauce, zwłaszcza złożonej anatomii ludzkiego ciała, a później ich przygotowywanie weszło mu w nawyk. Więcej, stało się jego pasją. Mąż szczególnie cenił sobie lniane włókna, które barwił i splatał w struktury mięśniowe, nerwy i naczynia krwionośne. Drugim jego ulubionym materiałem była glina. Miał talent, myślę, zerkając na stojący pod oknem szkielet. Puste oczodoły wciąż zdają mi się przyglądać.

Dziwne hobby, przychodzi mi do głowy. Płuca, nerki, serce – wszystko wygląda jak prawdziwe. Ale słyszałam o bardziej osobliwych pasjach, choćby zbieraniu paznokci czy kłaczków z pępka. Upodobanie Maurycego miało przynajmniej sens.

Podciągam nogi bliżej brody, bo zrobiło mi się chłodniej. Przebywanie w tym pokoju wciąż napawa mnie osobliwym lękiem, ale jednocześnie pozwala zbliżyć się do Maurycego. Wiem, że w końcowym rozrachunku wygrają dobre fluidy i pozwolą mi one zasnąć.

Kiedy w końcu robię się senna, zaczyna wibrować moja komórka. Wzrok mam nieostry, jednak rozmazane litery zdają się układać

w imię przyjaciółki.

– Daga? – chrypię do telefonu.

– Hej, śpisz? – pyta. – Obudziłam cię?

– Nie, nie śpię jeszcze – zapewniam, po czym przeciągle wzdycham.

– Wiesz już? – Głos Dagi jest przyciszony.

– Trudno nie wiedzieć. Mam wrażenie, że w telewizji trąbią tylko o tym.

– Chciałam zadzwonić wcześniej, ale wiesz, jak to jest na dyżurze.

– Jasne. Wiem – przytakuję. Daga nie musi mi się tłumaczyć, mam przecież… Miałam męża lekarza, nadal mieszkam z bratem lekarzem.

– W szpitalu też huczy – przyznaje przyjaciółka. – Wiesz, naszego oddziału to nie dotyczy, jesteśmy nawet w innych budynkach, ale jednak to ta sama placówka. A ploty szybko się rozchodzą.

– I co mówią?

– W sumie nic konkretnego. Tylko że ta zaginiona miała jakieś problemy z krtanią, umówiła się na wizytę w Poradni Otolaryngologicznej, no i na nią nie przyszła. Podobno policja przesłuchała wszystkich pracowników budynku B6. Wiesz, ilu to ludzi?

– Wyobrażam sobie. I nikt nie widział tej Weroniki w szpitalu?

– No niby nie. Chociaż wiesz, nie jestem pewna, co ostatecznie ustaliła policja.

– A monitoring? – Przychodzi mi na myśl. – Jest w szpitalu?

– Są kamery przy wejściu do każdego budynku.

– W takim razie powinni sprawdzić na nagraniach, czy ta kobieta dotarła do szpitala, czy nie.

– No raczej to zrobili – mówi mi na to Daga. – Chyba znają się na swojej robocie. Ale co to w ogóle jest za historia!

– Ta cała akcja z wiadomością jest jakaś naciągana – odpowiadam jej na to. – Maurycy nie zrobiłby czegoś takiego. Wysłał papierowy

liścik? No na litość boską! – prycham.

Przez moment żadna z nas nic nie mówi.

– Zresztą… – podejmuję, ale zaraz z powrotem milknę. Macham przy tym ręką, jakby przyjaciółka była obok mnie.

– Wiem. Wiem – odzywa się. – Przecież Maurycy… – Teraz ona urywa w pół zdania i wzdycha. – Słuchaj, wiem, że jest ci ciężko – zaczyna od nowa. – Gdybyś czegoś potrzebowała, to wiesz, że jestem.

Uśmiecham się. Daga wcale nie musi mi tego mówić. Przyjaźnimy się od czasów studiów i zawsze mogłam na nią liczyć. Pięć lat temu miałam okazję się przekonać, jak bardzo. Gdy większość znajomych po prostu się ode mnie odsunęła, Daga została.

Gdy się rozłączamy, układam się wygodniej w fotelu i czekam, aż odpłynę. Mam wrażenie, że zajmuje to całe wieki, telefon od Dagi na nowo mnie rozbudził. W końcu jednak, z widokiem ludzkich tkanek przed oczami, udaje mi się zasnąć.

To na pewno nie powinno tak wyglądać. Badanie laryngologiczne miało potrwać kilka minut, maleńka kamerka ze światłem i po sprawie. Tymczasem leżę na wznak w ciemnawym pomieszczeniu. Nie wiem, czy faktycznie jest tu tak mało miejsca, czy tylko panujący wokół półmrok tworzy wrażenie ciasnoty, ale ogarnia mnie klaustrofobiczny lęk. Pot oblepia całe moje ciało, nie pamiętam, jak to się stało, że zamiast swoich ubrań mam na sobie szpitalną koszulę. Materiał jest sztywny, mam wrażenie, że przez te sztuczne włókna pocę się jeszcze bardziej. Na lewej ręce, w zgięciu łokcia, założono mi wenflon. Przypomina mi się poród Mai, skończyło się cesarskim cięciem. Koszula, w którą mnie wtedy ubrano, chyba nawet miała identyczny kolor. Sufit tamtej sali z pewnością był biały, chyba tak jak ten tutaj. Tyle że tam wydawało się o wiele, wiele jaśniej. I czysto. Tutaj jest ponuro, jakoś odpychająco.

Nagle miejsce, w którym się znajduję, zaczyna bardziej przypominać mi kostnicę niż szpitalną salę. Zauważam, że ściany wyłożone są małymi podłużnymi płytkami. W kilku miejscach zaczęły odpadać. Albo są bardzo stare, albo ktoś koncertowo spartolił robotę.

Zadzieram głowę, żeby lepiej rozejrzeć się po wnętrzu. Pasy skutecznie krępują moje ruchy, dłonie i stopy mam mocno przytwierdzone do łóżka. Nie pamiętam, żeby ktoś mnie unieruchamiał, nie wiem nawet, po co miałby to robić.

Przecież jechałam do szpitala! Próbuję przypomnieć sobie szczegóły. Wyszłam ze szkoły i pojechałam do szpitala, w którym miałam umówioną wizytę w Poradni Otolaryngologicznej. Moje problemy z krtanią zaczęły się już kilka lat temu, a praca w szkole tylko je pogłębiła.

Rozglądam się dalej, na tyle, na ile pozwalają mi więzy. W pomieszczeniu wciąż nie ma nikogo oprócz mnie. Dziwne, że jeszcze nie wrzeszczę, chyba strach przed nieznanym pozbawił mnie głosu. Albo…

Podrywam rękę, niestety pasy nie pozwalają mi dotknąć szyi. Może podczas badania krtani coś poszło nie tak i uszkodzono mi struny głosowe? Dlatego milczę?

Dlatego tu jestem?

Unoszę głowę po raz kolejny. Wkoło jest trochę sprzętu medycznego: urządzeń, narzędzi, strzykawek, rurek i przewodów. Nie mam pojęcia, do czego to wszystko służy, ale żaden z tych przedmiotów nie wygląda przyjaźnie. Cokolwiek mi się stało, nie jest dobrze.

Szarpię rękami, jednak pasy ani drgną. One są chyba najgorsze. Dlaczego ktoś miałby mnie leczyć przymusowo? Jeśli rzeczywiście coś poszło nie tak, to przecież chcę, żeby to naprawiono, nie trzeba mnie krępować. Wcześniej nie stawiłam oporu. Gdy zjawiłam się w szpitalu i poinformowano mnie, że dzisiejsza wizyta odbędzie się w innym miejscu niż zwykle – remont gabinetów lekarskich, jak usłyszałam – poszłam, gdzie mi kazano. Poczęstowano mnie nawet wodą.

Teraz ten miły gest wydaje mi się zwyczajnie podejrzany. Podobnie jak to, że zainteresowano się mną zaraz po wejściu do szpitala, jakby na mnie czekano. Wtedy pomyślałam, że przecież trwa remont, więc personel chce pomóc pacjentom trafić we właściwe miejsce.

Nagle słyszę hałas. Nieruchomieję i nasłuchuję uważniej. To jakieś trzaski, które trudno mi zidentyfikować. Lekarze, to na pewno lekarze, powtarzam sobie. Zaraz tu przyjdą i wszystko mi wytłumaczą. Mam nadzieję, że dali znać Przemkowi, co się stało, i że zdążył odebrać Maję z przedszkola. Nie wiem, jak długo tu jestem, ale wydaje mi się, że minęło już co najmniej kilkanaście godzin, odkąd udałam się do szpitala.

Gdy drzwi się uchylają, przekręcam głowę w ich stronę. Do sali wchodzi lekarz. Albo lekarka. Trudno mi to jednoznacznie stwierdzić, bo osoba, którą widzę, ma na sobie pełny strój chirurgiczny, z czepkiem na głowie i maseczką na twarzy. Poza tym porusza się na samym krańcu mojego pola widzenia, mam wrażenie, że nie zamierza do mnie podejść.

– Halo! – odzywam się. A jednak wciąż potrafię mówić, stwierdzam z niemałym zaskoczeniem. – Doktorze! Tu jestem! – krzyczę, jakby dookoła był tuzin innych pacjentów.

Postać w chirurgicznym uniformie kręci się gdzieś za moją głową, brzęczą jakieś narzędzia, buczy jakiś sprzęt. Pocę się jeszcze bardziej, nic, w co staram się wierzyć, do siebie nie pasuje.

– Co się dzieje? – pytam, wciąż chwytając się myśli, że zaraz wszystkiego się dowiem. – Dlaczego tu jestem? Halo, czy ktoś mnie słyszy? Dlaczego tu leżę? – dopytuję, bo mimo że pamiętam całkiem sporo, wciąż nie przypomniałam sobie najważniejszego, czyli jak trafiłam do tej sali. Robi mi się zimno, kiedy dochodzę do wniosku, że moim ostatnim wyraźnym wspomnieniem jest to, jak piję wodę z jednorazowego kubka.

Kiedy nie słyszę odpowiedzi na żadne ze swoich pytań, przerażenie ściska mi gardło z całą swoją mocą. Choć bardzo tego nie chcę, przestaję się łudzić, że nie ma powodu do ogarniającego mnie strachu. Szarpię się mocniej, łóżko zaczyna się trząść, ale człowiek w kitlu milczy i robi swoje.

– Co robisz?! – wykrzykuję. – Co tu się dzieje?! Gdzie ja jestem?!

Chcę wrzeszczeć dalej, ale na mojej twarzy ląduje maska. Próbuję się jej pozbyć, kręcę głową na boki, ile zdołam. Maska nieco się zsuwa, ale nie jestem w stanie całkiem jej zdjąć.

Gdy medyk poprawia mi maskę, próbuję mu się lepiej przyjrzeć, ale szybko znika z mojego pola widzenia. Posturę ma przeciętną, to może być drobniejszy mężczyzna, ale też nieco mocniej zbudowana kobieta. A może to żaden medyk, przychodzi mi do głowy, tylko ta sama osoba, która mnie tu przyprowadziła, poinformowała o zmianach i poczęstowała wodą. Próbuję przypomnieć sobie jej twarz.

– Zostaw mnie w spokoju! – bełkoczę przez maskę. Nie mam już żadnych wątpliwości, że jestem w niebezpieczeństwie.

Po skroni spływa mi strużka potu, mimo że całe moje ciało ogarnia lodowaty chłód. Trzęsę się, jakby pozostawiono mnie bez ubrania na kilkunastostopniowym mrozie. Uczucie zimna potęguje świadomość, że nie jestem w stanie przypomnieć sobie twarzy człowieka, który mnie tu zwabił. Nie trzeba być alfą i omegą, żeby dojść do wniosku, że to w tej wodzie było coś, co mnie otumaniło.

Po chwili wyczuwam miętę, najpierw zapach, później jej posmak pojawia się także w moich ustach. Lubię miętę, zawsze lubiłam.

Porzucam myśli o mięcie, kiedy uświadamiam sobie, że w masce kłębi się jakiś gaz, a ja łapczywie go wdycham.

Wstrzymuję oddech, jakby kilka chwil opóźnienia mogło coś zmienić. Zaraz jednak płuca zaczynają mnie piec i muszę zaczerpnąć tchu. Miętowy gaz gwałtownie wdziera mi się do oskrzeli. Po kilku wdechach ogarnia mnie senność, walczę z tym uczuciem zaciekle.

Nagle przed moimi oczami pojawia się męska twarz. Obraz jest jak szybko wyświetlane slajdy, nie mam pojęcia, czy to rzeczywistość, czy tylko senna mara. Wiem za to, że ten mężczyzna to nie Przemek, mój mąż, ani Patryk, mój starszy brat. Nie kojarzę go, choć jednocześnie wydaje mi się w jakiś sposób znajomy.

I nagle pomimo powoli usypiającego mnie gazu zaczynam szybciej oddychać, bo dociera do mnie, że chodzi o… Sobonia. Tego lekarza, który kilka lat temu porywał swoich pacjentów, było o nim naprawdę głośno. Te pięć lat temu w życiu nie zgłosiłabym się na wizytę do Epione, ale przecież minęło tyle czasu, szpital dalej działał, a policja niczego placówce nie udowodniła. Owszem, Sobonia nie znaleziono, lecz zniknął, nie było go, już nie porywał. A mama mówiła, żebym

wybrała inny szpital, są ludzie, którzy właśnie ze względu na Sobonia unikają Epione jak ognia. To śmieszne, no bo niby jak porywacz miałby dalej tam działać?

Zbieram się w sobie i zaczynam na nowo się szarpać. Wcale nie wiem, czy faktycznie mam do czynienia z Soboniem, bo wciąż nie jestem w stanie dojrzeć twarzy człowieka, który założył mi maskę. Może to tylko wspomnienie, wytwór rozsadzającego mnie strachu. Wtedy stale pokazywano zdjęcie lekarza w telewizji, jego twarz zdążyła mi się opatrzyć.

Jednego jestem jednak pewna: ktokolwiek mnie tu zwabił, nie ma wobec mnie dobrych zamiarów. Krzyczę, lecz maska tłumi wydawane przeze mnie dźwięki.

Chwilę później popadam w niemoc, ciało przestaje ze mną współpracować, nie mogę poruszyć choćby ręką. Leżę niemal nieruchomo, za moment przychodzi także obojętność, której wcale nie chcę. Jeszcze moment i całkowicie odpływam w niebyt.

5

Budzę się powoli, odzyskuję świadomość bardzo niespiesznie. Arek musiał mnie w nocy przykryć. Gładzę miękki materiał koca, a potem poprawiam się na fotelu, bo metalowy krzyż wbija mi się boleśnie w mostek. Po jakimś czasie unoszę głowę z zagłówka, ale oczy nadal niemiłosiernie mi się kleją. Bezwzględnie potrzebuję kawy, więc wlokę się na dół.

Ekspres jest jeszcze ciepły, a w kuchni unosi się przyjemny aromat. Arek musiał dosłownie chwilę temu wyjść z domu. Dookoła panuje cisza, buczy jedynie lodówka. To luksus, który zapewniają obszary podmiejskie. Pewnie za kilkanaście lat teren dookoła się zabuduje, jednak w tej chwili posesja od tyłu graniczy z rozległym polem uprawnym. Latem porośnięte jest pszenicą. Od frontu biegnie droga, po jej drugiej stronie powstały już nowe domy, podobne do tego, w którym sama mieszkam, jednak okolica wciąż jest spokojna. Daleko jej do zgiełku panującego w mieście. Cenię sobie tę lokalizację podwójnie, bo od centrum Krakowa dzieli mnie zaledwie kilkanaście kilometrów. Z Tomaszowic łatwo się dostać do miasta zarówno samochodem, jak i transportem publicznym.

Włączam ekspres, który uruchamia się głośno. Mój wzrok pada na pilota od telewizora, mam ochotę go włączyć. Odwracam się z powrotem w stronę kuchni, żeby łatwiej było mi zwalczyć pokusę. Przecież nie ma sensu w kółko oglądać tego samego. Od wczoraj nie mogło wydarzyć się nic nowego.

Upijam łyk kawy i odruchowo wyglądam przez okno. Od razu zauważam, że ze skrzynki na listy wystają białe koperty. Marszczę brwi zaskoczona, bo listonosz zwykle dostarcza mi pocztę do ręki.

Dziś z jakiegoś powodu tego nie zrobił. Próbuję nie myśleć, że stało się tak ze względu na to nowe zaginięcie i wrzawę, którą podniesiono w mediach.

Odkładam filiżankę i przechodzę do korytarza. Zanim wyjdę na zewnątrz, żeby zabrać listy ze skrzynki, zarzucam na ramiona kurtkę. Kalendarzowa wiosna już się rozpoczęła, jednak temperatura wciąż nie rozpieszcza. Stopy wsuwam w stare adidasy, które służą mi wtedy, gdy pracuję w ogródku.

Otwieram drzwi i…

Nie potrafię choćby drgnąć. Ogarnia mnie wrażenie, jakbym przeniosła się w czasie. Cofnęła do momentu, kiedy to, co teraz widzę, było czymś stałym, czymś, co nieomal uznałam za normę. Przed oczami wirują mi wspomnienia, jeden incydent za drugim, każdy kolejny inny, a w gruncie rzeczy wszystkie takie same.

Dopiero po dłuższej chwili udaje mi się wrócić do tego, co tu i teraz. Odzyskuję władzę nad własnym ciałem i puszczam klamkę, na której cały czas zaciskałam dłoń. Odsuwam się nieco od drzwi. Ruchy mam toporne i chybotliwe, jakbym dopiero uczyła się chodzić. Mrugam szybko, naiwnie licząc, że to, co widzę, jest tylko złudzeniem, choć wiem, że jest rzeczywistością. Wiem, bo nie zdarza się to pierwszy raz. Wiem, bo wczoraj wszystkie serwisy informacyjne mówiły o Maurycym.

Powinnam była się tego spodziewać. Ogarnia mnie złość na samą siebie, na to, że dałam się zaskoczyć. Że dałam się sparaliżować znajomemu zdarzeniu. Nie odrywam przy tym wzroku od koślawych liter na drzwiach do mojego domu.

„Zdzira zwyrola”.

Tak mnie jeszcze nie nazwano. Była „szmata, żona potwora, dziwka” i inne niewybredne przezwiska, nawet sugestie, że jestem współwinna tamtych zaginięć. A teraz jestem zdzirą zwyrola.

Nieprzerwanie gapię się na napis. Ktoś, kto pobazgrał mi drzwi, bardzo się spieszył. Farba w wielu miejscach zaczęła spływać – chyba

że sprawca celowo użył sporej ilości, aby powstały te wszystkie podłużne zacieki. Do złudzenia przypominają mi… smugi krwi. Tym bardziej że farba, a jakże, jest czerwona. Właściwie bordowa, w niektórych miejscach nawet szkarłatna. To tak bardzo pasuje do zwyrola. I do kanalii. I do potwora. Ale nie do mojego męża.

Zdzira zwyrola. Wciąż przyglądam się koślawym literom. Z jakiegoś powodu napawają mnie lękiem, którego wcześniej nie odczuwałam. Przysuwam twarz bliżej drzwi, myśląc o tym, w jakim stanie odnalazł się Malczyk. Odnotowano u niego drobne otarcia w okolicy nadgarstków i kostek u nóg, mężczyzna nie miał jednak żadnych otwartych ran, siniaków ani stłuczeń. Nie doszło do rozlewu krwi, ale to przecież bez znaczenia, bo jego życie i bez tego zostało zamienione w udrękę.

Dotykam szkarłatnych plam. Farba. Reaguję mocniej, niż bym tego chciała, bo od ostatniego razu minęło sporo czasu. To stąd ten osobliwy niepokój, który nadal nie chce mnie opuścić. Zresztą kolor farby pewnie też robi swoje.

Zrywam się z miejsca i obchodzę dom. Na tyłach ogrodu Maurycy postawił niewielką szopę na narzędzia. W rzeczywistości nie trzymał tam żadnych narzędzi, bo sam nie miał drygu do majsterkowania, niemal do wszystkiego wynajmowaliśmy fachowców. Nawet trawnik zazwyczaj kosiłam ja, bo mąż robił to jakoś nieporadnie.

Szopa zawalona jest książkami Maurycego, których już nie potrzebował. Najczęściej to przestarzałe podręczniki medyczne, opasłe tomiska. Nie potrafił się z nimi rozstać. Stoi tu też piec, w którym wypalał gliniane elementy do swoich modeli.

Szukam rozpuszczalnika, napis nie jest spektakularnie duży, podejrzewam, że z drogi trudno odczytać poszczególne słowa, ale to bez znaczenia, chcę jak najszybciej zmyć ze swoich drzwi te szpetne gryzmoły.

Bebeszę kolejne półki i zaczynam się wkurzać. Nie wierzę, że nie ma tu choćby jednej butelki tego cholernego rozpuszczalnika!

Szperam dalej, musi tu być. Przykucam i wreszcie znajduję kilka plastikowych butelek. Klnę pod nosem, gdy okazuje się, że wszystkie są puste. Podpieram się rękoma pod boki i wypuszczam głośno powietrze z płuc. Będę musiała pojechać do sklepu po rozpuszczalnik. I to natychmiast!

Wracam przed dom, farba na drzwiach znów przypomina mi krew. Wszystko przez ten kolor, wcześniejsze napisy zazwyczaj były czarne, pojawiały się też białe. A drzwi są dość jasne, popielate, najwyraźniej w odcieniu, który intensyfikuje czerwień.

Wchodzę na schody i ponownie dotykam napisu. Palce mam wilgotne od własnego potu, ale czyste. Gdyby to było coś innego niż farba, najprawdopodobniej zabrudziłoby moją skórę.

Zerkam podejrzliwie na prawo i lewo, czuję się dziwnie osaczona, choć na pobliskich posesjach nie ma żywej duszy. Zastanawiam się, jaka jest szansa, że drzwi zostały pobazgrane przez któregoś z sąsiadów. W przeszłości nikogo nie udało się ująć, mimo że zainwestowałam w dobry monitoring. Okazało się to wyrzuceniem sporych pieniędzy w błoto, bo jeden z wandali nie tylko zniszczył elewację domu, ale także uszkodził kamery. Był przy tym na tyle dobrze zamaskowany, że uchwycony obraz okazał się bezużyteczny. Po tym incydencie zrezygnowałam z zakupu nowego sprzętu. Dziś tego żałuję.

Wchodzę do domu, żeby się przebrać. Kupno rozpuszczalnika wydaje się priorytetem. Kiedy jestem gotowa do wyjazdu, dzwoni Daga. Odbieram połączenie.

– Hej! Mam nadzieję, że już nie śpisz – mówi.

– Nie…

– Słuchaj… – podejmuje, nim powiem cokolwiek więcej. – Strasznie mi głupio, wiem, że pewnie miałaś kiepską noc i tak dalej, ale cholera… Muszę jechać z mamą na badania, znów strasznie skacze jej cukier. Dopiero skończyłam dyżur, nie zdążę podjechać do domu,

a to oznacza, że najpewniej Estera narobi mi na dywan. Ostatnio jak popuściła, nie mogłam go doprać!

Słowa przyjaciółki docierają do mnie z opóźnieniem, przed oczami stale mam napis szpecący drzwi do mojego domu.

– Halo, Olga, jesteś tam?

– Tak – mamroczę, wsuwając buty, a zaraz potem opowiadam Dadze, co się wydarzyło.

– O w mordę! – wykrzykuje przyjaciółka. – Znowu się zaczyna – unosi się. – Ledwo się coś stało i od razu ktoś bazgrze ci po drzwiach! – Prycha z rozgniewaniem. – Co ci ludzie mają w głowach?

– Nie wiem – wzdycham ciężko.

– Co z tym zrobisz? – dopytuje Daga. – Tego monitoringu już nie masz, nie?

– Nie, nie, już od dawna – potwierdzam. – Nie wiem, po prostu to zmyję.

– Psia mać – klnie przyjaciółka. – Ludzie są naprawdę wstrętni! Słuchaj, zadzwonię później, muszę pędzić teraz do mamy.

– No właśnie, twoja mama. – Przypominam sobie, co Daga mówiła na początku naszej rozmowy. – I Estera.

– Spoko, nie przejmuj się. Może wytrzyma. A jak nie, to oddam dywan do czyszczenia i tyle. A może narobi na podłogę.

– Podjadę.

– Naprawdę nie trzeba, masz poważniejsze sprawy na głowie.

– Przestań – mówię. – Podjadę i wyprowadzę Esterę na krótki spacer. To żaden problem.

– Na pewno?

– Jasne, przecież nie pierwszy raz ktoś mi maluje po drzwiach, wielkie mi halo – zapewniam, próbując przekonać przede wszystkim siebie, że wcale mną to nie wstrząsnęło.

– No dobra. Dzięki, Olga!

Odsuwam szufladę, w której przechowuję wszystkie klucze, są tam też te do mieszkania przyjaciółki. Daga ma z kolei klucze do mojego domu. Wymieniłyśmy się nimi na wszelki wypadek. Już kilka razy okazało się to pomocne.

Porywam odpowiedni pęk i wychodzę z domu. Znów widzę szkarłatny napis na drzwiach. Potrzeba jak najszybszego pozbycia się bazgrołów sprawia, że niemal biegnę do przylegającego do domu garażu. Jest na tyle niewielki, że mieści się tam tylko moje auto, Arek zwykle parkuje wóz na podjeździe.

Wskakuję do samochodu, powtarzając sobie, że mleko i tak już się rozlało. Sąsiedzi zdążyli pojechać do pracy, więc kto miał napis zobaczyć, zobaczył. Mimo to błyskawicznie odpalam silnik i ruszam z piskiem opon. Kiedy wyjeżdżam na drogę, przychodzi mi do głowy, żeby zadzwonić do Arka. Rezygnuję jednak, bo brat najpewniej jest już w sali operacyjnej, więc i tak nie odbierze, a to przecież niemożliwe, że nie zauważył napisu, gdy wychodził z domu. Nie sądzę również, że nie powiedziałby mi o nim.

Dojazd do Krakowa zajmuje mi zaledwie piętnaście minut, poranne korki już odpuściły. Trochę tłoczno jest jedynie na Opolskiej, na odcinku między ikeą a placem Imbramowskim, ale to norma. Za niecałe pół godziny powinnam dotrzeć na Czyżyny, gdzie mieszka Daga. Przekonywałam ją, żeby kupiła mieszkanie bliżej Epione, wtedy mogłaby podskoczyć do domu niemal w każdej chwili, ale apartamenty przy parku Woźniców tak ją oczarowały, że klamka zapadła.

Zostawiam samochód na miejscu parkingowym Dagi i truchtam w stronę bloku. Kiedy podchodzę pod drzwi mieszkania, słyszę skomlenie Estery. Kusiło mnie, żeby najpierw podjechać do obi po rozpuszczalnik, dobrze, że tego nie zrobiłam.

Otwieram drzwi, a suczka Dagi od razu zaczyna merdać ogonem i biegać wkoło moich nóg.

– No już, już, wychodzimy, maleńka. – Głaszczę psinę, po czym porywam z wieszaka smycz, a z dolnej szuflady woreczki na psie odchody.

Wychodzimy na zewnątrz. Estera załatwia się na pierwszym napotkanym kawałku trawy, a ja po niej sprzątam. Psiak ma ochotę jeszcze pospacerować, ale dziś nie mam na to czasu. Zaciągam niezadowoloną Esterę z powrotem do mieszkania. Zanim wyjdę, sprawdzam jeszcze, czy suczka ma wodę – miska jest pełna.

Kiedy zamykam drzwi mieszkania, dzwoni Daga.

– Właśnie od niej wychodzę – oznajmiam. – Skomlała pod drzwiami, bidulka.

– Dzięki ci wielkie!

– Drobnostka – kwituję.

– Wracasz do domu?

– Muszę jeszcze podjechać do obi po rozpuszczalnik. A jak mama?

– Jesteśmy na badaniach. Pewnie jeszcze chwilę tu zejdzie. Estera na pewno by narobiła w domu.

– Sytuacja opanowana – mówię, żałując, że tego samego nie mogę powiedzieć o swoim położeniu. – Dobra, jadę po ten rozpuszczalnik. Zdzwonimy się później.

– Jakby coś się jeszcze działo, to dzwoń!

Rozłączam się i ruszam do marketu. Kiedy wysiadam z samochodu, nogi mam dziwnie miękkie, jest mi słabo. Wchodzę do sklepu i na dokładkę zalewa mnie fala potwornego gorąca. Przypominam sobie te wszystkie razy, kiedy bombardowało mnie podobne ciepło. Unoszę głowę wyżej, tylko tak zdołam sobie z nim poradzić. Klucząc między półkami, odnoszę nieodparte wrażenie, że wszyscy się na mnie gapią, że moja obecność nie uchodzi uwadze ani pracowników, ani klientów sklepu. Więcej, że każdy doskonale wie, po co tutaj przyszłam.

Znajduję właściwy regał, ubranie nieprzyjemnie lepi mi się do ciała. Mam ochotę zdjąć kurtkę, ale boję się, że wtedy będę jeszcze bardziej się wyróżniać, niektórzy chodzą jeszcze w puchówkach.

– Pomóc pani w czymś? – słyszę za swoimi plecami.

Obracam się, czując, że puls gwałtownie mi przyspiesza.

– Czego pani potrzebuje? – pyta uprzejmym tonem pracownik marketu.

Przyglądam się chłopakowi uważnie, wątpię, żeby miał więcej niż dwadzieścia lat. Ma delikatne rysy twarzy i piegi na nosie. W pomarańczowej koszulce wygląda jak animator dla przedszkolaków. Sprawia miłe wrażenie, ale wiem, że to mogą być tylko pozory.

– Czego pani szuka? – zagaduje znów.

– Ro-rozpuszczalnika – jąkam się, jakby przyznanie się do tego faktu miało zdradzić, co mnie dziś spotkało.

– Proszę, to tutaj. – Pracownik wskazuje mi ręką półkę. – Jakiego konkretnie pani potrzebuje?

– Zwykłego. Takiego, co zmyje farbę.

– Jaką konkretnie? – dopytuje chłopak.

– No taką normalną. Którą się maluje… na przykład… – przełykam ślinę – …drzwi.

– Pewnie chodzi pani o akrylową. W takim razie proszę wziąć ten uniwersalny.

– Dzi-dziękuję – dukam.

Chłopak się uśmiecha. Przyglądam mu się podejrzliwie, ale nie dostrzegam na jego twarzy żadnego fałszu, pogardliwego grymasu ani złośliwego spojrzenia.

– W czymś jeszcze mogę pani pomóc? – pyta.

– Nie. Tylko ten rozpuszczalnik jest mi potrzebny. Dziękuję.

Krótkie skinięcie głową i chłopak odchodzi. Obserwuję go jeszcze przez chwilę, ale nadal nic nie wskazuje na to, żeby mnie rozpoznał.

Przymykam powieki, bo zachowuję się co najmniej nieracjonalnie. Jednocześnie wiem, że choćbym stanęła na głowie, nie zatrzymam tego. Tego, co ma się wydarzyć, i tego, jak mocno znów będę przeżywać.

Płacę za zakupy i wracam do samochodu. Po drodze do Tomaszowic udaje mi się wziąć w garść. Podjeżdżam pod dom w iście bojowym nastroju, gotowa do działania, zdeterminowana, żeby wreszcie pozbyć się obrzydliwego napisu ze swoich drzwi. Zanim jednak naciskam guzik na pilocie, żeby otworzyć bramę wjazdową, spoglądam na dom i doznaję absolutnego szoku.

6

Wytrzeszczam oczy, jakby to one mnie zawodziły. Jestem tak oszołomiona widokiem, że rezygnuję z otwierania bramy. Gaszę silnik, zostawiam samochód na ulicy i wbiegam na podwórko. Dopadam drzwi. Dotykam ich gładkiej, lekko błyszczącej powierzchni z największym niedowierzaniem. W głowie mi huczy.

Odsuwam się kilka kroków, zamykam i otwieram oczy. Wciąż to samo. Czysto. Na drzwiach nie ma żadnego napisu. Żadnych liter czy rozbryzgów farby.

Podchodzę ponownie pod drzwi i przyglądam im się z bliska.

– Kurwa! – klnę na głos, z sekundy na sekundę coraz bardziej zdezorientowana. – Kurwa, kurwa, kurwa mać!

Milknę, kiedy dociera do mnie, że to kurwowanie w niczym mi nie pomoże. Rozglądam się dookoła z podejrzliwością, jakiej dawno w sobie nie miałam. Co tu się odwala, do ciężkiej cholery?!

Zrywam się z miejsca i wybiegam na ulicę. Wzdłuż drogi jest kilkadziesiąt takich samych domów jednorodzinnych, budował je deweloper. Może pomyliłam posesje? Co za bzdura! Kręcę głową, nie dowierzając, że takie absurdy przychodzą mi w ogóle do głowy. Potrafię rozpoznać swój dom, na Boga! Mieszkam w nim od ponad dekady.

Wracam na podwórko i jeszcze raz przyglądam się drzwiom. Noż cholera, ani śladu szkarłatnej farby. Przysuwam się jeszcze bliżej, żeby je powąchać, ciekawa, czy wyczuję zapach rozpuszczalnika. W tej samej chwili rozlega się klakson.

Odskakuję od drzwi jak oparzona, tętno gwałtownie mi przyspiesza. Nim dotrze do mnie, co się dzieje, piskliwy dźwięk się

powtarza.

– To pani samochód? – słyszę rozgniewany głos.

– Tak! – Ruszam w stronę furtki. – Już odjeżdżam.

– Mogła pani chociaż na pobocze zjechać! – piekli się mężczyzna w aucie, które właśnie zrównuje się z moim. – A nie stać centralnie na drodze. Co to za zwyczaje, do diabła!

– A pan mógł przejechać drugim pasem, tak jak teraz, zamiast drzeć japę.

Facetowi rzednie mina. Zasuwa szybę i z impetem odjeżdża.

– Burak – mruczę pod nosem, wsiadając do swojego samochodu. Całe szczęście, że to droga wewnętrza i nie jeździ tu wiele aut, myślę. Głównie mieszkańcy.

Wjeżdżam na podwórko, zastanawiając się, kim w takim razie był ten wkurzony facet. Nie wydawał mi się znajomy, ale nie znam przecież wszystkich sąsiadów, zwłaszcza tych, którzy mieszkają na końcu ulicy. Nie wiem też, kto się stąd wyprowadza, a kto wprowadza, teraz takie roszady są na porządku dziennym. Ludzie coraz rzadziej przywiązują się do jednego miejsca, zmiany weszły nam w nawyk.

Przenoszę wzrok z powrotem na wejście do domu i zaczynam żałować, że nie zrobiłam zdjęcia tamtym bazgrołom. Miałabym niepodważalny dowód, że rzeczywiście tam były.

Ktoś ten napis po prostu zmył, kiedy byłam w sklepie – powtarzam sobie ten oczywisty fakt kilkukrotnie, bo nawiedzają mnie niedorzeczne pomysły, jak choćby to, że mogłam doświadczyć jakiegoś przywidzenia.

Sięgam po telefon. Tym razem świadomość, że Arek może być na sali operacyjnej, mnie nie powstrzymuje, dzwonię do brata.

– Cześć, Olga… – Odbiera połączenie. Najwyraźniej udało mi się wstrzelić w przerwę między jednym zabiegiem a drugim. – Już wstałaś? Jak noc? Nie mogłaś zasnąć… – Arek wie, że w trudnych chwilach pomaga mi aura gabinetu na poddaszu.

– No ciężko było… – rzucam, by zaraz potem bez zbędnych ceregieli opowiedzieć, co się wydarzyło. Usiłuję brzmieć spokojnie, nie okazywać, jak bardzo ta sytuacja mną wstrząsnęła, łatwo jednak ulegam emocjom. Mój głos jest podniesiony, mówię szybko i trochę nieskładnie.

Kiedy kończę, Arek milczy.

– Jesteś tam? – Sprawdzam, czy przypadkiem coś nie przerwało nam połączenia.

– Trzeba było jeszcze pospać – stwierdza w odpowiedzi. – Przenieś się do łóżka albo…

– Co? – rzucam zdezorientowana.

– Noc na fotelu nie należy do…

– Arek, do diabła, czy ty słyszałeś, co ja przed chwilą ci powiedziałam? – pieklę się. – Ktoś pobazgrał drzwi, potem ten napis zmył, a ty mnie pytasz, czy się wyspałam?

Na linii panuje cisza.

Odsuwam telefon od ucha i ponownie sprawdzam, czy połączenie nie zostało przerwane.

– Olga, spokojnie… – słyszę, gdy znów przykładam komórkę do ucha. – Domyślam się, że wszystko w tobie odżyło. Właśnie dlatego nie chciałem, żebyś wczoraj oglądała te wszystkie serwisy informacyjne. Wiem, że to dla ciebie trudne.

– W takim razie ten ktoś zjawił się u nas dopiero po tym, jak wyszedłeś do pracy – wnioskuję, ignorując to, co mówi Arek, jakby ustalenie dokładnego momentu pomazania moich drzwi miało jakieś fundamentalne znaczenie. – A potem ten ktoś tu wrócił i umył drzwi. Co za popapraniec!

I to większy, niż mogłoby się wydawać, przychodzi mi zaraz na myśl, bo nie sądzę, żeby popchnęła go do tego refleksja, że źle zrobił. Raczej uznał, że osiągnął swój cel. A cel był jasny – miałam zobaczyć napis.

Przełykam ślinę przez ściśnięte gardło, natomiast dłoń wędruje mi na metalowy wisior. Dziś mam go schowanego pod swetrem, więc chwytam krzyż przez miękki materiał. Rozglądam się dookoła. Ktoś musiał mnie obserwować, skoro napis znikł właśnie wtedy, gdy pojechałam do sklepu. Niewykluczone, że wciąż to robi. Chce mnie przestraszyć?

– Kto to zrobił? – mamroczę pod nosem.

Po głowie zaczyna mi chodzić coraz bardziej natrętna myśl, że dzisiejszy incydent niekoniecznie musi być związany z Maurycym. Poprzednie napisy nie znikały same, każdy musiałam własnoręcznie zmyć. Czasem nawet doprowadzenie elewacji domu czy paneli ogrodzeniowych do porządku wymagało wezwania ekipy fachowców.

Zaciskam palce mocniej na twardym wisiorze. Dostałam go od Kaśki. Kumplowałyśmy się, ona też wychowywała się w domu dziecka, jednak dziewczyna w przeciwieństwie do mnie nie pozwalała, żeby ktokolwiek z niej drwił. Ja byłam klasowym, ba, szkolnym pośmiewiskiem. Wielu uczniów bawiło to, że mieszkam w bidulu. Kaśka mnóstwo razy stawała w mojej obronie.

Przez pewien czas byłyśmy jak papużki nierozłączki. Dopiero tamta noc nas poróżniła, a Kaśka przysięgła, że nigdy mi nie wybaczy. Żyłam w przekonaniu, że nasze drogi się rozeszły, może błędnie założyłam, że już nigdy się nie skrzyżują.

Ściskam miedziany krzyż jeszcze mocniej. Wbrew pozorom wisior wcale nie przypomina mi o przeszłości, przeciwnie – jest dla mnie swoistym amuletem niepamięci.

– Słuchaj, może jest jakieś racjonalne wyjaśnienie tego, co zaszło. – Z zamyślenia wyrywa mnie głos Arka. Brat brzmi nieswojo, niepewnie, co zupełnie do niego nie pasuje. Najwyraźniej jest zmieszany sytuacją nie mniej niż ja sama.

– Może ktoś chce mnie zastraszyć? – mówię cicho, prawie szeptem.

– Zastraszyć? W jakim celu?

Arek nie wie o Kaśce ani tym bardziej o tym, co razem przeżyłyśmy, i nie zamierzam tego zmieniać. Z tej znajomości nie zwierzyłam się nawet Maurycemu. Zagrzebałam tamten okres swojego życia głęboko w pamięci i tylko sporadycznie wracam do niewygodnych wspomnień. Gdy do mojego domu wtargnęła policja, tamten spokój runął. Jasne, okazało się, że chodzi o Maurycego, ale raz naruszona konstrukcja staje się podatna na kolejne wstrząsy.

– Ktoś przyszedł i wymył te drzwi. Po co? Żeby mnie przestraszyć – upieram się.

– Miałabyś się przestraszyć napisu? – Brat prycha. Mam wrażenie, że odzyskuje typowy dla siebie animusz. – Bo to raz ktoś ci malował po drzwiach?

– Tyle że nigdy żaden napis sam nie zniknął – przypominam mu. – Nie wiem, co tu się, do ciężkiej cholery, odkurwia. – Puszczam metalowy krzyż.

To głupie, że wracam do tamtych wydarzeń. Przecież napis wyraźnie nawiązywał do rzekomej winy Maurycego. A Fabian był bydlakiem i choć miłość potrafi zaślepić, Kaśka musiała zdawać sobie sprawę z tego, z kim tak naprawdę się związała. W końcu nikomu słowem nie pisnęła o tamtej nocy.

– Dasz sobie radę, Olga? – pyta tymczasem Arek. – Muszę kończyć, zaraz wchodzę na salę.

– Tak, tak, jasne – zapewniam. – Leć.

– Zadzwonię później, a jak nie, to wieczorem pogadamy, okej?

– Dobrze – zgadzam się.

– Trzymaj się, młoda.

Odsuwam telefon od ucha i wbijam wzrok w drzwi. Podrzędny wandal nie zawracałby sobie głowy usuwaniem napisu. Skóra na karku zaczyna mnie nieprzyjemnie mrowić, po chwili czuję, że drętwieją mi całe ramiona. Tu ewidentnie chodzi o coś więcej.

—

–

—

Przyglądam się leżącej nieruchomo kobiecie. Wygląda bardzo spokojnie, jakby spała. Może dlatego, że to sen wieczny. Kres, który chcę odwrócić. Wierzę, że w końcu mi się to uda.

Spoglądam na zegarek. Serce kobiety przestało bić dokładnie siedem minut i czterdzieści trzy sekundy temu. Zmarła w kontrolowanych warunkach. Nie cierpiała, odpowiednia mieszanka leków najpierw pozbawiła ją przytomności, a później zatrzymała funkcje życiowe.

Biorę do ręki strzykawkę z przezroczystym płynem. Bufor życia – tak nazywam roztwór, który się w niej znajduje. Pięknie, prawda?

Zerkam na zegar, jeszcze minuta i czterdzieści dwie sekundy. Przestrzegam zasady dziesięciu minut. Nie zakładam, że tak będzie zawsze, wiem jednak, że wydłużenie tego czasu nie nastąpi szybko. Ale nie tracę nadziei. Pomimo nieustającego postępu i poszerzania wiedzy ludzkie ciało pozostaje tajemnicą, a medycyna stale nas zaskakuje.

Pstrykam palcami w strzykawkę, żeby pozbyć się pęcherzyków powietrza, i bufor jest gotowy do podania. Zostały ostatnie sekundy. Czekam, nie odrywając wzroku od zegara. Mrowi mnie skóra, buzuje we mnie ekscytacja, ale nie mogę jej ulec. Teraz ważne są koncentracja i sekwencja działań. Muszę powściągnąć emocje. Potrafię to zrobić.

Tłumienie uczuć mam opanowane do perfekcji. W dzieciństwie była to umiejętność, która nieraz uratowała mi skórę. Nie wolno mi było płakać ani marudzić. Nikogo nie obchodziło moje zdanie, wszak dzieci i ryby głosu nie mają. Nie mogło mnie nic boleć, nie mogło być mi przykro, matka zawsze lepiej wiedziała, co czuję. Przecież nic się nie stało, powtarzała za każdym razem, gdy coś mnie zraniło. No już, przestań się mazać, ciągle tylko beczysz z byle powodu, mam tego dość. Złości nie tolerowała w ogóle, no bo dlaczego miałaby godzić się na krzyki i wrzaski kapryśnego kilkulatka? Tymczasem

sama, gdy kłóciła się z ojcem, potrafiła ciskać talerzami o kuchenną posadzkę.

Takie czasy, powie ktoś, tak było i tyle, nie ma co przesadzać. Tyle że trauma z dzieciństwa nie znika z biegiem lat ani nie rozpływa się w magiczny sposób, gdy stajemy się dorośli. Ona przeradza się w coś znacznie gorszego.

Kiedy mija równe dziesięć minut, odkąd u pacjentki ustały podstawowe funkcje życiowe, mocuję strzykawkę do wenflonu i wprowadzam bufor do żyły kobiety. Odkładam strzykawkę, by natychmiast przystąpić do resuscytacji krążeniowo-oddechowej. Najpierw sztuczne wdechy – używam do nich worka ambu – a zaraz potem ręczne uciśnięcia klatki piersiowej. Przy każdym mostek kobiety zapada się na kilka centymetrów, dbam też o właściwą częstotliwość. Zadanie męczące, lecz absolutnie niezbędne, więc każdy mój ruch jest staranny.

Po paru cyklach zaczynam odczuwać ból mięśni, palą mnie ramiona, barki i plecy, oddycham szybko, na czole zbierają mi się pierwsze krople potu.

– No dalej – wymyka mi się ust, kiedy kolejny cykl nie przynosi efektów, a ogarniające mnie zmęczenie staje się trudne do zignorowania. Nie poddaję się tak od razu, to nie w moim stylu. Wytrwałość jest kluczowa.

Przestaję wentylować pacjentkę i sięgam po drugą strzykawkę, również wypełnioną buforem. Wciskam jej zawartość do żyły kobiety.

Wracam do resuscytacji.

Mięśnie ramion mi drżą, zagryzam zęby, żeby zebrać siły do kolejnych ucisków mostka. Jeden, drugi, trzeci, czwarty... Wydaje mi się, że robię to zbyt płytko, więc biorę głębszy wdech i napieram mocniej. Rozlega się trzask. Ktoś, kto nigdy nie słyszał tego dźwięku, nie zorientowałby się, jak powstał, może nawet jego błona bębenkowa nie zdołałaby go wyłapać, ale ja świetnie wiem, że właśnie pękają żebra. Trzask się powtarza, jeśli eksperyment się powiedzie, kobietę będzie czekała długa i nieprzyjemna rekonwalescencja. Wiem, jak uciążliwe jest pęknięte żebro, pogruchotana klatka musi piekielnie boleć.

Postanawiam zaaplikować pacjentce trzecią porcję buforu. Łączna dawka adrenaliny jest wysoka, ale przecież trupa nie można już bardziej zabić. Wstrzykuję roztwór i zipiąc ze zmęczenia, usiłuję pobudzić martwe serce do pracy. Zapieram się w sobie, żeby moje ruchy pozostały wystarczająco silne. Po chwili czuję, że pierś kobiety traci na oporze, uciśnięcia stały się zdecydowanie łatwiejsze. Żebra musiały połamać się w wielu miejscach, a więc nie tylko przestały chronić narządy wewnętrze, ale najpewniej je zmasakrowały. Podziurawiły płuca, powbijały się w przeponę, żołądek,

może nawet przeorały samo serce. To moment, w którym wiem, że mogę przestać. Nie wskrzeszę jej. Nie udało się.

7

Postanawiam znaleźć Kaśkę w mediach społecznościowych. Ludzie lubią się tam uzewnętrzniać, czasem potrafią relacjonować swoje życie w detalach. Jasne, zwykle jest to zafałszowany obraz ich rzeczywistości, w końcu każdy z nas szuka poklasku. Nie bez powodu potrzeba uznania zajmuje szczególne miejsce w piramidzie potrzeb. Nie zmienia to jednak faktu, że nawet najbardziej podkoloryzowane zdjęcia i posty pozwalają co nieco się o człowieku dowiedzieć.

Wcześniej już kilka razy korciło mnie, żeby namierzyć dziewczynę, podejrzeć jej życie, ale nie chciałam zakłócać spokoju dawnej przyjaciółki. Poza tym powstrzymywała mnie świadomość, że zderzenie z przeszłością może okazać się dla mnie bardziej bolesne, niż mi się wydaje. Wracanie do tego, co było, zwykle nie przynosi niczego dobrego. Wolałam nie kusić losu.

Teraz sytuacja jest nieco inna. Nie mam pewności, czy przypadkiem przeszłość mnie nie odnalazła, jeszcze zanim zdecydowałam, czy jestem w stanie się z nią zmierzyć.

Nie udaje mi się znaleźć dawnej przyjaciółki ani na Facebooku, ani na Instagramie. Czas spędzony na TikToku również okazuje się bezowocny. Próbuję wpisywać przeróżne warianty jej imienia, nawet ksywkę, którą posługiwała się jeszcze w czasach szkolnych. Katarzyn, Kaś, Kasiek i Kach jest od groma, posiłkuję się datą urodzin Kaśki, ale to też nie zdaje egzaminu.

Chyba nie mam innego wyjścia, jak odpuścić. Kont jest tyle, że nie jestem w stanie ich wszystkich przejrzeć, a do tego nie mogę wykluczyć, że dziewczyna w ogóle nie istnieje w mediach społecznościowych.

– Dostałam wiadomość…

Odrywam wzrok od laptopa i obracałam się w stronę telewizora, który przez cały czas mam włączony. Na ekranie widzę Paulinę Malczyk.

– …krótką i zwięzłą – mówi.

– Jak ona brzmiała? – pyta reporterka.

– „Wróciłem" – odpowiada kobieta.

Wstaję z krzesła i przechodzę do salonu. Oglądam wywiad z Pauliną Malczyk w największym skupieniu, choć wczoraj widziałam go co najmniej kilka razy. Kiedy twarz kobiety znika z ekranu, pojawia się jedna z dziennikarek TVN-u, która prowadzi dzisiejszy serwis. Przypomina o reportażu *Pan Michał, jedyny odnaleziony* i oznajmia, że zostanie on ponownie wyemitowany w wieczornej *Uwadze*. Pamiętam to nagranie jak przez mgłę, z pewnością je oglądałam, ale wtedy tyle się wokół działo… Tamten czas był dla mnie wyjątkowo trudny. Potrzebowałam leków uspokajających, żeby jakoś się trzymać. Zresztą biorę je do dziś, pozwalają mi zachować równowagę.

Kiedy serwis się kończy, postanawiam obejrzeć reportaż o Michale Malczyku teraz, zamiast czekać do wieczora. Sięgam po laptop. Znalezienie właściwego materiału nie zajmuje mi dużo czasu, zaczynam oglądać.

Twarz Malczyka wykrzywiają niekontrolowane tiki. Mężczyzna siedzi na wózku inwalidzkim, nie porusza żadną z kończyn, jego ręce i nogi pozostają bezwładne. Tył głowy ma podparty, wygląda na to, że całe jego ciało jest sparaliżowane.

Autor reportażu nakreśla, kim jest Malczyk, i krótko przedstawia okoliczności jego odnalezienia. Zauważył go przypadkowy rowerzysta, pan Michał leżał przy zjeżdżalni na placu zabaw w parku Aleksandry na Prokocimiu. W chwili przyjazdu pogotowia był przytomny, jednak nie udało się z nim porozumieć.

Narrator informuje, że lekarze zajmujący się poszkodowanym stwierdzili znaczne uszkodzenie struktur mózgowych, co

spowodowało swoisty paraliż i uratę szeregu funkcji. Mózg mężczyzny najprawdopodobniej doznał rozległego niedotlenienia, nie udało się jednak ustalić, co je wywołało. Na ciele Malczyka nie znaleziono obrażeń świadczących o duszeniu czy podtapianiu ani innych urazów, które mogłyby spowodować zatrzymanie akcji serca.

– Mąż jest całkowicie sparaliżowany – oświadcza żona pokrzywdzonego. Nie płacze, jednak nietrudno odgadnąć, że kiepsko radzi sobie z tym, co ją, a raczej ich, spotkało. Mówi powoli, nieco monotonnie. Obstawiam, że jest na proszkach uspokajających. – Nie ma mowy o tym, żeby sam zadbał o swoje podstawowe potrzeby. Kąpię go i karmię. Przebieram po toalecie… niczym nieporadne niemowlę. – Zawiesza na moment głos. – Oczywiście też nie mówi. Wodzi oczami dookoła, nie wiem nawet, czy mnie poznaje.

Znów następuje chwila ciszy, tym razem znacznie dłuższa. Spodziewam się usłyszeć chlipanie albo przynajmniej pociąganie nosem, ale nie. Malczykowa nie roni ani jednej łzy. Na bank nafaszerowano ją lekami uspokajającymi. Wcale się temu nie dziwię, sama po nie sięgam. A przecież cały czas miałam nadzieję, że Maurycy się odnajdzie. Zgłosiłam nawet jego zaginięcie, licząc na to, że może wtedy policja spojrzy na sprawę również z innej perspektywy. Ujrzy w moim mężu potencjalną ofiarę.

Malczykowa nie mogła mieć nadziei. I nie dość, że skrzywdzono człowieka, który był najbliższy jej sercu, to jeszcze kalectwo męża spadło na jej barki.

– Czuję się winna… – wyznaje po chwili.

– Winna?

– To ja namówiłam go na badania.

– Profilaktyczne, w ramach programu czterdzieści plus – dopowiada reporter, kiwając głową.

– I żeby zrobił je w Epione – dorzuca jeszcze Paulina Malczyk.

– To naturalne, skoro pani tam pracuje. – Dziennikarz usiłuje podnieść kobietę na duchu.

– Chciałam zapewnić mu najlepszą jakość badań, a… – Ponownie zawiesza na chwilę głos.

– Nie mogła pani przewidzieć tego, co się stanie.

– Nie mogłam. – Kiwa głową, nie patrzy w kamerę. – Wtedy jeszcze nikt nie podejrzewał Sobonia. Ale to bez znaczenia. Nigdy nie przestanę się obwiniać. Nigdy nie przestanę żałować, że nie zdecydowaliśmy się na inny szpital.

Zaciskam usta i oddycham ciężko przez nos. Trudno mi nie ubolewać nad tym, co spotkało Malczykową. Naprawdę jej współczuję, jest mi tej kobiety zwyczajnie szkoda, i to do tego stopnia, że kiedy na nią patrzę, ściska mnie w dołku.

A mimo to oprócz tych uczuć kiełkuje we mnie złość. Przecież Maurycy nie został osądzony. Niczego mu nie udowodniono. Nie udało się go nawet znaleźć! Do tej pory nie mam pojęcia, co się z nim stało ani co dzieje się z nim teraz. Nikt więc nie ma prawa mówić o nim w tak jednoznaczny sposób. Żyjemy przecież w kraju, w którym obowiązuje domniemanie niewinności.

Oczywiście pamiętam o tym, że policja wciąż ma telefon Maurycego. Nie wątpię, iż faktycznie to komórka mojego męża, aparat jest zarejestrowany na niego i miałam okazję trzymać go w dłoni. Nie przestają mnie natomiast dziwić zdjęcia, które policja znalazła w galerii telefonu. Sprawcy lubią fotografować swoje ofiary, usłyszałam. Dobrze, może i lubią, ale co z ryzykiem, jakie niesie podobne działanie? Maurycy był zbyt inteligentny, żeby zostawiać po sobie takie ślady. Gdyby był tym, za kogo go mają, zrobiłby wszystko tak, że nawet by go nie podejrzewali.

Do końca materiału nie potrafię się rozluźnić. Maurycego przywołują jeszcze kilkukrotnie. Ani przez moment u żadnego z bohaterów reportażu nie pojawia się wahanie, nikt nawet nie sugeruje, że Maurycy mógł podzielić los tamtych ludzi. Jednocześnie nikomu, ani śledczym, ani lekarzom zajmującym się Malczykiem, nie udało się postawić żadnej hipotezy na temat tego, co faktycznie się

wydarzyło. Wielką niewiadomą pozostaje też motyw działania sprawcy.

Reportaż naszpikowany jest pytaniami bez odpowiedzi. Dlaczego znalazł się tylko pan Michał? Czy reszta zaginionych także żyje? Jeśli żyją, to gdzie są i czy ich stan jest podobny do stanu Malczyka? Co doprowadziło odnalezionego mężczyznę do tak daleko posuniętego paraliżu?

– On go tak naprawdę zabił. – Malczykowa wreszcie zaczyna chlipać.

On. Czyli Maurycy. Kłuje mnie w piersi jeszcze bardziej, bo wiem, że mój mąż nie mógł tego zrobić. Nigdy nie uwierzę w to, że kogoś skrzywdził, a co dopiero pozbawił życia.

Nigdy.

– A nawet gorzej – zawodzi dalej kobieta – bo skazał Michała na ciągłe cierpienie. Pracuję w szpitalu, nikt mi nie wmówi, że męża nie boli. – Poszkodowana miętosi w palcach wciąż suchą chusteczkę. – Soboń to… to diabeł w ludzkiej skórze, nie człowiek.

Kamera robi zbliżenie na twarz kobiety. Przyglądam się jej zaczerwienionym oczom, które w końcu wypełniają się łzami. Niewiele brakuje, żeby moje źrenice również zwilgotniały. Koncentruję się jednak na pewności, która czai się za bólem Malczykowej. Jest głęboka i odnoszę wrażenie, że niczym niezachwiana. Zaczyna mi się nawet wydawać, że przerasta wszystko inne. Może nie powinnam się temu dziwić, bo przecież każdy chce wiedzieć. Bywa, że rodziny ofiar całymi latami poszukują sprawców, którzy skrzywdzili ich bliskich.

Malczykowa miała tę pewność już wtedy, gdy znaleźli jej męża, myślę, kiedy twarz kobiety nadal wypełnia ekran. I do tej pory nic się nie zmieniło. Przypominam sobie wczorajszy wywiad z kobietą. Wciąż jest przekonana o winie Maurycego.

– Bydlę, jakich mało na tym świecie. – Z ust Pauliny Malczyk padają kolejne słowa, a mnie zaczyna mdlić. Chcę pozostać

wyrozumiałą, powtarzam więc sobie, że tę kobietę spotkała niewyobrażalna tragedia i że ona zwyczajnie tego potrzebuje. Konkretnej osoby, winowajcy. Kogoś, kto jakkolwiek zapłaci za los, który jej zgotowano.

Wyłączam telewizor, nie mogę dłużej przyglądać się Malczykowej, bo z każdą kolejną sekundą jej przekonanie o winie Maurycego zaczyna wydawać mi się coraz bardziej nie na miejscu. Staje się dla mnie wręcz odrażające. I co gorsza, przyćmiewa to, co w tej historii najistotniejsze – krzywdę, jaką jej wyrządzono. Jej i jej mężowi.

W domu panuje cisza, niestety w mojej głowie jest zupełnie odwrotnie. Bydlę, obija mi się o czaszkę. Po chwili huczą już także inne obelgi.

Zwyrol i zdzira zwyrola.

A potem cały szereg kolejnych.

Sięgam po komórkę. Wcale nie mam ochoty z nim rozmawiać, ale coś mi podpowiada, że powinnam do niego zadzwonić.

8

– Dzień dobry, pani Soboń – wita mnie niski głos. Doskonale go pamiętam, jego barwę rozpoznałabym wszędzie.

Okazuje się, że wciąż działa na mnie w ten sam sposób. Denerwuję się. Momentalnie zasycha mi w gardle i mrowi mnie skóra.

– Dawno nie rozmawialiśmy…

– Dzień dobry. To prawda – przyznaję.

– Dobrze, że zachowała pani mój numer – mówi.

Kiwam głową w milczeniu, zastanawiając się, co właściwie oznacza to stwierdzenie.

– Pan również mojego nie wykasował – zauważam.

– Może czułem, że nasze drogi wcześniej czy później znów się skrzyżują?

– Skrzyżowały się? – pytam.

– Na to wygląda.

– Czyli to pan zajmuje się sprawą tego nowego zaginięcia?

Komisarz Łukasz Jankowski nic nie mówi, co w gruncie rzeczy jest odpowiedzią.

– A więc słucham – odzywa się po chwili. – Z jakiego powodu pani dzwoni?

– Oglądałam wiadomości. – Od razu przechodzę do sedna sprawy. – Widziałam wywiad z Pauliną Malczyk. Opowiadała o wiadomości, którą rzekomo wysłał jej sprawca. Twierdziła, iż jasno napisał, że wrócił.

– Mhm – mruczy jedynie śledczy.

– Bada pan to?

– Co dokładnie? – Policjant udaje, że nie zrozumiał, o co go pytam.

– Kwestię tej wiadomości, oczywiście.

Policjant wzdycha.

– Pan zajmuje się tą wiadomością? – naciskam.

– Przecież doskonale pani wie, że nie zdradzę pani żadnych szczegółów.

– O ile nie pozwolą one panu pozyskać nowych.

Jankowski milczy przez moment, oczami wyobraźni widzę, jak wydyma usta. Jeśli faktycznie tak jest, to dobry znak. Rozważa, czym może się ze mną podzielić. W końcu nie od dziś wiadomo, że najlepszym sposobem na zdobywanie informacji jest dawanie informacji. To buduje zaufanie. Policjant stosował wobec mnie tę taktykę już wtedy, pięć lat temu, pewnie licząc, że w końcu zdradzę mu coś, co okaże się przełomowe dla sprawy. Niestety nie mógł wiedzieć, że to się nigdy nie stanie, bo ja po prostu nie miałam pojęcia, co się wydarzyło i kto za to wszystko odpowiada. Nic się nie zmieniło, nadal niczego nie wiem.

– Dlaczego rzekomej? – pyta funkcjonariusz.

– Bo nie rozumiem, po co miałby wysyłać taką wiadomość właśnie do Pauliny Malczyk.

– Pani zdaniem do kogo sprawca mógłby wysłać taką wiadomość?

Przygryzam wargę, żeby nie powiedzieć tego, co w tej chwili ciśnie mi się na usta. Wiem, że w przeciwieństwie do mnie komisarz ma na myśli Maurycego.

– Bardziej sensowne byłoby wysłać taką wiadomość na przykład do pana – stwierdzam. – Jeśli to faktycznie ten sam człowiek – dodaję, znów celowo unikając jakichkolwiek personaliów.

– Przyznaję, miałoby to sens. A zatem wnioskuję, że według pani mamy do czynienia z kimś, kto tylko naśladuje pani męża?

– Wie pan, co mi w tym wszystkim najbardziej nie pasuje? – pytam, ignorując znaczenie słów policjanta. Nie czekam na

odpowiedź, od razu mówię dalej: – Tamci ludzie owszem, jak się później okazało, byli pacjentami Epione, tak samo Weronika P., ale oni nie znikali po dotarciu do placówki, prawda? Nie było tak, że pojechali do szpitala i już z niego nie wrócili. A Weronice P. najwidoczniej to właśnie się przytrafiło. No chyba nie sądzi pan, że Maurycy mógłby pojawić się w szpitalu, swobodnie się po nim poruszać i nikt by tego nie zauważył.

– Po części muszę się z panią zgodzić. Tyle że wcale nie wiemy, kiedy dokładnie zniknęła Weronika P.

– Nie dotarła na umówioną wizytę – mówię.

– I na tym nasza wiedza się kończy.

Znów zagryzam usta, w tyle głowy mam rozmowę z Dagą. „No raczej to zrobili, chyba znają się na swojej robocie" – przypominają mi się słowa przyjaciółki.

– Przecież w szpitalu jest monitoring – odzywam się. Jankowski z kolei milczy. – Zgadza się? – domagam się potwierdzenia, ale nadal nic z tego. – Nie chce mi się wierzyć, że w dzisiejszych czasach taka placówka jak Epione nie ma monitoringu!

– Szpital ma monitoring.

„I?" – ponaglam w myślach komisarza. To jednak za mało, mężczyzna znów milczy.

– Sprawa powinna zatem być prosta – stwierdzam na głos. – Albo widać, że kobieta wchodzi do szpitala, albo nie.

– Niestety sprawa wcale nie jest tak prosta, jak się pani wydaje.

– Dlaczego?

– Michał Malczyk jest jedynym, który się odnalazł. – Śledczy bezpardonowo zmienia temat. – A chyba już nikt z nas nie karmi się złudzeniami, że pozostałe osoby żyją.

– Okej. A teraz wróćmy do nadawcy listu – podejmuję wątek. – Wiadomość miałaby oznaczać, że będzie chciał dobić Malczyka? Takie przesłanie ma pan na myśli?

– Oj, nie grzeszy pani delikatnością. – Policjant cmoka głośno.

– Jestem po prostu bezpośrednia.

– Dobrze. Więc powiem bez ogródek: nie wiemy, co się wydarzyło, co poszło nie tak, że Malczyk się odnalazł. Bo to, że został po prostu uwolniony przez porywacza, jest mało prawdopodobne.

– To odręczna wiadomość? – pytam.

Jankowski milczy.

– Czy jakaś wycinanka z liter z gazet?

Policjant wzdycha.

– Proszę mi powiedzieć.

– Odręczna wiadomość – przyznaje komisarz.

– A może to tylko czcionka wyglądająca jak pismo odręczne?

– Pani Soboń…

Zgoda, wiem, że przesadziłam. Podważanie czyichś kompetencji nigdy nie jest dobrą strategią.

– Wiem, że nie powie mi pan nic, czego nie powinien, ale… – zacinam się.

Muszę coś policjantowi dać, coś, co skłoni go do podzielenia się ze mną istotnymi informacjami. Doskonale wiem, co sprawdziłoby się najlepiej. Przyznanie, że sprawcą jest Maurycy i że chcę wiedzieć, czy naprawdę wrócił, bo po prostu się boję. Ale nie zrobię tego. Nigdy nie przyłożę ręki do szerzenia oszczerstw wobec Maurycego.

– Musi pan wiedzieć, że… – podejmuję, usiłując rozegrać to inaczej. – Zaczęło się od nowa. Znów jestem atakowana.

– Co się stało? – Policjant jest zaciekawiony.

Opowiadam o napisie, który najpierw pojawił się na moich drzwiach, a później z nich tajemniczo zniknął.

– Jak długo nie było pani w domu? – pyta komisarz, gdy milknę.

– Najpierw pojechałam na Czyżyny zająć się psem przyjaciółki, musiałam wyprowadzić go na spacer, bo Daga nie mogła tego zrobić.

Wracając stamtąd do domu, wjechałam do obi na Bronowicach po rozpuszczalnik. Nie było mnie ze dwie godziny, może dwie i pół.

– Pytała pani sąsiadów, czy czegoś nie widzieli?

– Nie. Monitoringu też już nie mam.

– Proszę popytać sąsiadów.

Krzywię się. To mało zachęcająca perspektywa, ale Arek też o tym wspominał, więc może rzeczywiście to dobry pomysł.

– Okej, porozmawiam z nimi – bąkam.

– Wygląda na to, że w tej chwili niewiele więcej możemy zrobić. Da pani znać, gdyby coś podobnego się powtórzyło?

– Tak, oczywiście. Zadzwonię do pana.

– Wiadomość, którą otrzymała pani Malczyk… – podejmuje policjant zgodnie z moimi oczekiwaniami. Nadstawiam uważniej uszy, ciekawa, czym Jankowski zdecydował się ze mną podzielić. – …została przekazana do szczegółowej analizy. Próbujemy ustalić, kto jest jej autorem, choć muszę przyznać, że to trudne zadanie. Wiadomość może okazać się zbyt krótka, by cokolwiek stwierdzić. Nic więcej nie mogę pani powiedzieć.

– Rozumiem.

Rozłączam się i zaczynam pukać kantem telefonu o podbródek. Próbują ustalić, kto jest autorem wiadomości, powtarzam w myślach słowa Jankowskiego. A więc coś musi im nie grać, z jakiegoś powodu nie są całkowicie przekonani, że napisał ją Maurycy.

Wreszcie, myślę, głośno wypuszczając powietrze z płuc, wreszcie jakieś pęknięcie w tej ich niezachwianej pewności, że Maurycy jest potworem.

—

–

—

Spoglądam na pacjentkę, której nie udało mi się wskrzesić. Krew, do niedawna krążąca w jej żyłach, powoli zaczyna tworzyć plamy opadowe. Najwięcej powstanie ich na plecach, pośladkach i w tylnej części ud – oczywiście przy założeniu, że ciało pozostanie w tej pozycji przez najbliższe godziny. A to się nie wydarzy.

Przenoszę wzrok na zastygłą w bezruchu bladą twarz. Trupi odcień skóry wcale nie odbiera zmarłej urody, przeciwnie, myślę, że dobrze podkreśla jej arystokratyczne rysy twarzy. Kobieta przypomina mi słowiańską nimfę. Nawet włosy ma jak rusałka: długie, jasne, jakby platynowe, w tutejszym oświetleniu ich barwa wpada odrobinę w zieleń.

Wiem, że była żoną, mąż musiał uwielbiać te jej niesforne kosmyki. Była też matką. Nie mam pojęcia, jak sobie radziła w tej roli, ale niewykluczone, że tak beznadziejnie jak moja własna. Niedojrzałych emocjonalnie rodziców jest więcej, niż nam się wydaje, po prostu my, straumatyzowane dzieci, nie przyznajemy się do tego. Nawet przed sobą. Boimy się tego, łatwiej jest wmawiać sobie, że wcale nie było tak źle, że rodzice też mieli ciężko, że radzili sobie, jak potrafili, że wiedza o wychowaniu nie była na takim poziomie jak teraz. I to wszystko prawda, tyle że jeśli ma się serce po właściwej stronie, wystarczy po prostu istotę, którą wydało się na świat, kochać miłością zdrową. Jedynie tyle potrzeba temu małemu człowiekowi, którym każdy z nas był – zdrowej miłości.

Myśli o rodzicach, o przeszłości, tylko pogłębiają moją frustrację z powodu śmierci pacjentki. Już nie pamiętam, jak gorzki jest smak porażki, w końcu minęło ponad pięć lat od ostatniego razu. Po kilku nieudanych próbach przyszedł moment zwątpienia. Nałożył się na niego fakt, że sprawa stała się medialna, a policja węszyła, gdzie tylko się dało. Kamuflaż i chwilowe zaprzestanie działań wydawały się rozsądne.

Pięć lat, szmat czasu. Przyglądając się zmarłej, dokładnie przypominam sobie tamtą gorycz. Skręca mnie od niej w trzewiach, prawie jak wtedy, gdy każda próba zadowolenia matki spełzała na niczym. Nigdy nie udało mi się wymazać z pamięci grymasu rozczarowania, irytacji i zmęczenia, które stale malowały się na jej twarzy. Wiem, że teraz też patrzyłaby na mnie w ten sposób, tyle że już mnie to nie obchodzi. Poczucie niewystarczalności, którym mnie wykarmiła, przestało mnie niszczyć. Zmieniło się w moc, która okazała się dla mnie wielkim zaskoczeniem. Wystarczyło uwierzyć, że mogę osiągnąć znacznie więcej niż aprobatę kobiety, która mnie urodziła. Że jej uznanie jest niczym w porównaniu z tym, na czym powinno mi zależeć. Dotarło to do mnie podczas jednego z dyżurów w szpitalu. Incydent, który się wtedy wydarzył, na zawsze zmienił moje nastawienie. Ukierunkował mnie.

Zakładam dodatkową parę jednorazowych rękawiczek i biorę się do roboty. Muszę wynieść stąd zmarłą, zanim zesztywnieją mięśnie. Stężenie pośmiertne to istna zmora. Objęte nim ciało jest nieporęczne, trudne do transportowania, wydaje się też cięższe. Dlatego zawsze szczególną uwagę zwracam na wzrost i wagę pacjenta – cóż, nie będzie zaskoczeniem, że preferuję pacjentki. To po prostu bardziej praktyczne – kobiety są z reguły drobniejsze, nieco łatwiej jest mi się później nimi zająć.

Usuwam z ciała denatki wenflon i resztę ekwipunku medycznego, który był mi potrzebny. Zdejmuję też szpitalną koszulę i zakrywam ciało czystym płótnem. Nie jestem potworem, nie bezczeszczę zwłok. Odnoszę się do nich z szacunkiem i dbam, żeby spoczęły w ziemi. Miejsce jest godne, zalesione.

Tak przygotowane ciało pakuję do worka na zwłoki, do tej pory dobrze się sprawdzał. Zasuwam worek, twarz bladej rusałki znika pod czarnym tworzywem. Ciało jest gotowe do transportu. Wyniesienie go na zewnątrz i wpakowanie do samochodu kosztuje mnie mnóstwo energii. Sapię i stękam przy tym głośno. Najgorsze jest to, że taszczenie zwłok po nierównym terenie, gdy już dojadę na miejsce pochówku, wcale nie będzie prostsze.

Naprawdę nie przepadam za tą częścią eksperymentu, ale nie mogę jej w żaden sposób uniknąć. Chodziło mi po głowie, żeby wspomóc się przemysłową maszyną do mięsa, wydaje się, że pozbycie się tak rozdrobnionego ciała powinno być łatwiejsze. Pamiętam, że Joe w którymś sezonie „Ty" z takiego właśnie rozwiązania skorzystał i całkiem dobrze mu się to sprawdziło. Tyle że to przecież serial, fikcja, nie mam żadnej pewności, że faktycznie usprawniłoby to moje działania. Poza tym podtrzymuję – nie jestem potworem.

Zaangażowanie kogoś, kto zająłby się pochówkiem, również nie wchodzi w grę, jest po prostu zbyt ryzykowne.

Zatrzaskuję klapę bagażnika, samochód ma już swoje lata, ale za to jest pakowny. Na tyłach auta mieszczą się nie tylko ciała, bez większych problemów wchodzi również sprzęt potrzebny do wykopania grobu.

Ocieram pot z czoła, pozwalam sobie na jeszcze jedno głośne sapnięcie. Niezły trening, mamroczę przy tym pod nosem.

Siłowanie się z ciałem to jedno, trzeba jeszcze porządnie wyczyścić salę. Wątpię, żeby ktoś tu dotarł, lepiej jednak nie zostawiać za sobą śladów. Wiem, że dopóki mój eksperyment się nie powiedzie, ludzie nie zrozumieją.

Oceniam, jak samochód wygląda z zewnątrz. Wszystko gra, mogę jechać.

9

Przyjeżdża Daga. Przez kuchenne okno widzę, jak parkuje swojego citroëna w zatoczce przed bramą. Jeździ modelem Berlingo, przestronny bagażnik zapewnia komfortową podróż Esterze. Psina uwielbia siedzieć na tyle wozu i obserwować drogę.

Przyjaciółka niesie ze sobą torbę croissantów, zgaduję, że z nadzieniem czekoladowo-orzechowym.

– Ile ty tego kupiłaś? – pytam.

– Nie jadłam nic od północy! – rzuca w odpowiedzi. – Zajmowanie się własną matką jest gorsze niż samotny dyżur na urazówce. Serio!

Przyjaciółka opada na kanapę. W przeciwieństwie do mnie jest dość masywnej budowy, ja to przy niej drobinka. Odkąd pamiętam, Daga lubiła dbać o formę. Ciągała mnie po klubach fitness i siłowniach, niestety zawsze szybko odpadałam.

– Jestem tak głodna, że zjadłabym konia z kopytami! – śmieje się.

Daga ma piskliwy głos, który czasem przechodzi w niebotycznie wysokie dźwięki. Podobno mój wpada w podobne tony, choć muszę przyznać, że ja tego nie słyszę. Ale faktem jest, że swoim śmiechem potrafiłyśmy zagłuszyć niejedną studencką imprezę.

Właśnie na jednej z takich imprez się spotkałyśmy. Ja studiowałam na UJ-ocie anglistykę i germanistykę, natomiast Daga uczęszczała na pielęgniarstwo. Jeden wspólnie spędzony wieczór wystarczył, żebyśmy się zorientowały, iż nadajemy na tych samych falach. Zaczęłyśmy się widywać regularnie i to dzięki znajomości z Dagą poznałam swojego przyszłego męża. Można powiedzieć, że był to łut szczęścia, bo Maurycy był już na ostatnim roku medycyny, kiedy

nasze drogi się skrzyżowały, i wtedy studenckie zabawy już mało go interesowały. Niewiele brakowało, żebyśmy się rozminęli.

– Dobra, nie wiem, od czego zacząć. – Daga wgryza się w croissanta, drobne kawałki ciasta sypią się na stół. – Co to jest w ogóle za akcja z tymi drzwiami… – mówi z pełnymi ustami.

Sama też sięgam po rogalika, jest superchrupiący, przyjaciółka musiała je kupić tuż po wyjęciu z pieca.

– Co za popapraniec najpierw bazgrze komuś po drzwiach, a potem przychodzi to zmyć?

– Nie komuś, ale… zdzirze zwyrola – przypominam jej.

Daga przewraca oczami i ponownie wgryza się w ciastko.

– Słuchaj, zdrowy człowiek się tak nie zachowuje – oświadcza. – Przyszłoby ci coś takiego do głowy? Malować komuś po chałupie czy ogrodzeniu? Co ty im zrobiłaś? Nawet jeśli wierzą, że sprawcą jest Maurycy, no to Maurycy, a nie ty.

Kiwam smętnie głową.

– No, a ktoś przychodzi, bazgrze i potem to czyści. – Daga strzepuje okruchy z bluzki i sięga po drugiego rogalika.

– To trochę tak, jakby chciał mnie przestraszyć, no nie?

Przyjaciółka posyła mi pytające spojrzenie.

Daga również nie wie o mojej znajomości z Kaśką i o tym, jak tragicznie się to wszystko skończyło. Podobno każdy z nas ma przynajmniej trzy tajemnice, których nigdy nikomu nie zdradził. Ja mam tylko jeden taki sekret, za to jego brzemię wystarczyłoby, żeby przygnieść kilka dusz.

– Zmył napis, gdy wyszłam z domu – mówię, ostrożnie dobierając słowa. – Właściwie na chwilę. Wypuściłam Esterę, kupiłam rozpuszczalnik i byłam z powrotem.

– „Mam cię na oku”. Że niby taki komunikat? – zgaduje przyjaciółka.

Przytakuję skinięciem głowy.

– No może. – Daga się jednak krzywi. – Równie dobrze mogły zrobić to dwie różne osoby – ocenia. – Jedna pomalowała drzwi, ktoś inny zmył napis.

– Tylko skąd ten ktoś wiedział, że jest co zmywać?

– Przypadek? – sugeruje Daga.

– To by tylko potwierdzało, że ktoś mnie obserwuje. Żadnego z sąsiadów nie podejrzewam o miły gest wobec mnie.

Przyjaciółka zastanawia się dłuższą chwilę.

– Bez sensu – stwierdza w końcu. – Po co ktoś miałby cię obserwować?

– Nienawiść może być niebezpieczna. Wiesz, że mnie tu nie lubią.

– Dlatego tyle razy mówiłam ci, że powinnaś się stąd wynieść. – Przyjaciółka dźga powietrze palcem wskazującym. – Gdzieś, gdzie cię nie znają. Nie musi być nie wiadomo jak daleko. Wystarczyłoby, żebyś zmieniła osiedle. Żeby nikt nie znał twojego adresu. Przecież nawet media wiedzą, gdzie cię szukać!

Wzdycham. Nie mam zamiaru od nowa roztrząsać tego tematu. Nie wyprowadzę się stąd, bo ani Maurycy, ani ja żadnemu z sąsiadów nie wyrządziliśmy krzywdy. A urządzanie tego domu było spełnieniem naszych marzeń, realizacją wspólnych planów. Oboje zostawiliśmy w tym miejscu duszę. Nie chcę stąd znikać.

– Ciekawe, pod jakim kątem badają tę wiadomość, którą rzekomo dostała Paulina Malczyk – zmieniam temat.

– Dalej nie wierzysz, że ją dostała? Nawet po tym, jak potwierdził ci to sam Jankowski?

– Po prostu wydaje mi się to jakieś nierealne – przyznaję.

– Czy ja wiem? – Daga sięga po trzeciego rogalika. Sama poprzestaję na jednym. – Jeśli faktycznie ten psychol wrócił, to mógł wysłać taką wiadomość Malczykom. W końcu Malczyk żyje, a chyba każdy psychol lubi, gdy jego ofiara się boi.

Wzdycham głośno. Żałuję, że tak niewiele osób podziela moje zdanie. Daga i Arek to chyba jedyni ludzie, który wierzą w niewinność Maurycego.

– A nie byłoby bardziej sensowne, żeby taką wiadomość dostał Jankowski? – zastanawiam się głośno. – Wiesz, jako śledczy zajmujący się sprawą.

– Że niby sobie z nim pogrywa, tak? Zobaczcie, jaki jestem sprytny – Daga kołysze się na boki i macha przy tym rękami – nie możecie mnie złapać. Jestem poza waszym zasięgiem.

– Coś w ten deseń – zgadzam się.

– Nie, to zbyt wydumane. Chodzi o strach, psychopatom zawsze chodzi o strach – upiera się. – Arek widział ten napis? – Przyjaciółka znów podejmuje temat.

– Nie. Twierdzi, że drzwi były czyste, gdy rano wychodził do pracy.

– Nie wierzysz mu? – Daga pochyla się ku mnie.

– Jasne, że mu wierzę – obruszam się. – Jak mogłabym nie wierzyć Arkowi? – Nie czekam na odpowiedź, tylko mówię dalej: – Wychodzi więc na to, że ten ktoś musiał tu przyjść rano.

– Albo Arek nie zauważył tych bazgrołów – podrzuca tymczasem Daga. – Noce są jeszcze długie, słońce wstaje późno.

– Naprawdę nie sądzę, żeby coś takiego mu umknęło. – Ekran telefonu nagle jaśnieje, a w salonie rozlega się dźwięczna melodia. – Jankowski? – mówię, sięgając po komórkę.

– Ooo. – Daga oblizuje palce. – No to odbieraj, odbieraj. Może mają coś nowego!

– Słucham? – Przykładam komórkę do ucha.

– Dzień dobry, pani Soboń. Podjedziemy do pani zerknąć na te drzwi, dobrze? – Policjant od razu przechodzi do konkretów.

– Yyy… – Ze zdumienia nie wiem, co powiedzieć.

– Zjawimy się u pani, powiedzmy, w ciągu godziny.

– Dobrze, dobrze – zgadzam się, wciąż zaskoczona tym nieoczekiwanym obrotem spraw. Zgłaszałam podobne akty wandalizmu niejednokrotnie i nigdy nikt się tym specjalnie nie interesował. Nim ugryzę się w język, mówię o tym policjantowi.

– Tym razem sytuacja wygląda nieco inaczej – tłumaczy oględnie komisarz.

Kiwam głową, bo trudno polemizować z tym faktem. Nigdy wcześniej żaden napis nie zniknął.

– Cóż, w takim razie czekam na pana.

Kończę połączenie i rozkładam bezradnie ręce w stronę Dagi. Choć nie włączyłam trybu głośnomówiącego, nie mam wątpliwości, że przyjaciółka słyszała całą rozmowę.

– No i bardzo dobrze! – mówi. – Niech sprawdzą te drzwi. A nuż uda im się ustalić, kto to zrobił.

Czekamy na przyjazd Jankowskiego. Stale wyglądam przez kuchenne okno na podjazd, Daga tymczasem popija colę zero. To zabawny widok, zważywszy, że chwilę temu wsunęła trzy rogaliki z czekoladą. Maurycy twierdził inaczej; uważał, że każda eliminacja cukru z diety jest dobra.

– Może faktycznie napisał to sam sprawca – rozmyśla Daga. – Zwłaszcza jeśli to naśladowca.

Spoglądam na nią sceptycznie, ciekawa, ile jeszcze teorii ma w zanadrzu.

– Chce zrobić szum wokół siebie – przekonuje. – Najpierw odzywa się do Malczykowej, teraz zostawia wiadomość tobie.

– Trochę to grubymi nićmi szyte – komentuję.

– No co ty. – Daga upija kolejny łyk coli, sama zadowalam się wodą. – Mnie się to ładnie zgrywa.

– Ale co tu naśladować? – zastanawiam się głośno. – Nawet nie wiadomo, co tak naprawdę się stało z tamtymi ludźmi.

– Trudno powiedzieć, że Malczyk wyszedł z tego cało… – przypomina mi Daga, jakby to było potrzebne.

– Albo że pozostałych spotkało to samo co Malczyka – ripostuję.

Daga zgniata pustą puszkę po coli. W tej samej chwili podjeżdża samochód, parkuje tuż za citroënem przyjaciółki. Nie mieści się na zatoczce. Auto nie jest oznakowane, ale wiem, że przyjechał nim Jankowski. Wygląda na to, że policjant jeździ tym samym wozem co pięć lat temu. Mężczyzna wysiada ze swojej škody.

– Przyjechał – oznajmiam, odruchowo podnosząc się z miejsca. Daga też wstaje, teraz obie wyglądamy przez okno. – Odsuń się trochę. – Odciągam przyjaciółkę od szyby. – Nie musi wiedzieć, że czekamy na niego jak na szpilkach.

Wraz z komisarzem z wozu wysiada mężczyzna, którego nie znam. Facet niesie ze sobą metalową walizkę. To drobny, niewysoki blondyn, obstawiam, że jest niższy ode mnie, a sama mam zaledwie sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Obaj mężczyźni zmierzają do furtki.

– Oho, a to kto? – zastanawia się Daga.

– Cholera wie – mruczę, przypominając sobie, że Jankowski faktycznie wyrażał się w liczbie mnogiej. Podjadą obejrzeć drzwi, zjawią się w ciągu godziny. Mogłam zapytać o szczegóły, ale nie przyszło mi to do głowy, telefon od policjanta zaskoczył mnie bardziej, niż mogłabym się tego spodziewać.

– Co on się tak gapi? – rzuca przyjaciółka, gdy komisarz przystaje przy jej citroënie i się mu przygląda.

Mężczyzna nadal nosi przydługie włosy, które zakłada za ucho. Nigdy nie widziałam, żeby były związane w kitkę.

– No co on odwala? – złości się Daga.

Komisarz rzeczywiście lustruje wóz przyjaciółki dłużej, niż wydaje się to konieczne. Jego kompan jest już za furtką.

– Może chce ci wlepić mandat – próbuję żartować, kiedy śledczy pochyla się i zagląda pod nadkole.

– Ha, ha, ha, bardzo śmieszne. Niby za co?

– Skąd mam wiedzieć? Ale to twoje auto chyba najnowsze nie jest.

Wreszcie obaj mężczyźni wchodzą na podjazd, a po chwili znikają nam z oczu.

– Czekaj. – Łapię Dagę za ramię. – Niech zadzwonią.

Jak na zawołanie rozlega się dzwonek do drzwi.

– Teraz już możemy? – Przyjaciółka przewraca oczami.

Idę otworzyć.

– Dzień dobry – odzywa się Jankowski, gdy tylko uchylam drzwi.

Witam komisarza skinięciem głowy. Słowa więzną mi w gardle, zalewają mnie wspomnienia. Nigdy nie zapomnę tamtego oszołomienia, gdy w progu naszego domu zjawiła się policja. Strachu szybko przeradzającego się w przerażenie tak wielkie, że trzęsły mi się dłonie, a skóra swędziała na całym ciele, jakby oblazł mnie rój mrówek. I tego poczucia, że od teraz już nic nie będzie takie, jak było.

– Bartłomiej Miazga. – Komisarz wskazuje na mężczyznę, który stoi obok niego. – Technik – przedstawia go krótko.

Blondyn wita mnie skinięciem głowy.

– Możemy? – Komisarz wskazuje na drzwi.

– Proszę. – Zakładam ręce na piersi.

Technik rozkłada walizkę, a komisarz przygląda się mojej przyjaciółce. O nic jednak nie pyta. Zastanawiam się, czy ją pamięta.

– Długo to potrwa? – odzywa się za to Daga, kiedy technik naciąga na dłonie jednorazowe rękawiczki.

– Tyle, ile będzie trzeba – rzuca Jankowski, obracając się twarzą w moją stronę. Postarzał się. Przybyło mu zmarszczek wokół oczu i pasemek siwych włosów. – Wychodzą panie gdzieś zaraz?

– Nie, nie, skąd – odpowiadam. – Proszę się nie spieszyć.

Komisarz kiwa głową i wraca wzrokiem do technika, który przygląda się drzwiom. Sprawia wrażenie, jakby chciał zeskanować je wzrokiem. Posyła Jankowskiemu spojrzenie, którego nie potrafię

rozszyfrować. Ciekawa jestem, co zobaczył, jednak żaden z mężczyzn nie odzywa się słowem.

Technik nadal taksuje drzwi, naprawdę nie mam pojęcia, co spodziewa się tam wypatrzeć. Po chwili wreszcie odwraca się, sięga po niewielki pędzelek, całkiem podobny do tych, które mam w swojej kosmetyczce, i zaczyna przesuwać nim po powierzchni drzwi. Z pędzla sypie się jakiś pyłek.

– Szukamy śladów linii papilarnych – informuje Jankowski. Nie odrywa przy tym wzroku od pracującego technika.

– Myślicie, że facet zostawił tu takie ślady? – odzywa się Daga.

– Naprawdę wątpię – przyznaje policjant. – Ale nie zaszkodzi sprawdzić. Trochę pobrudzimy te drzwi. – Zerka na mnie. – Trzeba nałożyć proszek daktyloskopijny. Przykleja się on do substancji potowo-tłuszczowej, którą mamy na listewkach skórnych. To właśnie te listewki tworzą linie papilarne.

Kiwam głową, wdzięczna za dość obszerne jak na Jankowskiego wyjaśnienia, po czym wracamy do obserwowania poczynań technika. Mężczyzna się stara, jest bardzo dokładny. Nie widzę, żeby coś się gdzieś przyklejało, ale może niewłaściwie to sobie wyobrażam.

Technik pracuje dalej, po kilku minutach całe drzwi oprószone są jakimś grafitowym dziadostwem. Nie mam pojęcia, czy łatwo będzie je z tego wyczyścić, czy wręcz przeciwnie. Koncentruję się na tej prozaicznej sprawie, żeby zagłuszyć to, o co rzeczywiście tutaj chodzi. Dobrze wiem, kogo Jankowski typuje na sprawcę tego incydentu. Skoro tu przyjechał, musi zakładać, że to Maurycy pobazgrał drzwi.

– Przecież to bez sensu – prycham, kiedy nie udaje mi się odegnać od siebie niechcianych myśli. Zaciskam przy tym mocniej dłonie na ramionach.

Jankowski spogląda na mnie przez ramię.

– Maurycy co najwyżej to mógł zmyć ten napis – wypalam.

Komisarz obraca się całą sylwetką w moją stronę, podchodzi do mnie bliżej. Przygląda mi się wnikliwie, głowę przechylając nieco na

bok.

– No właśnie, pani Soboń – mówi, a ja z trudem przełykam ślinę. Pomyliłam się. Jankowski nie podejrzewa, że Maurycy pobazgrał mi drzwi, ale że je wyczyścił.

Zalewa mnie fala potwornego gorąca, ledwo się powstrzymuję, żeby nie rozpiąć swetra. Sięgam po starą, sprawdzoną taktykę. Unoszę wyżej podbródek, żeby nie stracić rezonu. Jednocześnie jednak czuję dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

– Mąż o panią dbał, prawda? – Słowa policjanta tylko potwierdzają, że popełniłam błąd. – Zwykle stawał w pani obronie, zgadza się? Nie lubił, gdy panią obrażano?

– Chyba żaden mężczyzna nie lubi, gdy obraża się jego kobietę – stwierdzam.

Jankowski prostuje głowę i kiwa nią lekko, niemal niezauważalnie, ale ja to widzę. Widzę też, że jest przekonany do wysnutej przez siebie teorii. Szuka jedynie dowodów, które umożliwią mu jej potwierdzenie.

Odrywam spojrzenie od policjanta, bo pewność, którą w tej chwili dostrzegam w jego oczach, nieznośnie przypomina mi tę, którą tak ostentacyjnie okazuje żona Malczyka.

– Niestety nic – informuje tymczasem technik.

– Rozmawiała pani z sąsiadami? – Komisarz znów zwraca się do mnie.

– Nie. Jeszcze nie.

– W takim razie ja się tym zajmę.

Wracam spojrzeniem do Jankowskiego. Patrzy na mnie twardo. Chyba sądzi, że celowo nie kontaktowałam się z sąsiadami.

– Da mi pan znać, co udało się panu ustalić? – pytam.

– Oczywiście.

– A z tymi drzwiami to tyle? – Wskazuję w stronę wejścia do domu.

– Nic więcej nie da się zrobić – odzywa się technik.

Wracamy z Dagą do środka. Przez kuchenne okno obserwuję, jak Jankowski idzie do sąsiadów z naprzeciwka.

– Może faktycznie ktoś coś widział – rzuca przyjaciółka.

– Jeśli tak, to lepiej, że Jankowski poszedł popytać. Prędzej powiedzą jemu niż mnie.

– Tak myślisz?

– No pewnie. Założę się, że połowa nawet by mi drzwi nie otworzyła, udając, że nie ma ich w domu.

– Słabe – komentuje Daga.

– Ale prawdziwe – odpowiadam twardo.

– I co? – Przyjaciółka staje obok mnie i wygląda przez okno.

– Gada z Mazurem.

– Może mają monitoring? – zastanawia się na głos.

– Jeśli mają, to raczej skierowany na własną posesję.

Kiwa głową w milczeniu. Przez jakiś czas po prostu gapimy się w okno.

– Dobra, lecę – wzdycha w końcu przyjaciółka. – Padam ze zmęczenia, a jeszcze będę musiała wyjść z Esterą.

– Dzięki, że przyjechałaś. – Odwracam się w jej stronę.

– Zawsze, kochana. – Daga kładzie dłonie na moich przedramionach. – To się kiedyś skończy, pamiętaj. Wszystko się kiedyś kończy.

Zaciskam mocno usta, bo nagle dopadła mnie trudna do opanowania płaczliwość, a wiem przecież, że łzy w niczym mi nie pomogą.

Przechodzimy do korytarza.

– Napisz mi albo zadzwoń powiedzieć, co ustalił Jankowski – prosi Daga.

– Jasne – zapewniam.

Ściskamy się na pożegnanie. Czułość Dagi sprawia, że jeszcze bardziej chce mi się ryczeć.

– Może jednak zostanę? – Zauważa, co się ze mną dzieje.

– Nie, no coś ty. – Biorę głęboki oddech, żeby było mi łatwiej wziąć się w garść. – Głupia jestem i tyle. – Przecieram oczy, które na szczęście jeszcze nie zdążyły zwilgotnieć.

– To się kiedyś skończy – powtarza Daga. – Prędzej czy później.

– Wiem – rzucam i biorę jeszcze jeden głębszy wdech. – Idź już. Nie trzeba mnie niańczyć. – Wypycham ją za drzwi.

Zanim je za nią zamykam, spoglądam na posesję naprzeciwko. Policjant nadal rozmawia z sąsiadem, żałuję, że nie mogę tego usłyszeć. Pozostaje mi mieć nadzieję, że jeśli Jankowski dowie się czegoś konkretnego, faktycznie mi o tym powie.

Macham Dadze i zamykam drzwi, wtedy słyszę dzwoniący telefon. Wracam do kuchni, gdzie zostawiłam komórkę. Okazuje się, że tym razem dzwoni mój służbowy aparat.

Na wyświetlaczu widzę ciąg cyfr, czyli dzwoni ktoś spoza listy kontaktów. W normalnych okolicznościach pomyślałabym, że dobija się do mnie nowy klient, ale przecież sytuacja od dawna nie jest normalna. Tuż po zniknięciu Maurycego musiałam zmienić swój prywatny numer. Nie tylko redakcje przeróżnych gazet i stacji telewizyjnych nie dawały mi spokoju, zdarzały się też połączenia od przypadkowych osób, które chciały mi po prostu nawrzucać. Miałam po kilkanaście telefonów dziennie, w szczytowym okresie nawet po kilkadziesiąt. Jeszcze gorzej było z numerem służbowym, który siłą rzeczy był powszechnie dostępny. Przerzuciłam się na kontakt mailowy, choć ta zmiana oczywiście nie pomogła mojej działalności. Nie miałam jednak innego wyjścia. Połączenia telefoniczne zarezerwowałam wyłącznie dla stałych klientów.

– Halo? – Odbieram, choć mam złe przeczucia.

– Karol Woliński, redaktor *Uwagi*, stacja TVN – mówi głos po drugiej stronie, na co odruchowo ściągam usta. – Zamierzamy nakręcić nowy reportaż o ofiarach Maurycego Sobonia, myślę, że pani komentarz w tej sprawie byłby cenny…

Zaczynam szybko oddychać przez nos, zastanawiając się jednocześnie, w jaki sposób dziennikarz zdobył mój numer. Dzwoni na służbowy, więc przeciekiem był któryś z moich stałych zleceniodawców.

– Paulina Malczyk zgodziła się już na udział – ciągnie mężczyzna po drugiej stronie linii, kiedy ja wciąż typuję zdrajcę. – Łatwo się domyślić, jakie będzie jej stanowisko. W takich okolicznościach chcielibyśmy dać pani szansę się wypowiedzieć.

– Nie interesuje mnie to – syczę, wciąż zaciskając zęby.

– Proszę to przemyśleć. Chcemy dać pani szansę… obrony.

– Idź pan do diabła! – Rozłączam połączenie i natychmiast blokuję numer. Wiem, że jeśli dziennikarzowi będzie bardzo zależało, zadzwoni z innego, ale na razie tylko tyle mogę zrobić. Jeśli facet okaże się uparty, będę zmuszona zmienić numer, a zanim przekażę go swoim klientom, ustalić, przez kogo konkretnie reporter do mnie trafił.

Podpieram się rękoma na blacie i zwieszam głowę między barki. Wiem, że ten koszmar szybko się nie skończy.

O ile kiedykolwiek się skończy.

—

–

—

Nienawidzę tego, to naprawdę najgorsza część procesu. Marzę o tym, żeby móc zlecić grzebanie ciał komuś innemu, bo to nie tylko ciężka praca, ale i czasochłonna. Zabiera mi cenne minuty, które można byłoby poświęcić na opracowywanie nowego składu buforu albo typowanie następnego pacjenta. Zamiast tego muszę ryć łopatą w ziemi.

Na wierzchu jest miękka, ale głębiej grunt w wielu miejscach jest jeszcze zmarznięty, kopanie w takich warunkach to istna udręka. Latem byłoby łatwiej, ciała też szybciej ulegałyby rozkładowi. Spróbuję z następną próbą poczekać do czerwca. No, chociaż do maja. To, że dni będą coraz dłuższe, wcale mi przeszkadza. Dobrze znam ten teren, nie muszę działać pod osłoną nocy.

Za płytko, oceniam. Leśne zwierzęta raz-dwa rozkopią grób. Klnę pod nosem. Zmielone ciało w mig by się rozłożyło, łatwiej byłoby mi je też pochować. Albo chociaż rozczłonkowane. Ale… przecież nie jestem potworem. Przestrzegam norm, szanuję drugiego człowieka.

Zerkam na zawinięte w foliowy worek ciało. Ta kobieta poświęciła swoje życie w szczytnym celu, oddała je na poczet postępu naukowego. Należy jej się godny pochówek.

Ogarnia mnie zmęczenie, muszę moment odsapnąć. Tylko chwilę, bo choć dookoła nie ma żywej duszy, to lepiej wykonać robotę jak najszybciej. Minimalizacja ryzyka jest ważna. Ponownie zerkam na ciało w worku. Mam już pomysł na nowy skład buforu. Uśmiecham się do siebie, bo może kolejna wersja wreszcie okaże się strzałem w dziesiątkę. Któraś na pewno!

Wracam do kopania, kiedy na ramiona spada mi kilka chłodnych kropel. Jeszcze tylko deszczu mi teraz brakuje. Bolą mnie ręce, czuję więcej zimnych kropel. Może jednak dałoby się coś wykombinować, zlecić komuś te pochówki? Muszę jeszcze raz porządnie przekalkulować ryzyko. Może wcale nie jest tak duże, jak mi się wydaje.

Wystarczy, stwierdzam. Na szczęście nie rozpadało się na dobre. Mogę wreszcie złożyć ciało w grobie. Nie jest to łatwe, sapię z wysiłku. Kiedy już mi się to udaje, zdejmuję okrywający zwłoki worek. Dzięki temu ciało szybciej zacznie się rozkładać.

Gotowe. Wychodzę z wykopanego przez siebie grobu, pokropiło i jego krawędzie są pierońsko śliskie. Buty mam całe ubłocone.

Teraz będzie już z górki. Zaczynam zasypywać dół, uklepuję ziemię, a na wierzchu sadzę rośliny, żeby mogiła nie rzucała się za bardzo w oczy. Zwykle na grobach zostawiam oczar, jest ładny i łatwo spotkać go w lasach. Moja mama go nie znosiła, niewykluczone, iż wyłącznie dlatego, że mnie podobały się jego nitkowate pąki. Często krytykowała to, co przypadło mi do gustu. Przychodziło jej to z lekkością, która potrafiła ranić do żywego.

Zanim odejdę, dokładnie sprawdzam teren dookoła grobu, upewniam się, czy miejsce pochówku wygląda naturalnie. Grób dobrze wpasowuje się w przestrzeń, naprawdę trudno go zauważyć. Mogę bez obaw zostawić tu swoją pacjentkę, nikt nie powinien zakłócać jej spokoju.

10

Nastał wieczór, a Arka nadal nie ma w domu. Ostatnio wraca z pracy coraz później, zaczynam się zastanawiać, czy nie ma jakiejś dziewczyny. Ciekawe, kiedy mi o niej napomknie.

Włączyłam telewizor, usiłuję skupić się na emitowanym właśnie programie publicystycznym, ale mi nie wychodzi. Myśli mam rozproszone. Chciałabym, żeby Arek już wrócił, potrzebuję rozmowy z kimś, kto mnie rozumie.

Poprawiam się na kanapie, kiedy słyszę trzaski. Nareszcie. Zaraz będę mogła pogadać z bratem, trochę się rozluźnić.

Jednak nikt nie wchodzi do domu. Nasłuchuję, ale ani nie trzaskają drzwi, ani nie szeleszczą ubrania. Przyciszam telewizor, dookoła jest cicho jak makiem zasiał. Musiałam się przesłyszeć. Już mam na nowo włączyć głos w telewizorze, gdy rozlega się grzmot. Podskakuję w miejscu. Dociera do mnie, że to tylko wiosenna burza, jednak serce zaczęło mi już niespokojnie kołatać w piersi.

Nasłuchuję kolejnego grzmotu, ale on nie następuje. Burza jest daleko, może pójdzie w inną stronę i nie dotrze do Tomaszowic. Zostawiam włączony telewizor, jednak nie podkręcam fonii. Słyszę, że na zewnątrz zaczął padać deszcz, dziesiątki kropel rozbijają się o kuchenny parapet. Niestety dziś wygrywają rytm, któremu daleko do kojącego. Znów mi się wydaje, że słyszę coś oprócz deszczu, jakieś skrzypienie.

Podnoszę się z kanapy i przechodzę do kuchni. Nie zapalam światła, wyglądam przez okno. Podjazd pozostaje skąpany w mroku, droga, przy której wybudowano domy, jest nieoświetlona. Słyszę, że

deszcz mocniej uderza o szybę, znów grzmi. To tylko burza, powtarzam sobie.

Sięgam po szklankę, żeby się czegoś napić, wtedy rozlega się potężny grzmot, a niebo przecina świetlisty piorun. Upuszczam szklankę, bo w tej nagłej jasności dostrzegam czyjąś sylwetkę. Brzęk tłuczonego szkła ginie w kolejnych pomrukach burzy. Serce bije mi jak oszalałe, oddycham szybko. Błysk był krótki, ale nie wątpię w to, co widziałam. Ktoś jest przed domem. Przysuwam się bliżej szyby, na zewnątrz jest koszmarnie ciemno. Padający deszcz nie sprzyja sytuacji, trudno mi dostrzec choćby kontury garażu.

Odsuwam się od okna, czekam, aż zacznie chrzęścić klucz w zamku i Arek wejdzie do domu. Mijają jednak kolejne minuty, a brat się nie pojawia. Przechodzę do korytarza, naiwnie wyglądam przez wizjer w drzwiach, ale oczywiście niczego nie widzę. Ale nie słyszę też kolejnych grzmotów, burza chyba jednak omija Tomaszowice. Upewniam się, że drzwi są zamknięte na klucz, i wracam do salonu. Tutaj mam w oknach masywne żaluzje z ciemnego drewna. Gdy się tu wprowadziliśmy, nie zasłanialiśmy niczym okien, nie czuliśmy takiej potrzeby. Kiedy jednak Maurycy zniknął, musiałam się osłonić.

Z ciężko bijącym sercem uchylam żaluzję. Jestem niemal przekonana, że znów ujrzę niewyraźną sylwetkę. Ogród na tyłach także tonie w ciemności, w oddali widać drogę, która ciągnie się za polem uprawnym. Też jest nieoświetlona, jednak znacznie częściej używana niż ta obok mojego domu. Widzę reflektory przejeżdżających nią samochodów i nic poza tym.

Poprawiam żaluzje, nie mam odwagi wyjść na zewnątrz i sprawdzić, czy ktoś faktycznie kręci się po moim ogródku. Nie wiem, ile czasu mija, zanim daję sobie spokój z wyglądaniem przez kolejne okna. Sprzątam odłamki szkła z kuchennej posadzki, stale mając przed oczami tamtą postać. Przychodzi mi do głowy, żeby zadzwonić do Jankowskiego. Burza jednak odchodzi, przestaje nawet padać, a dookoła nie słychać nic niepokojącego.

Może burza i deszcz to dobry kamuflaż dla kogoś, kto znów chciałby mi naubliżać, a przy tym narobić nowych szkód. Nie zamierzam jednak w tej chwili sprawdzać stanu domu czy ogrodzenia, zaczekam z tym, aż Arek wróci.

Sadowię się z powrotem na kanapie, gdy wreszcie chrzęści klucz w zamku. Choć wiem, że to musi być brat, żołądek na nowo podchodzi mi do gardła.

– Arek? – wołam dla pewności.

– A spodziewasz się kogoś innego? – słyszę jego głos.

Z ulgą wypuszczam powietrze z płuc, cieszę się, że już nie jestem w domu sama. Przechodzę do korytarza, żeby być bliżej brata. Arek zdejmuje ubłocone buty. Mówię mu o burzy i sylwetce, którą widziałam przez okno.

– Mnie musiałaś widzieć – stwierdza.

– To było dobre pół godziny temu!

– Wiesz, że lubię przebieżki w deszczu.

Dopiero teraz zauważam, że brat ma na sobie sportowy strój. Przypomina mi to, że po leniwej zimie na wiosnę zawsze wraca do biegania. Zaczynam rozumieć, dlaczego ostatnio później wraca do domu. Chyba jednak wcale nie chodzi o żadną dziewczynę.

– Przecież była burza – rzucam. – To chyba mało rozsądne wtedy biegać.

– A gdzie tam, daleko była. I nie wydawało się, żeby szła w naszą stronę.

Wzdycham, tymczasem Arek pyta:

– No i co?

– Przestraszyłeś mnie. Myślałam, że ktoś znów przyszedł pobazgrać po drzwiach albo ścianach.

– Przecież nie chciałem.

– Wiem, ale to zrobiłeś.

Brat spogląda na mnie łagodnie. Nie mam wątpliwości, że rozumie, jak ten akt wandalizmu zszargał mi nerwy.

– Co ustaliła policja?

– Właściwie to nic. – Wzruszam ramionami.

– Tak zupełnie nic? – dopytuje.

– Nie udało się im zabezpieczyć żadnych odcisków palców – oznajmiam.

– Chyba nie sądzili, że po umyciu drzwi rozpuszczalnikiem uda im się zabezpieczyć jakieś ślady – prycha na to.

– Skąd wiesz, że zostały wymyte rozpuszczalnikiem?

– Nie wiem. Ale czym innym można by to zrobić?

– No tak – rzucam, przeczesując włosy palcami. Sama przecież pojechałam do marketu po rozpuszczalnik. – Jankowski przyszedł tu z założeniem, że mógł to zrobić Maurycy – mówię.

– Po co miałby bazgrać de facto po własnych drzwiach? – rzuca na to Arek.

– Że mógł zmyć napis – doprecyzowuję.

– E, nie sądzę.

Ja też nie. Przede wszystkim dlatego, że Maurycy nie jest tym, kim wszyscy chcą, by był. Ale niech będzie, zapomnijmy o tym na chwilę. Po co miałby kusić los? Obrzucano mnie błotem dziesiątki razy, nasza brama widziała rozmaite epitety. Nigdy nie zareagował. Dlaczego teraz miałoby być inaczej? Tym bardziej że usunięcie jednego niewielkiego napisu to raczej drobny gest. Zdecydowanie niewarty ryzyka. No i skąd by wiedział, że właśnie dziś ktoś nabazgrał coś na drzwiach? Nikt mi nie wmówi, że Maurycy kręci się koło domu niezauważony.

Od tych bezsensownych dywagacji tylko rozbolała mnie głowa, przymykam powieki i rozmasowuję skronie. Maurycy nie jest potworem. Nie był, nie jest i nie będzie.

– A sąsiedzi? – dopytuje tymczasem Arek. – Widzieli coś?

– Jankowski twierdzi, że nie. – Policjant zadzwonił do mnie dwie godziny po tym, jak wyszła Daga. Krótko zrelacjonował mi obchód po sąsiedztwie.

– Nie wierzysz mu? – dopytuje brat.

– Nie, że mu nie wierzę. – Oczy wciąż mam zamknięte, a palcami nieprzerwanie masuję skronie. – Ale wiem, że nie mówi mi wszystkiego.

– A ty z nimi nie gadałaś?

– Nie. – Kręcę głową.

– W takim razie ja to zrobię.

Otwieram oczy. Arek patrzy na mnie miękko, z czułością, która przypomina mi Maurycego.

– Zrobisz to dla mnie? – pytam. – Mnie naprawdę nie uśmiecha się teraz z kimkolwiek rozmawiać.

– Oczywiście. – Arek kładzie dłoń na moim ramieniu. Jego uścisk jest tak pokrzepiający, że od razu robi mi się lżej na sercu. Wiem, że nie jestem sama. Wiem, że cokolwiek będzie się działo, brat pozostanie moim wsparciem. No i mam jeszcze Dagę.

– Połóż się – mówi. – Odpocznij trochę. Tym bardziej że zeszłej nocy nie spałaś za dużo.

– Pewnie tej nocy będzie tak samo. – Wzdycham.

– Łyknij temazepam, na pewno pomoże.

– Nie chcę wracać do kolejnych leków. – Wzdycham ponownie. Na samo wspomnienie okresu, kiedy nie potrafiłam funkcjonować bez pigułek nasennych, przechodzi mnie dreszcz. Pomagały mi zasnąć i przespać ciągiem kilka godzin, ale wcale nie dawało mi to poczucia kontroli.

– Spokojnie. – Arek mocniej ściska moje ramię. – Tylko dziś. Jedna dawka nie wyrządzi ci żadnej krzywdy, a wypoczęta spokojniej podejdziesz do sytuacji.

Nie czuję się przekonana.

– Olga, nie ma sensu się męczyć. Łyknij tabletkę i połóż się do łóżka, a ja się przejdę po sąsiadach i popytam, czy czegoś nie zauważyli. A nuż się okaże, że ten napis to wybryk jakiegoś znudzonego gówniarza albo lokalnych chuliganów.

Kiwam smętnie głową.

– A ty spadasz do łóżka.

– No dobra.

– Z temazepamem – przypomina mi.

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, i w tej samej chwili rozlega się dzwonek do drzwi. Jednocześnie spoglądamy na zegar ścienny. Jest trochę za późno na gości, zresztą nie przychodzi mi do głowy nikt, kto miałby powód, żeby się u nas zjawiać bez zapowiedzi, zwłaszcza o tej porze. Po minie Arka wnioskuję, że myśli dokładnie tak samo.

– Otworzę. – Brat rusza do drzwi. Po chwili słyszę, że z kimś rozmawia, trudno mi jednak zrozumieć poszczególne słowa. Postanawiam sprawdzić, o co chodzi. Przechodzę do korytarza i wyglądam zza pleców brata na zewnątrz.

– Pani Soboń! – Wysoki mężczyzna unosi rękę, jakby istniała szansa, że go nie zauważę. – Redakcja „Super Expressu". Zechce pani z nami porozmawiać?

Odsuwam się od drzwi. Tylko tego mi brakowało, szarpaniny z mediami. Na samo wspomnienie, jak bardzo się mną przed laty interesowano, robi mi się słabo.

– Siostra nie będzie z państwem rozmawiać – oświadcza Arek stanowczym tonem.

– Pani Soboń! – Dziennikarz zdaje sobie nic z tego nie robić. – Może chociaż krótki komentarz do ostatnich wydarzeń?

– Do widzenia! – Słyszę trzaśnięcie drzwi, które skutecznie tłumią pokrzykiwania reportera.

Brat wraca do salonu.

– Co za hieny! – piekli się.

Mówię mu o telefonie z redakcji *Uwagi*.

– Skąd mieli twój numer?

– Pewnie od któregoś z klientów.

Arek prycha pod nosem z niezadowoleniem i przechodzi do kuchni. Wygląda przez okno.

– Nie odjeżdża – relacjonuje. – Słowo daję, zaraz zadzwonię na policję.

– I co im powiesz? – Jestem sceptyczna wobec pomysłu brata.

– Że cię nagabują.

Wzdycham głośno.

– Dobra, ja się nim zajmę. A ty idź i się połóż.

– Nie zasnę.

Brat podchodzi do mnie i znów kładzie dłonie na moich ramionach.

– Powinnaś zażyć temazepam i się wyspać – radzi mi poważnym tonem. – To najlepsze, co możesz w tej chwili zrobić. Pomóc samej sobie.

Dłuższą chwilę tylko mierzymy się spojrzeniami.

– Chyba masz rację – stwierdzam w końcu.

– Oczywiście, że mam. – Na twarzy Arka pojawia się powściągliwy uśmiech. – W końcu jestem lekarzem.

11

Temazepam działa cuda, zwłaszcza po dwóch pigułkach. Spałam całe osiem godzin, w ogóle się nie budziłam, nie śniło mi się nawet nic niepokojącego.

Schodzę na dół, ziewając. Parter spowijają smugi rozproszonego światła, promienie porannego słońca wpadają do domu przez przeszkloną ścianę salonu. Przechodzę do kuchni i włączam ekspres. Wyglądam przez okno. Zwykle tylko przelotnie zerkam na podjazd i ulicę, dziś jednak przyglądam się otoczeniu znacznie dłużej. I przede wszystkim czujniej.

Donice z oczarem stoją równo wzdłuż podjazdu, sadziłam krzewy, jeszcze gdy Maurycy tu był. To on podpowiedział mi tę roślinę. Zdecydowałam się na odmianę Orange Beauty ze względu na intensywnie pomarańczowe, wpadające nawet w czerwień kwiaty – pajączki, jak niektórzy o nich mówią, bo wyglądają niczym frędzelki. Widać je z daleka, zwłaszcza zimą, kiedy spadnie śnieg. Obok donic ciągnie się rząd lamp solarnych na grubych słupkach. Na wspomnienie wczorajszego wieczoru przychodzi mi na myśl, żeby zainwestować też w nocne oświetlenie. Kostka brukowa, którą wyłożony jest podjazd, wymaga mycia, ale z tym poczekam, aż wiosna na dobre się zadomowi.

Przenoszę wzrok na skrzynkę na listy, nie wystają z niej białe koperty. Wczoraj tyle się działo, że nie zabrałam listów, zrobił to za mnie Arek. Drogą jedzie samochód osobowy, chwilę później poboczem przemyka rowerzysta. Na okolicznych posesjach jest spokojnie, sąsiedzi odwieźli już dzieci do szkoły, a sami dotarli do

pracy. Większego ożywienia można się tutaj spodziewać dopiero po południu. Czyli wszystko wygląda normalnie.

Bardzo normalnie.

Przynajmniej do chwili, gdy zauważam karteczkę przyklejoną do lodówki. Sięgam po nią, marszcząc brwi, i od razu rozpoznaję pismo Arka.

Olga, weź to na spokojnie, na drzwiach znów jest napis. Chyba taki jak wczoraj.

Zaciskam usta w wąską kreskę i ruszam do korytarza. Otwieram zamaszyście drzwi i faktycznie, od zewnątrz ponownie zdobią je szkarłatne bazgroły. Przygryzam wargę zębami, oddycham szybko przez nos. Niby byłam na podobną sytuację przygotowana, a jednak gdy przyglądam się literom, w moich trzewiach wybucha ciepło, od którego robi mi niedobrze. Dziś napis jest mniej czytelny, litery są bardziej koślawe, a zacieków jest więcej.

„Zdzira zwyrola".

Komuś zabrakło tu kreatywności, zdobywam się na sarkazm. Albo… to ten sam człowiek. Nie spodobało mu się, że ktoś tak szybko zmył jego napis, i nabazgrał go ponownie.

Obracam głowę w bok i na sąsiedniej posesji zauważam sąsiadkę. Kobieta natychmiast spuszcza wzrok, udaje, że mnie nie widzi. Zrywam się z miejsca.

– Pani Lucyno! – wołam, truchtając pod rozdzielający nasze posesje płot. – Nie widziała pani, żeby rano ktoś się tutaj kręcił?

– Nie, nic nie wiedziałam. – Sąsiadka starannie unika mojego wzroku.

Czuję narastający ucisk w dołku. Pani Lucyna była jedną z nielicznych osób na osiedlu, które pomimo całego tego szamba pozostały wobec mnie neutralne. Nie przychylne, ale właśnie

neutralne. To było tak wiele. Teraz nawet tego już nie mam, a to oznacza jedno: rozpętało się na dobre.

– Ktoś pomalował mi drzwi – mówię, jakbym miała nadzieję, że kobieta nie zauważyła niewybrednych bazgrołów.

Starsza pani kiwa w milczeniu głową.

– I wczoraj, i dziś. – dodaję. – Nic pani nie zauważyła?

– Nie. Mówiłam to już przecież nawet policji.

– Wczoraj najpierw ktoś pobazgrał mi drzwi, a potem ten napis zmył. Dziś znów napisał to samo.

Sąsiadka wzrusza ramionami, na moment podnosi na mnie spojrzenie. Jest zawstydzona, ewidentnie nie wie, jak się zachować. Zgaduję, że najchętniej natychmiast schowałaby się w domu. Szybko urywa kontakt wzrokowy, jakby samo patrzenie na mnie miało przysporzyć jej kłopotów.

– Proszę dać mi znać, gdyby pani coś zauważyła – mówię bez przekonania.

– Dobrze, a teraz muszę już iść, bo... – Macha bezradnie ręką w stronę domu. Mieszka sama, jest na emeryturze, raczej się nigdzie nie spieszy. Po prostu nie chce ze mną rozmawiać. Nie zagaduję jej więc dłużej.

Kobieta znika za drzwiami swojego domu i słyszę, że dwukrotnie przekręca zamek.

Rozglądam się na boki. Całe szczęście, że nie porwałam się na rozmowy z sąsiadami. Skoro pani Lucyna potraktowała mnie z takim chłodem, mogę się tylko domyślać, jaka byłaby reakcja pozostałych, gdybym się u nich zjawiła.

Wracam pod swoje drzwi, żeby jeszcze raz przyjrzeć się literom. Mrużę oczy, bo dziś szkarłatna warstwa wcale nie wygląda mi na farbę. Unoszę dłoń, żeby dotknąć czerwieni, ale coś mnie przed tym powstrzymuje. Wracam do domu, pospiesznie przechodzę do kuchni. Szukam telefonu i dzwonię do Arka.

– Cześć… – Brat odbiera zaskakująco szybko.

– Jak wychodziłeś, to napis już był? – upewniam się głupio.

– No tak. Zostawiłem ci karteczkę na lodówce…

– Widziałam! Ja pierdzielę, znów ktoś pobazgrał mi drzwi – mamroczę pod nosem, jakby ten fakt nie mógł dotrzeć do mojej świadomości.

– Jest napisane to samo co wczoraj… – bąka tymczasem Arek.

– A czy to ważne? – wściekam się.

Arek milczy.

– Co za różnica, co było napisane wczoraj, a co jest dzisiaj, do ciężkiej cholery!

Brat nadal się nie odzywa.

– Przepraszam – mówię, kiedy dociera do mnie, że wyładowuję frustrację na osobie, która stoi po mojej stronie. – Jestem wstrząśnięta. Nie sądziłam, że to się powtórzy. A jeśli już, że tak szybko – tłumaczę.

– Rozumiem, Olga. Naprawdę.

– Rozmawiałeś wczoraj z tymi sąsiadami? – Biorę głębszy wdech.

– Obszedłem osiedle dookoła. Tylko Pogorzelskich nie było w domu. Nikt nic nie widział. Ani żeby ktoś malował po drzwiach, ani żeby je mył.

– Takiego ma kutas farta? – syczę.

– Na to wygląda.

– Albo nikt nie chce się mieszać. Ludzie wolą mieć spokój.

– Może – komentuje Arek, a ja opowiadam mu o krótkiej rozmowie z panią Lucyną sprzed chwili.

– Wczoraj też nie była zbyt rozgadana – rzuca mi na to. – A jak spałaś? – zmienia temat.

– Dobrze. Bardzo dobrze. – Dotykam dłonią swojego czoła. Jest gorące.

– Temazepam pomógł – cieszy się Arek.

– Nie da się ukryć – bąkam, a w tle słyszę nawoływania. – Wracaj do pracy – mówię. – Wiem, że masz co robić.

– Już idę! Dosłownie sekunda! – odkrzykuje brat, po czym zwraca się jeszcze do mnie: – Słuchaj, Olga…

– No?

Słyszę pełne niepewności westchnięcie.

– Cholera, sam już nie wiem… – Arek ponownie ciężko wzdycha.

– Zadzwonię do Jankowskiego – postanawiam.

Jeszcze jedno westchnienie, a dopiero potem mówi:

– Może to i niegłupi pomysł.

– Nie wydajesz się przekonany.

– Zgłaszałaś niejeden taki incydent i czy coś konkretnego z tym zrobili?

Brat ma rację, jednak wcześniej nikt nie pojawiał się na posesji, żeby te bazgroły zmywać.

Nauczona doświadczeniem, zanim wybiorę numer komisarza, wychodzę na zewnątrz i robię zdjęcie swoim drzwiom. Wątpliwości w kwestii tego, co dziś szpeci ich powierzchnię, wzmagają się. Tym razem się nie powstrzymuję, dotykam szkarłatnych liter. Naprawdę nie wydaje mi się, żeby to była farba, ma zbyt dziwną konsystencję. Spoglądam na opuszkę palca – jest brudna.

Z narastającym uciskiem w brzuchu wracam pospiesznie do domu. Dzwonię do Jankowskiego. Odbiera niemal natychmiast, nim wybrzmi choćby jeden pełny sygnał.

– Tak, słucham, pani Soboń?

– Spodziewał się pan telefonu ode mnie? – pytam.

– To znaczy?

– Szybko pan odebrał.

– To chyba dobrze, prawda?

– No tak, tak, właściwie tak. – Zamiast wikłać się w temat, opowiadam komisarzowi o nowym napisie na drzwiach.

– Mhm, rozumiem – mruczy Jankowski.

– Przyjedzie pan go obejrzeć? Jest jakiś dziwny.

– Co ma pani na myśli?

– Taki niepokojący. – Nie wiem, jak ubrać w słowa swoje odczucia. – Niby taki jak wczoraj, a jednak… Konsystencja farby… jest jakaś dziwna. Właściwie w ogóle nie przypomina farby.

– A co pani przypomina? – dopytuje policjant.

– Nie wiem. Jest takie maziste, czerwone. Prawie bordowe.

– Kiedy pani zauważyła ten napis? – docieka.

– Przed chwilą.

– I ciągle tam jest?

– Jest – potwierdzam.

– No dobrze, proszę go więc nie ruszać – mówi. – Podjadę i zerknę na niego.

Czterdzieści minut później przed bramą parkuje samochód. Wychodzę z domu. Jankowski jest dziś sam. Przystaje w połowie długości podjazdu i przygląda się drzwiom.

– Proszę mi przypomnieć, co było napisane wczoraj? – pyta.

Wątpię, żeby policjant nie pamiętał takich rzeczy, ale odpowiadam ze spokojem:

– To samo.

Komisarz podchodzi bliżej i pokonuje trzy podłużne stopnie prowadzące pod drzwi domu. Przysuwa twarz bardzo blisko napisu, zupełnie jak ja wczoraj.

– Tylko jakby inną farbą – dodaję, tymczasem policjant sięga do tylnej kieszeni spodni i wyjmuje z niej jednorazowe rękawiczki. Naciąga je, po czym unosi dłoń i przesuwa opuszkami palców po szkarłatnych rozbryzgach. W niektórych miejscach są już właściwie czarne.

Po chwili Jankowski odsuwa się nieco od drzwi i patrzy na nie bez słowa.

– I co? – dopytuję. – Co pan tam widzi?

– Wie pani co? – odzywa się. – Chciałbym, żeby zerknął na to technik.

Zaciskam usta w wąską kreskę. Mam cholernie złe przeczucia. Zresztą biorąc pod uwagę to, co jest na drzwiach, dziwne, żeby było inaczej.

12

Czekamy na przyjazd technika. Zaproponowałam Jankowskiemu kawę. Podziękował. Sama zaparzyłam sobie filiżankę.

Policjant rozgląda się po ścianach salonu, jakby znały odpowiedzi na nurtujące go pytania. Przygląda się im, choć są puste. Tylko w jednym miejscu, między oknami wychodzącymi na ogród, wisi skromne płótno z abstrakcyjnym malowidłem.

– Ten minimalizm to pani upodobanie czy raczej męża? – pyta komisarz.

– I mój, i męża. Mieliśmy... mamy – poprawiam się – bardzo podobny gust w wielu kwestiach.

Mężczyzna kiwa głową i znów zapatruje się w ścianę, tym razem tę za telewizorem, wyłożoną kamiennym gresem. Wyraz jego twarzy przypomina mi, jak pięć lat temu policjant pojawił się tutaj z obstawą. W ten sam sposób patrzył na ściany gabinetu Maurycego obwieszone modelami ludzkich organów. Wtedy mi się wydawało, że ta jego mina wyraża lęk i oszołomienie, dziś wiem, że ściągnięte usta nie mają nic wspólnego ze strachem. To wyraz determinacji, której Jankowski ma pod dostatkiem.

Do przyjazdu technika praktycznie nie rozmawiamy. Kręcę się po kuchni bez celu, obecność policjanta wprawia mnie w zakłopotanie.

Wreszcie przyjeżdża technik. Wychodzimy oboje na podwórko.

Przyglądam się, jak blondyn, który był tu także wczoraj, wyjmuje z walizki plastikową tubkę. Chyba się spodziewałam, że znów będzie obsypywał drzwi proszkiem daktyloskopijnym, tymczasem mężczyzna wysuwa z tubki małą saszetkę, w której znajduje się coś, co wygląda jak kawałek zwykłego papieru. Przyglądam się poczynaniom

technika w jeszcze większym skupieniu. Zerkam na Jankowskiego, ale śledczy unika mojego wzroku, najwyraźniej na tym etapie nie zamierza mi niczego tłumaczyć.

Technik zwilża papierek, nie wiem czym, ale płyn jest przezroczysty. Już mam zapytać, co właściwie robią, kiedy pod bramę podjeżdża samochód. Obracam się w stronę drogi, Jankowski także. Z wozu wyskakuje kobieta, która zanim w ogóle się odezwie, robi telefonem kilka zdjęć.

– Kurwa – klnę pod nosem, bo natychmiast się orientuję, co jest grane.

– Media? – rzuca Jankowski, także w mig pojmując sytuację.

– Dzwonili już z *Uwagi*, a wczoraj był tu także ktoś z „Super Expressu" – mówię.

– Zajmę się tym. – Policjant rusza w stronę furtki.

Słyszę, jak kobieta się przedstawia i oświadcza, że jest z redakcji portalu LoveKraków.pl. Jankowski mówi z kolei na tyle cicho, że nie rozumiem poszczególnych słów. Konwersacja nie trwa jednak długo, dziennikarka zaraz wsiada do auta i odjeżdża, a policjant wraca pod drzwi.

– Co jej pan powiedział?

– Że nie życzy sobie pani rozmawiać. – Posyła mi lekki uśmiech. – Chyba że się pomyliłem i jest inaczej?

– Nie – bąkam tylko, wdzięczna, że śledczy tak sprawnie spławił natręta.

Wracam do obserwowania technika, jednak w trzewiach czuję nieprzyjemne ciepło, a gardło mam potwornie ściśnięte, bo wiem, że do wieczora może zjawić się tu więcej przedstawicieli lokalnych mediów. Te ogólnokrajowe też już zaczynają się mną interesować.

– Co to jest? – pytam, kiedy technik przyciska papierek do powierzchni moich drzwi.

– Peroxtesmo – odpowiada.

Zagryzam wargi, bo ta nazwa nic mi nie mówi. Zerkam na Jankowskiego.

– Papierki do oznaczeń jakościowych – mówi, kiedy nasze spojrzenia się krzyżują.

Mam ochotę wrzeszczeć z niemocy, bo rzucają półsłówkami, które choć nic konkretnego mi nie mówią, to jednak potęgują moje złe przeczucia. Powstrzymuję się jednak, a technik pokazuje pasek Jankowskiemu. Mężczyźni wymieniają ze sobą wymowne spojrzenia, których ja oczywiście znów nie potrafię rozszyfrować. Ciepło w moich trzewiach przechodzi w żar, zaczyna mi coraz bardziej doskwierać.

– To co? Pobieramy próbkę – rzuca blondyn i nie czekając na odpowiedź Jankowskiego, sięga do walizki po kolejne sprzęty.

– Co się dzieje? – pytam, wyłapując spojrzenie policjanta. Gorąc w moim brzuchu jest już zwyczajnie nieznośny.

– Papierki Peroxtesmo przeznaczone są do szybkiego jakościowego wykrywania śladów… – komisarz robi krótką pauzę – …krwi.

Obejmuję się ramionami, jakby było mi zimno. W rzeczywistości płonę od środka, a w gardle pojawia się gula, która całkowicie uniemożliwia mi przełknięcie śliny.

– Krwi? – dukam z największym trudem.

– Mają wysoką czułość – mówi tymczasem policjant. – W kontakcie z krwią następuje zmiana zabarwienia paska z białej na niebieską.

Spoglądam na papierek, który leży obok walizki technika, i zimny dreszcz przebiega mi po plecach. W zetknięciu z gorącem buchającym w moich trzewiach jest jak wstrząs. Wzdrygam się mimowolnie i przenoszę wzrok z powrotem na swoje drzwi. Przed oczami wirują mi małe kolorowe punkciki.

Może się mylę, może mam przywidzenia, wmawiam sobie, nadal gapiąc się na drzwi i napis, który od pierwszej chwili obudził we mnie najczarniejsze myśli.

Wracam wzrokiem do papierka, który wciąż jest niebieski.

—

–

—

Zwykle sprzątam salę zaraz po pozbyciu się ciała, ale wczoraj zabrakło mi na to czasu. Dziś też mam go niewiele, za godzinę muszę być w pracy.

Chciałoby się powiedzieć, że pomieszczenie świeci czystością, niestety na pierwszy rzut oka zupełnie tego nie widać. Stare fugi między płytkami dawno przestały być białe, a betonowa posadzka zaszła brudem tak bardzo, że już nic nie da się z nią zrobić. Nie stanowi to jednak dla mnie większego problemu, wystarczy, że szpitalne łóżko i reszta sprzętów, których używam, są nienagannie czyste, a igły, strzykawki i opatrunki sterylne. Dbam, żeby przypadkowo nie zakazić pacjenta jakimś pasożytem czy bakterią, infekcja z pewnością nie pomoże w rekonwalescencji tego, kogo w końcu uda mi się sprowadzić z zaświatów.

To wszystko tak pięknie złożyło się w czasie, myślę, zerkając na sufit, którego odmalowanie było potrzebne, żeby zaadaptować pomieszczenie do moich celów. Brak okien wymusił konieczność montażu kilku lamp.

Dziadek zostawił mi to miejsce w spadku. Działkę pod lasem, właściwie w jego środku, wraz z niewielkim domem, w którym mieszkał. Wszyscy wiedzieli, że miał fioła na punkcie teorii spiskowych i spodziewał się nadchodzącej zagłady świata. Za to chyba nikt nie zdawał sobie sprawy, iż traktował kataklizm tak poważnie, że zbudował bunkier, w którym gromadził zapasy żywności i wodę pitną. Na jego utrzymanie i udoskonalanie przeznaczał pokaźną część swojej emerytury. Zastanawiam się, czy ktoś oprócz mnie wiedział o tym podziemnym schronie. Może babcia? Jeśli faktycznie tak było, to zabrała ze sobą tę tajemnicę do grobu trzy lata przed dziadkiem.

Przypadek sprawił, że udało mi się dowiedzieć, na co dziadek wydaje tyle pieniędzy. Gdy się to wydarzyło, pokazał mi bunkier i opowiedział o nim. Ulga na jego twarzy, kiedy mnie po nim oprowadzał, była tak wielka, że bolało mnie serce. Męczyła go ta tajemnica. Najwyraźniej od dawna pragnął

z kimś podzielić się swoim sekretem, ale domyślał się, że zostanie zwyczajnie wyśmiany. Może nawet trafiłby do zakładu psychiatrycznego. Ciotka na pewno wpadłaby na podobny pomysł, nie tolerowała przekonań dziadka jeszcze bardziej niż moja matka. Tymczasem moi rodzice sądzili, że dziadek był hazardzistą i przepuszczał pieniądze w zakładach bukmacherskich.

Oczywiście nie potrafili się pogodzić z tym, że dziadek przepisał nieruchomość właśnie na mnie. Zresztą czego innego się spodziewać po ludziach, którzy zawsze widzieli jedynie czubek własnego nosa. Trudno w to uwierzyć, ale matka zaczęła domagać się ode mnie zwrotu majątku, uważała, że to, co zostawił dziadek, należało się jej. I owszem, wraz z ciotką byłaby pierwsza w kolejce do dziedziczenia, gdyby dziadek nie zostawił testamentu, w którym jasno wyraził swoją wolę.

Potrzebne mi było miejsce do działania. Jeśli tliły się we mnie jakieś wątpliwości, spadek po dziadku skutecznie je zgasił. Ktoś tam nad nami chciał, żeby podjąć się zadania. Nieoczekiwanie odziedziczona działka nie tylko okazała się zielonym światłem, ale też rozwiązywała szereg problemów natury organizacyjnej.

Rozglądam się jeszcze po sali, która w bunkrze dziadka miała być łazienką, żeby mieć pewność, że wszystko zostało dobrze uprzątnięte. Jest w porządku, mogę wracać do pracy.

13

– Czyli to jest k-krew? – pytam oszołomiona, jakby nigdy taka możliwość nie przyszła mi na myśl. Przyszła, oczywiście, ale była tak makabryczna, że nie dopuszczałam jej do siebie.

– Niewykluczone – stwierdza Jankowski. – Peroxtesmo pozwalają wykryć peroksydazę, która występuje między innymi w czerwonych krwinkach – tłumaczy. – Ale nie tylko. Pobierzemy próbkę do dalszych badań.

– Ktoś pomalował mi drzwi krwią? – Nadal nie mogę otrząsnąć się z tego, że przeczucie okazało się prawdą.

– Bardzo możliwe – przyznaje śledczy.

Wstrząsa mną kolejny dreszcz, bo dotychczas te napisy zawsze były wymalowane farbą. Nawet wczoraj. Mówię o tym Jankowskiemu.

– Jest pani pewna?

– Tak. – Przełykam głośno ślinę. – Dziś w tym napisie od początku coś mi nie pasowało. Mówiłam panu o tym.

Policjant przytakuje, po czym wraca spojrzeniem do działań technika, zaciskając zęby. Nie wygląda na zadowolonego.

– Muszę zrobić jeszcze kilka zdjęć – informuje technik. Jankowski energicznie kiwa głową, a jego kolega przygotowuje odpowiedni sprzęt, po czym fotografuje drzwi pod różnymi kątami. – Już – oświadcza. – Mamy wszystko.

– Ale co ja mam z tym teraz zrobić? – wymyka mi się z ust. Głos mi drży, dłonie także. Wciskam je pod pachy, żeby to ukryć. Ale również po to, żeby nie chwycić za wiszący na mojej szyi krzyż.

Policjant jeszcze przez moment spogląda na drzwi, a potem obraca się twarzą w moją stronę.

– Może pani to zmyć – mówi.

– Tak po prostu? – pytam, po czym bombarduje mnie wspomnienie tego, jak dotykam jednej z liter. Robi mi się niedobrze. Dotknęłam czyjejś krwi.

– Mamy pełną dokumentację, zdjęcia i próbkę.

Przyciskam dłonie jeszcze mocniej do tułowia, czuję, że robią się wilgotne. Ostatkiem woli powstrzymuję się, żeby nie przenieść ich na metalowy krzyż. Wisior mi ciąży, mam wrażenie, że zmienił się w ołów.

– Czyja to krew? – Zdaję się nie panować nad swoim językiem. Teraz w głowie mam inne wspomnienie i jest w nim pełno krwi.

– Chciałbym, żeby udało się to ustalić – mówi Jankowski, po czym wraz z technikiem zbierają się do opuszczenia mojej posesji.

– Chyba nie jej? – odzywam się. – Tej zaginionej.

Policjant nie zdradza, co myśli na ten temat.

– Przecież nigdy nigdzie nie było żadnej krwi – mówię.

– To prawda – bąka komisarz.

– A Michał Malczyk nie był… – Brakuje mi słów. – Nie miał żadnych otwartych ran.

– To również prawda.

– Więc po co ktoś miałby malować krwią po moich drzwiach?! – Tracę resztki opanowania. – Przecież to się kupy nie trzyma! – wołam.

– I znów się z panią zgodzę.

Zaciskam usta i błądzę wzrokiem po krwawym napisie. Myśl, że bazgroły nie są związane z Maurycym, wwierca się we mnie głęboko, aż do kości. Uwiera coraz mocniej. Obecność krwi na moich drzwiach jest zbyt sugestywna, żeby ją zignorować. Jedynie słowa nią wypisane nie pasują do całości.

Zaczynam dygotać od środka. Nie wiem, która z możliwości jest bardziej przerażająca: ta, że dopadła mnie przeszłość, czy że patrzę na krew kobiety, która ostatnio zaginęła.

– Proszę dzwonić, gdyby coś jeszcze się działo. – Policjant jest już przy bramce. – A... – Zatrzaskuje furtkę i spogląda ponownie w moją stronę. – Proszę pamiętać o zamykaniu drzwi na klucz, nawet w dzień.

Na nowo krzyżuję ramiona na piersi, nic nie mówię. W milczeniu patrzę, jak policjant i technik wsiadają do swoich wozów i odjeżdżają. Dopiero gdy ich samochody znikają mi z oczu, obracam się w kierunku domu. Mój wzrok od razu pada na szkarłatny napis, trzęsę się jeszcze bardziej, choć tak naprawdę nie wiem, czego mam się obawiać. Kogoś, kto podszywa się pod mojego męża? Czy dawnej przyjaciółki?

Zrywam się z miejsca i wchodzę do domu. Nie jestem teraz w stanie zająć się myciem drzwi. To dla mnie za dużo.

Zatrzaskuję drzwi, pospiesznie kładę palce na zamku i go przekręcam. Zwyczajnie, jak co dzień, tylko raz. Nie dam się porwać tej bezpodstawnej panice. Przecież sam Jankowski powiedział, że napis na drzwiach może być wykonany krwią. Może. Nie mają stuprocentowej pewności.

Przechodzę do kuchni i otwieram lodówkę, potrzebuję czegoś zimnego do picia. Jeśli faktycznie mam nie dać się histerii, muszę ochłonąć. Porywam puszkę coli zero, którą zostawiła u mnie ostatnio Daga. Wypijam ją łapczywie, ale zimny napój wcale nie pomaga mi się uspokoić. Chwytam komórkę i wybieram numer przyjaciółki. Nie odbiera. Odkładam telefon z trzaskiem, złoszczę się. Wiem, że Daga jest w pracy, ale na Boga, potrzebuję z kimś porozmawiać. Biorę telefon z powrotem do ręki i piszę SMS-a z prośbą, żeby zadzwoniła do mnie, gdy będzie mogła rozmawiać. Nim odłożę komórkę, mój wzrok pada na karteczkę, którą zostawił mi Arek. Dzwonię do brata. Sytuacja się powtarza, nie odbiera.

Ściskając telefon mocniej w dłoni, przechodzę do jadalni. Jeszcze zanim usiądę przy stole, wybudzam laptopa, ale bynajmniej nie po to, żeby pracować. Choć owszem, powinnam, bo wczoraj właściwie nic nie zrobiłam, dziś także się na to nie zanosi.

Wyszukuję firmy zajmujące się instalacją monitoringu i dzwonię kolejno do każdej. Koszty są znośne, ale terminy już mniej zadowalające. Zanim ktokolwiek przyjedzie zamontować mi sprzęt, minie co najmniej tydzień. Za długo. Potrzebuję czegoś na już, najlepiej na dzisiejszy wieczór.

Rozmasowuję skórę na czole. Nie wiem, czy tym razem monitoring się sprawdzi, ale tak bardzo chcę wiedzieć, kto sobie ze mną pogrywa, że muszę natychmiast coś zrobić. Niestety pole manewru jest zatrważająco niewielkie.

Podnoszę się z krzesła, oczy zachodzą mi łzami. Farba to farba, narwańców nie brakuje, ale krew... Wysmarowanie komuś drzwi krwią zdaje się czymś na granicy zwykłego wandalizmu, może nawet incydentem, który tę granicę przekracza. Ma sprawić, bym poczuła się zagrożona.

Idę do góry, odbudowanie poczucia własnego bezpieczeństwa jest dla mnie w tej chwili priorytetem. Bezczynność z pewnością wepchnie mnie prosto tam, gdzie trafić nie chcę. W objęcia paniki.

Wchodzę do gabinetu Maurycego i zaczynam się na nowo trząść. Tyle tu tego jest, każdy szczegół ludzkiego ciała. Przyglądam się modelowi układu nerwowego, mózg i pełne gałki oczne pozbawione czaszki wraz z rdzeniem kręgowym, od którego odchodzi cała sieć nerwów, kojarzy mi się z Buką z Muminków. Wielkie ślepia gapią się na mnie, jakby nie podobało się im, że ostatnio coraz częściej tu zaglądam. Ignoruję Bukę i podchodzę do biurka. Staram się nie spoglądać na niedokończony model ludzkiej kończyny i sprawdzam szufladę po szufladzie.

Kiedyś mieliśmy amatorską kamerę do monitoringu. Montowaliśmy ją na czas dłuższych wyjazdów, najczęściej na urlop. Arek był wtedy w związku, spędzał u swojej dziewczyny mnóstwo czasu. Pracował już w szpitalu, więc prawie nie bywał w domu.

W żadnej z szuflad nie znajduję starej kamerki. Nie mam pojęcia, gdzie może się znajdować, nie mam nawet pewności, czy ciągle tu

jest. Nie pozostaje mi nic innego, jak przetrząsnąć cały gabinet. Biorę się do przeglądania regałów. Może leży gdzieś za książkami. Nie sądzę, żebym znalazła ją na półce z modelami ludzkiego ciała, ale nie zamierzam odpuścić.

Na dłużej zatrzymuję spojrzenie na układzie mięśniowym człowieka. Maurycy wykonał imitację ludzkich mięśni z włókien lnianych, wybarwił je na dwa odcienie czerwieni, intensywnej, niemal bordowej, i nieco jaśniejszej, przypominającej barwę płatków maku. Te ciemne to mięśnie czerwone, włókna zawierają więcej mioglobiny, która magazynuje tlen, są bardzo odporne na zmęczenie. Z kolei te nieco bledsze mają mioglobiny mniej, kurczą się szybko, ale są zdecydowanie mniej wytrzymałe. Tyle udało mi się zapamiętać. Maurycy często opowiadał mi o anatomicznych szczegółach ludzkiego ciała. Dbał przy tym o detale, to właśnie one były dla niego niezwykle ważne, także gdy pracował nad swoimi modelami.

Gapię się na jeden z mięśni, bordowe nitki są właściwie szkarłatne. Maurycy barwił włókna samodzielnie, bo dostępne na rynku odcienie lnianych sznurków mu nie odpowiadały.

Odsuwam się od regału, dłonie zaciskam w pięści. Przed oczami pojawiają mi się kolorowe plamki. Myśl, która zaczyna kołatać mi w głowie, jest po prostu niedorzeczna, ale jednocześnie trudna do odrzucenia. Włókna mięśniowe wyglądają tak realistycznie, jakby zostały wybarwione krwią.

Wycofuję się z gabinetu powoli, idę tyłem, przeskakując spojrzeniem od jednego modelu do drugiego. Od glinianego szkieletu do układu nerwowego, w tej chwili jeszcze bardziej przypominającego mi Bukę, od bladoróżowych płuc do właściwie brązowej wątroby, od szkarłatnej mięśniówki macicy po równie szkarłatne włókna układu ruchu człowieka.

Odwracam się dopiero, gdy przekraczam próg, i zbiegam pospiesznie po schodach. Wpadam do łazienki i wyjmuję z szafki wiadro. Napełniam je wodą, dodaję obfitą porcję detergentu – samo

mydło wydaje mi się niewystarczające, więc dosypuję proszku do prania, w końcu sięgam po gąbkę. Wychodzę na zewnątrz i biorę się do roboty.

Krwawe litery szybko się rozmazują, stają się nieczytelne, woda mocno się pieni, a piana szybko nabiera czerwonego koloru. Pocieram gąbką mocno, szoruję powierzchnię drzwi tak energicznie, że zaczynam dyszeć z wysiłku. Powstają coraz szersze szkarłatne smugi, już nie mam wątpliwości, że to krew. Żadna farba nie poddałaby się prostemu roztworowi wody z mydłem.

Odrywam dłonie od drzwi, przyglądam się im, są pokryte szkarłatną mazią. Czyjąś krwią. Weszła mi pod paznokcie, nie będzie łatwo się jej stamtąd pozbyć. Miałam już okazję się przekonać, jak trudno usuwa się ślady ludzkiej krwi ze skóry. Im dłużej przyglądam się swoim dłoniom, tym bardziej robi mi się niedobrze.

14

Udało mi się wyczyścić drzwi. Są jak nowe. Zeszły nawet smugi po proszku daktyloskopijnym. Gorzej z moimi rękami. Szorowałam dłonie dobrych dziesięć minut, a i tak mam wrażenie, że drobinki krwi pozostały w skórnych zakamarkach. Najpewniej pod paznokciami. Co kilka minut zerkam na swoje palce, nie widzę tych drobinek, ale tak jak wtedy czuję, że tam są. Nauczona doświadczeniem, powinnam była pomyśleć o rękawiczkach.

Wsiadam do auta i jadę do Galerii Bronowice. W media markt na pewno dostanę sprzęt, który jest mi potrzebny. Nie łapie mnie żaden korek, o tej porze Jasnogórska jest łatwo przejezdna. Dojeżdżam do celu w niepełna piętnaście minut. Kiedy parkuję samochód, na moją komórkę przychodzi powiadomienie. Odczytuję wiadomość od Dagi.

> *Nie mogę teraz rozmawiać, mam dziś straszny zapieprz. Robota z tymi bufonami doprowadza mnie do istnej kurwicy. Pokończyli medycynę i wydaje im się, że są ponad wszystkimi. Cholera, bez pielęgniarek to oni wszyscy gówno by zrobili. To my odwalamy czarną robotę!*

Zanim wysiądę z auta, odpisuję przyjaciółce. Daga nieraz skarżyła się na lekarzy, z którymi pracuje. Zawsze mnie to dziwiło, bo Maurycy opowiadał o swoich współpracownikach same dobre rzeczy. Oczywiście jak w każdym środowisku pewnie i w Epione wśród personelu znajdzie się ktoś z wybujałym ego. Szkoda, że to Daga na takich trafia.

Czekam, bo widzę, że przyjaciółka pisze do mnie kolejną wiadomość.

Zadzwonię wieczorem, to pogadamy.

Spodziewałam się dalszych skarg, byłam gotowa ich wszystkich wysłuchać, ale najwyraźniej Daga naprawdę jest dziś bardzo zajęta. Wysiadam więc z auta i idę do galerii. W sklepie z elektroniką mają od groma kamerek, proszę pracownika o pomoc. Zadaje mi dużo pytań, przy piątym albo szóstym zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem mężczyzna nie połapał się, kim jestem i po co mi sprzęt, którym się interesuję.

Potrząsam niezauważalnie głową. Przecież to niemożliwe. Jednocześnie zakładam ręce na piersi, tak żeby pracownik nie widział moich dłoni. Mam wrażenie, że zalegające pod paznokciami drobinki krwi wcale nie są takie niewidoczne.

Decyduję się na kamerkę dobrej jakości. Nie jest tania, ale mała i zgrabna, z dodatkowymi uchwytami do elastycznego montowania. Wychodzę z media marktu z przekonaniem, że teraz złapię nieco kontroli nad tym, co się dookoła mnie dzieje.

Zanim opuszczę galerię, postanawiam kupić jeszcze pudełeczko sushi na wynos. W tej chwili mam tak ściśnięty żołądek, że nie wyobrażam sobie czegokolwiek przełknąć, jednak stoisko Wasabi, obok którego przechodzę, przypomina mi, że ostatnio bardzo mało jem.

Wracam do domu. Widok czystych drzwi od razu sprawia, że spoglądam na swoje dłonie. Niemal widzę pod paznokciami resztki czyjejś krwi. Zbiera mi się na wymioty, leżące na fotelu pasażera pudełeczko sushi powoduje, że żółć jeszcze bardziej podchodzi mi do gardła.

Zaraz po wejściu do domu włączam telewizor. Wybieram kanał informacyjny, muszę sprawdzić, co mówią o zaginięciu Weroniki P., czy przypadkiem nie podano do publicznej wiadomości nowych faktów. Na przykład tego, że znaleziono jej zmasakrowane ciało.

Oglądam kilka serwisów informacyjnych, ale organy ścigania muszą dreptać w miejscu, bo temat Weroniki P. nie jest nigdzie poruszany.

Sięgam po reklamówkę z media marktu i rozpakowuję swój zakup. Oglądam uchwyt do mocowania kamery z każdej strony, jakoś sobie z nim poradzę. Wynoszę sprzęt na zewnątrz i wypatruję dogodnego punktu do jego zamontowania. Wydaje mi się, że prawy róg, nieco ponad ściennym kwietnikiem, będzie najlepszym miejscem. Doniczka powinna przysłonić kamerkę, sprawi, że stanie się ledwo widoczna.

Kiedy wracam do domu po krzesło, dziennikarka TVN24 przekazuje apel policji o czujność skierowany do mieszkańców Krakowa, a u dołu ekranu pojawia się zdjęcie Maurycego. Przystaję i wysłuchuję wzmianki do końca, a potem dopadam kuchennego zlewu i zaczynam szorować ręce. Nagle wydaje mi się, że pod paznokciami ciągle zalega mi krew, ale tamta, z tamtej nocy. Świadomość, że tak naprawdę nigdy do końca się jej nie pozbędę, choćbym zdarła naskórek do żywej tkanki, sprawia, że zaczynam się trząść jak galareta. Dyndający na szyi wisior pogarsza sprawę.

Odsuwam się od zlewu dopiero wtedy, gdy szczypią mnie całe dłonie. Są czerwone, w wielu miejscach skóra jest mocno podrażniona. Biorę głęboki oddech, potem jeszcze jeden, ale to nie pomaga mi się uspokoić. Gnam więc do gabinetu Maurycego po wkrętarkę, wmawiając sobie, że gdy już zamontuję monitoring, poczuję się lepiej.

Maurycy używał wkrętarki do tworzenia swoich modeli, raz przydała nam się, gdy kupiliśmy szafkę z ikei. Staram się nie zwracać uwagi na tkanki i narządy wypełniające pokój męża, ale gliniany szkielet i Buka są tak dobrze wyeksponowane, że to zwyczajnie niemożliwe. Na szczęście wkrętarka leży na swoim zwyczajnym miejscu, w ostatniej szufladzie przy biurku. Pospiesznie opuszczam gabinet, by dłużej nie patrzeć na modele.

Wychodzę na zewnątrz, wdrapuję się na krzesło i zaczynam pracę od wywiercenia dziury w ścianie. Przykładam wiertło do elewacji, ale wcale nie wchodzi łatwo. Muszę się bardziej postarać, żeby wsunęło się w mur. Rozlega się hałas. Maurycy często opowiadał mi o operacjach, przy których asystował. Znieczulał ludzi do prostych zabiegów, ale także do tych najbardziej skomplikowanych. Mówił, że trepanacja czaszki to szczególnie trudna operacja, otwarcie kości głowy rozpoczyna się od wywiercenia w niej maleńkich otworów. Drążąc dziurę w ścianie swojego domu, mam zatem jednoznaczne skojarzenia. Mąż zaznaczał, że ludzkie kości są twarde, a ich wytrzymałość porównywalna do żelaznego pręta. Niejednokrotnie trzeba użyć sporo siły, żeby przełamać ich opór. Czaszkę przewierca się świdrem, mostek tnie piłą, a żebra rozchyla hakami – już sam widok tych narzędzi przyprawia o dreszcze, potrafią być też niszczycielskie. Wyobrażenia zabiegów nie chcą opuścić mojej głowy, znikają dopiero, gdy przestaję wiercić.

Kiedy wciskam w wydrążoną dziurę kołek stolarski, słyszę nadjeżdżający samochód. Za moment otwiera się brama i na podjazd wtacza się samochód Arka. Brat wyskakuje ze środka i od razu pyta, co ja wyprawiam.

– Jak to co? – rzucam, nie przerywając zajęcia. – Montuję kamerę. Jeśli jutro ktoś znów tu przyjdzie, będę o tym wiedzieć.

– Mieliśmy już monitoring – przypomina mi. – I to całkiem profesjonalny. I co? – prycha. – Nic to nie dało.

Nie mam zamiaru się zniechęcać, mocuję uchwyt, choć dociera do mnie, że równie dobrze mogłabym po prostu położyć kamerkę na kwietniku. Czasem naprawdę zupełnie niepotrzebnie komplikujemy sobie życie.

– Myślisz, że to coś zmieni? – pyta tymczasem Arek.

– Wiesz, co to było? – syczę, zerkając na brata przez ramię. – Tu, na tych drzwiach?

– No napis. Wyzwiska pod twoim adresem.

– Krew! – wykrzykuję. – Tak, właśnie tak. Ktoś pobazgrał drzwi krwią. Nie zauważyłeś, że to nie farba?

– Było jeszcze ciemnawo, gdy wychodziłem z domu – usprawiedliwia się Arek. Patrzy przy tym na mnie jak na wariatkę.

– Nie wierzysz? – rzucam ze złością. – Był tu dziś Jankowski…

– Aha – bąka przeciągle Arek.

– I stwierdził, że to krew.

– Tak od razu?

– Pobrali próbkę, żeby to dokładnie sprawdzić, bo na jakichś tam papierkach wyszło, że to może być krew.

Zerkam na brata, ale nic nie mówi. Gapi się na mnie z trudnym do odgadnięcia wyrazem twarzy. Wracam do pracy. Cisza kłuje mnie w uszy, ale nie odzywam się, no bo co jeszcze miałabym dodać?

Kamerka wisi już na ścianie, nie jest za duża, z drogi raczej trudno będzie ją dostrzec. Aby nie była widoczna tak od razu po wejściu na posesję, zasłaniam ją zielonymi łodygami wyrastającymi z kwietnika.

– Myślisz, że poznasz go po sylwetce? – pyta wreszcie brat. – Przez te pięć lat mógł się sporo zmienić…

– Co ty bredzisz?! – cedzę, zaciskając zęby tak mocno, że aż boli mnie szczęka. Zeskakuję przy tym z krzesła.

Arek milczy.

– Chyba nie myślisz, że Maurycy przyszedł tu i napisał na drzwiach „zdzira zwyrola”! – grzmię.

Brat wciąż się nie odzywa.

– Nóż kurwa, Arek! – unoszę się jeszcze bardziej.

– Ktoś to jednak zrobił – mówi.

Przyglądam się bratu z jeszcze większą złością, oddychając głośno przez nos. Jestem wściekła, bo ewidentnie tracę jednego ze swoich sprzymierzeńców. Nie mam ich przecież zbyt wielu.

– Maurycy tego nie zrobił! – upieram się.

– Czego? – Arek też wydaje się podenerwowany. – Nie pobazgrał drzwi czy nie usunął napisu?

– Nie skrzywdził – cedzę, czując, jak gniew wykwita mi na policzkach gorącym rumieńcem. – Maurycy nikogo nie skrzywdził!

– Wiesz dobrze, że też w to wierzyłem.

– Wierzyłeś? – Mrużę oczy w jeszcze większej wściekłości. – A teraz? Teraz już nie wierzysz?

– Nie wiem. – Brat przeczesuje włosy palcami. – W szpitalu huczy, policja kręci się po korytarzach. Szukają… – Urywa na chwilę. – Sam nie wiem czego.

Zaciskam mocniej wargi, buzuje we mnie nie tylko złość, ale również trwoga. Lada chwila zostanę z tym wszystkim sama.

I jest coś jeszcze. Właśnie teraz, właśnie w tym momencie uzmysławiam sobie, iż tak naprawdę najbardziej boli mnie to, że Maurycy mógł mnie tak po prostu opuścić. Odejść bez słowa. A przecież powinno uwierać mnie coś zupełnie innego. Mógł krzywdzić niewinnych ludzi. A może nadal to robi.

Zaciskam zęby jeszcze mocniej, aż cierpnie mi szczęka. Chcę zmienić swoje odczucia, naprostować to, jak postrzegam całą sytuację. Na próżno. Zniknięcie Maurycego jest tym, co sprawia mi najwięcej cierpienia, i nic nie mogę na to poradzić.

Powinnam się sobą brzydzić.

—

–

—

Dopada mnie zmęczenie. Rzadko się to zdarza, dorastanie w takiej, a nie innej rodzinie nauczyło mnie orki. Tak, w moim domu rodzinnym nie było miejsca na odpoczynek. Stale trzeba było coś robić. Jedynie niedziela zdawała się nieco lżejszym dniem, nikt z nas nie potrafił jednak z tego skorzystać. Napięcie wisiało w powietrzu od rana, wybuch z reguły przychodził po południu. Wieczorem każdy siedział już w swoim kącie i modlił się, żeby nastał poniedziałek. Można było pójść do szkoły, na chwilę zniknąć.

Teraz jednak mam poczucie, że mój wysiłek ma sens, że prowadzi do czegoś wielkiego. Na odpoczynek przyjdzie jeszcze czas.

Wertuję półki z książkami, internet to teraz główne źródło informacji, ale tradycyjne podręczniki wciąż pozostają niezastąpione. Nie mogę przestać myśleć o tym, dlaczego znów mi się nie udało. Oczywiście nie można zakładać, że wskrzeszanie ludzi będzie łatwe, ale naprawdę nie wiem, co robię źle. Z teoretycznego punktu widzenia to po prostu powinno działać.

Wyszukuję kilka bardzo obiecujących książek, w których być może znajdę odpowiedź na to, gdzie tkwi błąd.

Zabieram podręczniki, żeby skserować interesujące mnie strony. Niczym pilny student medycyny. Umiem zachowywać się odpowiednio cicho, niezwracanie na siebie uwagi weszło mi w nawyk. To także umiejętność nabyta jeszcze w dzieciństwie.

Moją uwagę przykuwa jeszcze jeden tytuł. Anestezja w stanie zagrożenia życia. To brzmi jeszcze bardziej obiecująco.

Sięgam po opasły podręcznik, ma prostą, zupełnie niczym niewyróżniającą się okładkę. Tytuł robi jednak swoje. Dokładam skrypt do pozostałych, wtedy książka niefortunnie wyślizguje mi się z dłoni. Upada na posadzkę z tak głośnym łupnięciem, że aż zaciskam zęby.

15

Noc mam niespokojną, i to do tego stopnia, że zastanawiam się, czy znów nie sięgnąć po temazepam. Budzę się wielokrotnie, raz wydaje mi się, że z objęć Morfeusza wyrywa mnie jakieś uderzenie. Hałas się jednak nie powtarza, więc i on musiał mi się przyśnić.

Obecność krwi na drzwiach nie daje mi spokoju. Ta krew po prostu do tego wszystkiego nie pasuje. To nie jest sprawa jakiegoś rzeźnika, który torturuje swoje ofiary, by później poćwiartować ich ciała. Michał Malczyk jest tego dowodem. Jakkolwiek nieadekwatnie by to zabrzmiało, działania krakowskiego porywacza są naznaczone subtelnością.

Udaje mi się zasnąć na nieco dłużej dopiero nad ranem. Kiedy wreszcie wstaję, pierwsze, co robię po zejściu na dół, to sprawdzam nagrania z nocy. Słychać przejeżdżające ulicą samochody, poza tym ruch jest niewielki. Przeglądam film na przyspieszeniu, przez większość czasu właściwie nic się nie dzieje. Dopiero o trzeciej nad ranem zauważam cień. Zwalniam odtwarzanie, moje tętno przyspiesza. „Przez te pięć lat mógł się sporo zmienić", dźwięczą mi w głowie słowa Arka. Możliwe. Ale i tak jestem przekonana, że rozpoznałabym Maurycego. Wystarczyłby mi zarys sylwetki, sposób poruszania się. Wstrzymuję oddech, powtarzając sobie, że jestem na to gotowa. Jeśli zaraz ujrzę męża, poradzę sobie z tym.

Koło schodów pojawia się jednak… lis. Wypuszczam głośno powietrze z płuc, patrząc, jak zwierzę podchodzi pod same drzwi. Gdzieś w ogrodzeniu musi być dziura. Lis obwąchuje drzwi i znika z pola widzenia. Znów nastają cisza i spokój.

Oglądam nagranie z coraz większym rozedrganiem, wracają do mnie wczorajsze przemyślenia. Tak, krew po prostu do tego wszystkiego nie pasuje. Gdy na filmie zaczyna świtać, nie jestem już w stanie odsunąć od siebie wspomnień o przeszłości. Naturalnie moje myśli krążą wokół pani Bożenki.

Kobieta miała w sobie czułość, na którą pozostali pracownicy domu dziecka nawet się nie silili. Dbała o wychowanków jak o własne pociechy. Takich ludzi naprawdę rzadko się spotyka. Nie okazywała tego wprost, ale darzyła mnie szczególną sympatią, pewnie dlatego, że byłam popychadłem. Pani Bożenka dobrze wiedziała, jak bardzo pod górkę mają w szkole dzieci z bidula i że jedni radzą sobie z tym lepiej, a inni gorzej.

Gdy opuściłam dom dziecka, pani Bożenka chciała utrzymać ze mną kontakt, powtarzała, że wciąż jest gotowa mi pomagać. Ja jednak w pewnym momencie przestałam się odzywać. To nie tak, że tej pomocy nie potrzebowałam, ale po tamtej nocy musiałam zamknąć za sobą wszystkie drzwi. Wydawało mi się, że najmniejsza furtka może sprowadzić na mnie jeszcze większe nieszczęście.

Numer opiekunki zachowałam jednak w starym albumie ze zdjęciami. Nie mam ich zbyt wielu, zresztą po co miałabym mieć ich dziesiątki, skoro każde przypomina o tym, że nie było mi dane cieszyć się beztroskim dzieciństwem. Na jednej z fotografii jest pani Bożenka, siedzę jej na kolanach, a obok stoi Święty Mikołaj. Przebranie jest na tyle tandetne, że rozpoznaję w mężczyźnie pracownika ośrodka, a po własnej minie wnioskuję, że spotkanie ze świętym mnie przeraziło. Nie przeglądam reszty zdjęć, bo wiem, że natknę się na te z Kaśką.

Minęło wiele lat, pani Bożenka mogła przez ten czas wielokrotnie zmienić numer telefonu. Postanawiam jednak spróbować. Wystukuję ciąg cyfr i przykładam telefon do ucha. Kiedy pojawia się sygnał, zaczynają drżeć mi usta.

– Słucham. – Ciepły głos, który dobiega do moich uszu, nie pozostawia mi złudzeń, że dodzwoniłam się do właściwej osoby. Serce

podejmuje szaleńczy galop, na moment brakuje mi tchu. Chyba podświadomie liczyłam na to, że numer okaże się nieaktualny. – Halo, słucham?

– Dzień dobry, pani Bożenko – odzywam się, czując, że zaczynają drżeć mi również dłonie. – Z tej strony Olga Soboń, to znaczy Siewka. Olga Siewka. Byłam pani podopieczną…

– Pamiętam cię, Olga… – Głos dawnej opiekunki nie traci łagodności. – Cieszę się, że dzwonisz! Jezusie Przenajświętszy, po tylu latach!

– To prawda, chwilę mi zeszło, zanim… – Urywam w pół zdania, bo tak naprawdę sama nie wiem, co chcę powiedzieć.

– Co u ciebie, dziecko? – Pani Bożenka zdaje się naprawdę cieszyć telefonem ode mnie. – Jak ci się wiedzie? Jak ci się w życiu ułożyło?

Biorę głębszy oddech, zastanawiając się, czy to możliwe, żeby nie wiedziała, kim jestem, a właściwie za kogo uważany jest mój mąż.

– Dobrze – mówię. – Naprawdę dobrze mi się powiodło. Mieszkam w Krakowie, a właściwie pod Krakowem. Skończyłam studia. Mam dobrą pracę i dom. Męża… To znaczy…

– Tak mi przykro, że trafiłaś na takiego człowieka…

– Wie pani o Maurycym?

– Gdy pokazali twoje zdjęcie w telewizji, od razu cię rozpoznałam. Tak mi przykro, dziecko – powtarza. Nie pozostawia mi tym złudzeń, że podziela powszechną opinię co do Maurycego. Już mam zacząć protestować, kiedy kobieta mówi: – Życie nie jest dla was łaskawe. Najpierw trudne dzieciństwo, potem dorosłość też niełatwa. Los jest niesprawiedliwy.

– Utrzymuje pani kontakt z innymi podopiecznymi? – pytam, bo rozmowa sama schodzi na interesujące mnie tory, a pani Bożenka najwyraźniej nie ma wobec mnie żadnych uprzedzeń, mimo iż zna moją sytuację.

– Z niektórymi – przyznaje kobieta. – Choć chciałabym ze wszystkimi! – Śmieje się. – Ale ze wszystkimi się nie da.

Nie miała swoich dzieci, sądzę, że właśnie to przyczyniło się do tego, jak zajmowała się nami w placówce.

– To co tam u innych? – zagaduję. – Wyszli na ludzi?

– Większość tak. Choć niestety nie każdemu się ułożyło.

– A Kaśce? – pytam prosto z mostu.

– Przyjaźniłyście się – mówi mi na to. – Pamiętam to bardzo dobrze. Byłyście ze sobą blisko niczym siostry! To się tak rzadko zdarza. Szkoda, że nie trzymałyście się dalej razem, może wtedy wszystko wyglądałoby inaczej.

Zaczyna kłuć mnie w dołku. Nikt nie musi mi przypominać, że więź, która zrodziła się między mną a Kaśką, była wyjątkowa. Ani tego, że przez to, co zrobiłam, została ona nieodwracalnie zerwana.

– Też źle trafiła – oświadcza pani Bożenka.

– To znaczy?

– Wyszła za mąż, urodziła czwórkę dzieci. Niestety rodzina jest objęta pomocą MOPS-u i ma założoną niebieską kartę. Mam koleżankę, która pracuje właśnie w MOPS-ie, i to od niej wszystkiego się dowiedziałam, bo Kaśka tak jak ty nie chciała utrzymywać ze mną kontaktu.

Ściska mnie mocniej w klatce piersiowej, nie tylko dlatego, że najwyraźniej sprawiłam duży zawód kobiecie, która przez lata o mnie dbała, ale też z powodu atakującego mnie poczucia, że być może życie Kaśki potoczyło się tak, a nie inaczej przeze mnie. Może Fabian wcale nie był taki zły. Był młody i narwany, może by się wyrobił.

– To Kaśka mieszka w Krakowie? – wyduszam z siebie.

– Pod Krakowem. W Giebułtowie.

Moje serce na nowo podejmuje szaleńczy rytm, bo to przecież bardzo blisko mnie. Do Giebułtowa mam nie więcej niż dziesięć minut samochodem.

– Zna pani dokładny adres? – brnę dalej, choć jest mi coraz trudniej prowadzić tę rozmowę ze spokojem.

– Nie.

– A ta pani koleżanka?

– Nie wiem, czy mi poda.

– Może odwiedziłabym Kaśkę – rzucam, słysząc ton pani Bożenki. – Sama pani wspomniała, że się przyjaźniłyśmy. Skoro nie jest u niej kolorowo, to może powinnam się znów zainteresować…

– Zawsze wiedziałam, że dobre z ciebie dziecko.

Wypuszczam powietrze przez nos. Nie dość, że łżę jak z nut, żeby dopiąć swego, to jeszcze… Gdyby kobieta wiedziała, co tak naprawdę mam na sumieniu…

– Dobrze, zapytam – oświadcza pani Bożenka. – Ale nie mogę nic obiecać.

– Rozumiem.

Kobieta opowiada mi o dzieciach Kaśki, najstarsza córka ma już trzynaście lat, pozostałe to synowie w wieku dziesięciu, ośmiu i pięciu lat. Rodzina zajmuje niewielki dwupokojowy dom, do niedawna mieszkała z nimi jeszcze babka.

– Ale przynajmniej teren jest tam ładny. Podobno za płotem rośnie już las, więc dzieciaki mają się gdzie bawić.

– Mhm – mruczę, nadal nie dowierzając, że Kaśka mieszka niemal po sąsiedzku. – A skąd ta niebieska karta?

– Wszystkiemu winien alkohol. – Pani Bożenka wzdycha. – Jak Krzychu popije, robi się agresywny.

– Mąż Kaśki, tak? – dopytuję.

– Tak. Chłopak ma problem z alkoholem, ale nie chce nic z tym zrobić.

Rozmawiamy jeszcze chwilę, w końcu kobieta chyba wyczuwa, że udało mi się zdobyć interesujące mnie informacje, bo przestaje mnie zagadywać. Życzy powodzenia, po czym się żegnamy.

Chowam kartkę z numerem pani Bożenki z powrotem do albumu. Może kiedyś znowu do niej zadzwonię, tym razem bezinteresownie,

zwyczajnie porozmawiać.

16

Po zaledwie dziesięciu minutach otrzymuję SMS-a od pani Bożenki. Wpisuję adres Kaśki w Google Maps. Faktycznie posesja leży tuż przy lesie, to wciąż Giebułtów, ale już w pobliżu Januszowic.

Odkładam telefon i pozwalam, żeby ekran samoistnie zgasł. Zastanawiam się, co osiągnę, jeśli zdecyduję się odwiedzić Kaśkę. Czy zdołam się dowiedzieć czegoś konkretnego, czy tylko zafunduję sobie mało przyjemną wycieczkę do przeszłości.

Wisior znów zaczyna mi ciążyć, nie jestem pewna, czy usiłuje popchnąć mnie do działania, czy wręcz przeciwnie, powstrzymać przed rozgrzebywaniem starych ran.

Jadę do Giebułtowa.

Miejscowość robi przyjemne wrażenie, zresztą jak wszystkie wioski w gminie Wielka Wieś. Zadbane posesje i rozbudowana infrastruktura publiczna, a dookoła sporo zieleni. Skręcam w ulicę Leśną, droga jest wąska, ale wciąż asfaltowa. Domy pojawiają się coraz rzadziej. Gdy zbliżam się do numeru, pod którym ma mieszkać Kaśka, serce mi przyspiesza. Asfalt się kończy i samochód zaczyna podskakiwać na wybojach. Utwardzona szosa pokryta jest licznymi kamieniami.

Zatrzymuję wóz. Zaparkowałam jak najbliżej ściany lasu, mimo to obok chyba i tak nic nie przejdzie. Droga nie należy do tych najbardziej ruchliwych, a moja wizyta raczej nie będzie trwać długo, więc wysiadam z auta.

Podchodzę pod dom, niewielki drewniany budynek, który woła o remont. Okna są w kiepskim stanie, ale najbardziej nędznie prezentuje się dach. Nie zdziwiłabym się, gdyby przeciekał. Wchodzę

na posesję, chyba w miejscu, gdzie powinna być bramka, bo ogrodzenie się sypie, brakuje wielu sztachet. Kury chodzą swobodnie, kilka z nich przecina drogę i wchodzi w zagajnik. Zwracam na nie uwagę, bo to coraz rzadszy widok, nawet na wsi. W słońcu wygrzewa się bury kot.

Robię jeszcze kilka kroków naprzód, kiedy rozlega się szczekanie psa. Przystaję, widząc, że zwierzę biegnie w moją stronę, nie przestając głośno ujadać. Niby merda ogonem, ale wystawia przy tym kły, chyba uznał mnie za intruza. Nie ruszam się, żeby nie rozdrażnić go jeszcze bardziej, mam nadzieję, że Kaśka albo inny z domowników wyjdzie go uspokoić. Jednak na podwórku nikt się nie pojawia. Nie wiem, co robić. Czuję, że jeśli zacznę się wycofywać, pies doskoczy do mnie. Nerwy, które do tej pory trzymałam jako tako na wodzy, puszczają, robi mi się duszno i gorąco, ściska mnie w żołądku.

– Halo, jest tu ktoś? – wołam. Zagłusza mnie szczekanie. – Halo!

– Mela, spokój! – słyszę, kiedy pies jest tuż przy mojej nodze. – Mela, do budy! I to już! Poszła mi do budy w tej chwili!

Rozpoznaję głos Kaśki. Jest niski, mało kobiecy, ktoś mógłby pomyśleć, że należy do mężczyzny. Mam za to trudności z przypasowaniem kobiety, którą widzę, do wspomnień o przyjaciółce. Dziewczyna była drobna, żeby nie powiedzieć: filigranowa, teraz jej sylwetkę można uznać za masywną, choć to głównie przez odłożony tłuszcz. Włosy, wtedy długie, niemal kruczoczarne, ledwo zachodzą za ucho i są gęsto poprzeplatane siwymi pasmami, dawno nie widziały farby ani fryzjera.

– A ty tu czego? – odzywa się na mój widok.

– Może jakieś „cześć”? – rzucam, kiedy nasze spojrzenia się spotykają. Oczy Kaśki są przekrwione i matowe, biją z nich zmęczenie i niechęć. Ale nie mam wątpliwości co do tego, że mnie poznaje.

– Na co ty liczysz? I czego w ogóle chcesz?

Nie oczekiwałam uścisków i łez wzruszenia, ale jednak miałam nadzieję na odrobinę… Sama nie wiem czego. Odebrałam jej

człowieka, którego pokochała, a nam, dzieciom z bidula, trudniej obdarzyć drugą osobę uczuciem. I być może tym samym wpakowałam ją w to… bagno, kończę w myślach, rozglądając się po zaniedbanym podwórku.

– Wiesz, co mnie spotkało – odzywam się, wracając spojrzeniem do dawnej przyjaciółki. – Ludzie mnie nienawidzą.

– Bardzo dobrze. Właśnie na to zasługujesz.

Zaciskam usta. Więcej mi nie trzeba, żeby być pewną, że jest dokładnie tak, jak Kaśka zapowiedziała. Nigdy mi nie wybaczyła.

– Mój mąż nikogo nie skrzywdził – oznajmiam.

Kaśka prycha z taką drwiną, że jej obwisłe policzki aż podskakują.

– Nie każdy jest podły – mówię. – Przykro mi, że na takich ludzi trafiłaś w swoim życiu. Fabian nie był dobrym człowiekiem, wiesz o tym. Mężczyzna, z którym teraz jesteś, chyba też…

– Masz rację. – Kaśka wchodzi mi w słowo. – Spotkałam w życiu wielu złych ludzi. Ale najgorsza byłaś ty.

Z trudem przełykam ślinę. Kaśka nienawidzi mnie bardziej, niż sądziłam, ona mną zwyczajnie gardzi.

– Po co tu przylazłaś? – odzywa się wrogo. Poczerwieniała na twarzy.

– Chciałam zobaczyć, jak ci się w życiu… – Urywam w połowie zdania. Nie ma sensu kluczyć i udawać. – Ktoś bazgrze mi po drzwiach.

Kaśka znów prycha głośno.

– Niewybredne epitety – ciągnę mimo wszystko. – Pojawiały się już kiedyś. Potem był spokój. Teraz znów się zaczęło…

– I myślisz, że to moja robota? – znów mi przerywa.

– Właśnie o to przyszłam cię zapytać.

Tym razem dawna przyjaciółka nic nie mówi, przygląda mi się tylko z coraz większą wrogością.

– Widzę, jak bardzo mnie nienawidzisz.

– A ty byś miała inaczej? – ripostuje. – Gdybyś była na moim miejscu?

– Wiesz przecież, jak to było. – Drżą mi wargi, gdy to mówię.

– Pfff! – Kaśka znów prycha.

– Fabian próbował mnie zgwałcić! – wybucham, choć wydawało mi się, że nieźle sobie radzę, że panuję nad emocjami.

– I co z tego? – wypala. – To tylko facet. Poza tym był pijany, nie wiedział, co robi.

– Był naćpany w cztery dupy! – wykrzykuję.

– Tym bardziej. Nie kontrolował się.

Nie dowierzam temu, co słyszę. Nie pojmuję, jak Kaśka może stawać w obronie człowieka, który napastował jej przyjaciółkę. Jest to dla mnie tym trudniejsze do zrozumienia, że przecież Kaśka sama jest kobietą, do diabła!

– Ty to zrobiłaś? – pytam prosto z mostu. – Pobazgrałaś mi drzwi?

– Nie. Nie chciałoby mi się, mam swoje życie. Ale dobrze, że innym się chce. Już raz ci się upiekło, nie powinno ci się udać drugi raz.

Przyglądam się Kaśce w osłupieniu. Nie tylko uważa, że sprawcą zaginięć jest Maurycy, ale najwyraźniej że ja również jestem w to zamieszana.

– Jak możesz tak mówić? – rzucam. – Przecież…

– Weź idź mi stąd. Won z mojego domu! – krzyczy na mnie.

– Co się, kurwa, tak drzesz? – Na podwórku pojawia się mężczyzna. Jest niegolony, włosy ma potargane, a koszulkę poplamioną. Skóra na jego twarzy naznaczona jest czerwonymi wybroczynami, porusza się chwiejnie, najwyraźniej jest pijany. – Do domu, i to już! – Chwyta Kaśkę za przedramię.

– Zaraz, tylko…

– Jakie zaraz! – wrzeszczy i bierze zamach ręką. Kaśka obrywa w głowę.

Instynktownie podbiegam do faceta i odpycham go od dawnej przyjaciółki. Jest tak pijany, że traci równowagę i się przewraca.

– Jak ci dam, ty głupia suko! – krzyczy, usiłując podnieść się z ziemi.

– Hamuj się pan z tymi wyzwiskami – syczę, podchodząc do faceta bliżej. Nie dbam o to, że mogę ucierpieć. Kaśka, czy też dziewczyna, którą kiedyś była Kaśka, wiele razy stawała w mojej obronie, chroniła mnie. Teraz widzę właśnie ją, nastolatkę, z którą tak wiele mnie łączyło.

– Idź stąd! – Kaśka chwyta mnie za ramię.

– Jak możesz na to pozwalać? – wybucham. – Jak możesz się godzić na to, żeby to bydlę cię biło?

– To mój mąż! – krzyczy. – Ojciec moich dzieci!

Oddycham ciężko przez nos. Trudno mi się pogodzić z tym, że tamtej dziewczyny już nie ma, że zastąpiła ją stłamszona, pełna goryczy kobieta, tkwiąca w małżeństwie z alkoholikiem, który nią pomiata.

– To nie tak powinno wyglądać, Kaśka – mówię.

– Nie mieszaj się. To nie twoja sprawa.

– Nie o takim życiu marzyłyśmy – przypominam jej. – Pamiętasz? Pamiętasz, jak planowałyśmy przyszłość, jak opowiadałyśmy sobie, czego chcemy?

– Odbierając mi Fabiana, pozbawiłaś mnie tego wszystkiego! – syczy.

– Uchroniłam cię przez bydlakiem – cedzę. – A ty wpakowałaś się w kolejne gówno. Tego też bym zadźgała – ruchem podbródka wskazuję na stękającego na ziemi mężczyznę – gdybym tylko wiedziała, że nie znajdziesz sobie kolejnego skurwiela.

—
–
—

Kiedyś moja wiedza o eksperymentach Roberta Cornisha była niewielka, żeby nie powiedzieć: znikoma. Któregoś razu zdarzyło mi się przeczytać kilka jego artykułów – i to był przełom. Dotarło do mnie, że to jest właśnie moja droga. Że istnieję po to, by podjąć się wyzwania i pójść śladami amerykańskiego naukowca.

Robert Cornish działał w Stanach Zjednoczonych w połowie dwudziestego wieku, był lekarzem związanym z Uniwersytetem Kalifornijskim, a jego eksperymenty nad przywracaniem krążenia od początku budziły kontrowersje. Mimo to przez jakiś czas Cornish miał wsparcie swojej uczelni – dopóki nie rozpętała się medialna burza. Lekarzowi zarzucono uśmiercanie zwierząt. Opinia publiczna nie potrafiła zaakceptować, że dusił psy. A jak inaczej miał prowadzić swoje badania? Żywy organizm nie potrzebuje przecież ożywienia. Ludzie nie rozumieją, że sukces wymaga poświęceń. Taka postawa prowadzi donikąd.

Cornishowi udało się wskrzesić dwa psy. Udusił je, a dziesięć minut po stwierdzeniu zgonu sprowadził z powrotem na ten świat. Czyż to nie fascynujące? Zwierzęta nie żyły potem zbyt długo, były ślepe i miały problem z poruszaniem się. Doszło do uszkodzeń mózgu w wyniku niedotlenienia, ale… faktem jest, że powróciły do życia.

Pozbawiony wsparcia Cornish się nie poddał. I chwała mu za to, grunt to wytrwałość, zwłaszcza gdy się w coś bardzo wierzy. Naukowiec zaczął działać na własną rękę, kontynuował swoje badania w domu. W końcu ogłosił, że jest w stanie wskrzesić człowieka. Tak! Oznajmił, że potrafi z pełnym sukcesem przywrócić funkcje życiowe osoby zmarłej. Potrzebował tylko ludzkich modeli badawczych, zwrócił się więc do władz więzień stanowych. Kontaktował się też z samymi skazanymi, którzy oczekiwali na wyroki śmierci. Znalazł się ochotnik. Thomas McMonigle po pozytywnym przebiegu eksperymentu miał zostać wypuszczony na wolność. Brzmi pięknie, ale

władze stanowe, przestraszone faktem, że eksperyment faktycznie mógłby się powieść, opóźniły wydanie ciała więźnia o godzinę. Godzinę! Przecież to oczywiste, że po takim czasie reanimacja nie miała już sensu.

Ciąg dalszy tej historii mnie bardzo rozczarował, bo Cornish… zrezygnował z dalszych badań. Trochę to rozumiem, w końcu nie miał łatwo – nagonka na jego wybitny umysł trwała nieprzerwanie od pierwszych eksperymentów na psach do próby z udziałem ochotnika z więzienia. Szkoda, że nawet teraz pamięta się głównie o jego kontrowersyjnych działaniach, a rzadziej wspomina o tym, jak przyczynił się do rozwoju technik reanimacyjnych. Opracował przecież własną wersję płucoserca!

Cornish używał prostej mieszkanki: sól fizjologiczna, surowica krwi, adrenalina i heparyna. Za jej pomocą wskrzesił dwa psy. Ja chcę wskrzesić człowieka, stąd konieczność modyfikacji składu. Mój bufor życia oczywiście opiera się na komponentach stosowanych przez Cornisha, ale został on wzbogacony w kilka składników. Kluczowym dodatkiem wydają się antagoniści witaminy K. Znacznym zmianom uległy też stężenia wodorowęglanu sodu i magnezu. Niestety najwyraźniej to wciąż za mało, a to oznacza, że czekają mnie kolejne godziny pracy nad nowym składem mieszaniny.

17

Mija kilka dni, a moje drzwi pozostają czyste. Każdego ranka wychodzę na zewnątrz i je dokładnie oglądam, a potem sprawdzam nagrania z nocy. Do tej pory zamontowana przeze mnie kamera nie zarejestrowała niczego niepokojącego. Pytanie, czy właśnie dlatego, że postarałam się o ten amatorski monitoring, wraca do mnie jak bumerang.

Media jednak się na mnie nie rzuciły. Poza kilkoma wyjątkami z zeszłego tygodnia nikt do mnie nie wydzwaniał. Milczy też Jankowski. Ten względny spokój mącą mi myśli o Kaśce. Zobaczyłam niewiele, jednak wystarczająco, żeby przekonać się, że jej życie nie jest usłane różami. Jest mi przykro z tego powodu, miałam nadzieję, że lepiej jej się powiodło.

Myślę też o tym, co wykrzyczałam, zanim opuściłam posesję dawnej przyjaciółki. O tym, z jaką lekkością wyszły ze mnie tamte słowa. Czy rzeczywiście byłabym zdolna znów zabić?

Zmuszam się, żeby nadrobić zaległe tłumaczenia. Pracuję do samego wieczora. O dziewiętnastej trzydzieści zamykam laptop i przenoszę się na kanapę. Włączam telewizor. Do dzisiejszego odcinka *Uwagi* pozostało jeszcze kilkanaście minut, ale nie chcę niczego przegapić. Czekając na program, czuję, jakby mój żołądek się skręcał. Kiedy rozpoczyna się ramówka, ściska mnie w nim już tak mocno, że zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem się czymś nie zatrułam. Ścieżka dźwiękowa dobiega końca, na ekranie pojawia się prowadzący program i przedstawia temat dzisiejszego odcinka. Ucisk w brzuchu ustępuje jak ręką odjął, czuję ulgę. Dobrze zrobiłam, że odmówiłam udziału w materiale, który zaraz zostanie wyemitowany.

– Nie wiem, po co wrócił – wyznaje kobieta, której twarzy nie pokazują. Głos też ma zmieniony. – Może faktycznie chce dokończyć to, co zaczął… Tyle że przecież zniknęła kolejna kobieta. – Rozmówczyni macha ręką, po gestach wnioskuję, że płacze. – Minęło pięć lat, a ja ciągle mam wrażenie, że to było wczoraj. To, jak Olka zniknęła.

– Mają państwo jeszcze nadzieję? – pyta redaktor.

– Mamy. Nadzieja jest zawsze.

Na ekranie pojawiają się kadry z osiedla mieszkaniowego. Nie poznaję, który to dokładnie rejon, ale jasne jest, że chodzi o Kraków. Narrator wyjaśnia, kim była kobieta, którą przed chwilą słyszeliśmy – siostrą pierwszej ofiary Sobonia. Poza nią w materiale zgodziła się wziąć udział jeszcze Paulina Malczyk. To właśnie jej twarz wypełnia teraz dwie trzecie kadru.

– Nie boję się – mówi. – Czego mam się bać? Zniszczył już moje życie, odebrał mi to, co było w nim najcenniejsze. Co jeszcze może mi zrobić?

Przymykam na moment powieki. Pewność kobiety co do winy Maurycego nie uległa zmianie, wciąż jest niezachwiana i podszyta nienawiścią.

– Rozsądnie byłoby zakładać, że jest nieobliczalny – wtrąca dziennikarz.

– Oczywiście, że tak.

Otwieram oczy w momencie, kiedy Malczykowa kiwa głową.

– Taki ktoś musi być nieobliczalny – stwierdza. – Może bym się bała, gdyby w grę wchodził ktoś inny, jakiś naśladowca czy inny popapraniec. Ale Sobonia? Sobonia się już nie boję – przekonuje.

Tym razem to dziennikarz kiwa głową, a potem sceneria się zmienia. Malczykowa wpuściła kamerę do swojego domu. Pokazują pokój jej męża. Mężczyzna tkwi w bezruchu w pozycji półsiedzącej. Ma zapadnięte policzki, w jednym kąciku ust widać rurkę, przez którą żona go karmi, z drugiego cieknie strużka śliny. Malczykowa sięga po

chusteczkę i ociera wargi męża. Mężczyzna przenosi wzrok na żonę, w jego oczach maluje się udręka.

Paulina Malczyk opowiada o stanie męża, o tym, ile wymaga opieki. Dodaje, że zajmuje się nim sama, bo nie wyobraża sobie, że mogłaby tak intymne sprawy jak mycie czy toaletę powierzyć komuś obcemu. Przyznaje, że z trudem godzi pracę w szpitalu ze zobowiązaniem wobec sparaliżowanego męża.

– A skąd ta pewność? – pyta dziennikarz, gdy z ekranu znika dom Malczykowej i kobieta znów siedzi w studiu programu. – Że to Soboń?

Kamera robi dodatkowe zbliżenie na twarz pokrzywdzonej. To wyreżyserowana pauza, jestem przekonana o tym, że redaktor dobrze wie, jaka zaraz padnie odpowiedź.

– Dostałam przecież wiadomość – mówi.

– Czy to nie za mało?

– Nie, nie za mało, bo… – Kobieta zawiesza głos, jakby nie była pewna, czy powinna mówić dalej. Napięcie rośnie. Zastanawiam się, czy ono również zostało wyreżyserowane, czy Malczykowa rzeczywiście się zawahała. – Bo ekspertyza grafologiczna potwierdziła, że napisał ją Soboń.

Marszczę czoło, po czym pochylam się, żeby być bliżej telewizora, jakby miało mi to pomóc w przyswojeniu słów, które słyszę.

– Mówi pani o ekspertyzie zleconej przez śledczych? – docieka redaktor.

– Tak. Przekazałam wiadomość policji, zajęli się nią, zbadali ją.

– Ciekawe jest to, że policja nie poinformowała opinii publicznej o tych ustaleniach – zauważa dziennikarz.

Paulina Malczyk wzdycha, a mnie zaczyna szumieć w uszach. Czuję też pulsowanie w skroniach, serce bije szybko, wręcz agresywnie, jakby miało mi zaraz rozerwać pierś.

– Ja wiem, że oni to robią dla dobra śledztwa – ciągnie tymczasem żona poszkodowanego – ale akurat w tej kwestii uważam, że powinni

ludziom powiedzieć. Żeby się mieli na baczności. Soboń znów grasuje, myślę, że…

Nie słyszę, co Malczykowa mówi dalej, jej głos się rozmywa, ginie gdzieś z tyłu mojej głowy. W uszach dudni mi niespokojny rytm wygrywany przez moje własne serce, kłuje mnie w piersi, mam wrażenie, że zaraz popękają mi żebra.

Chwytam za komórkę, trzęsące się dłonie utrudniają mi jej odblokowanie. Kiedy wreszcie mi się to udaje, wybieram numer Jankowskiego.

– Słucham, pani Soboń – zgłasza się szybko.

– Ma pan wyniki analizy grafologicznej? – pytam. Głos mi drży, słyszę, że zjadam głoski. – Tej wiadomości. Tej, którą dostała Paulina Malczyk.

Na linii panuje cisza. Nie muszę sprawdzać, czy połączenie nie zostało przerwane, bo słyszę miarowy oddech policjanta. Jankowski po prostu się nie odzywa.

– Ogląda pani *Uwagę* – stwierdza po czasie, który wydaje mi się wiecznością.

– Ona mówi, że to Maurycy. – Głos nadal niemiłosiernie mi drży. – Że to Maurycy napisał tę wiadomość. Że to potwierdziliście.

– Dla dobra śledztwa zachowujemy podobne szczegóły w tajemnicy – mówi. – Tym bardziej że wiadomość jest zbyt krótka, żeby mieć bezwzględną pewność. Nie możemy ogłaszać czegoś, co może okazać się błędem.

– A jednak Malczykowa wie – zauważam, o dziwo bardzo przytomnie.

Jankowski znów milczy. Nie mam pojęcia, co ta cisza ma oznaczać, zaczyna mi się od niej coraz bardziej kręcić w głowie. Czuję się jak pijana, gorzej – jakby zaraz miał mi się urwać film.

– Przecież wie pani, że robimy wszystko, żeby dotrzeć do prawdy. Śledztwo jest w toku i proszę mi wierzyć, że jeśli nie informujemy

opinii publicznej o pewnych ustaleniach, to jedynie dla dobra dochodzenia.

Słowa policjanta z trudem przebijają się przez panujący w mojej głowie hałas. Docierają do mnie, ale brzmią jak bełkot, rezonują we mnie niczym leśne echo, a ich znaczenie nie chce poskładać się w sensowny przekaz.

– A co ze mną? – wyduszam w końcu. – Czy ja nie powinnam wiedzieć? Nie powinnam być właśnie jedną z tych osób, którym powiecie?

Odpowiedź policjanta ponownie zostaje poprzedzona chwilą ciszy.

– Są okoliczności, które wciąż badamy. – Jankowski nadal usiłuje zbyć mnie banałami.

– Ale j-jak? J-jak to j-jest możliwe? – Zalewa mnie piekielny gorąc, policzki zaczynają mi płonąć. Do trzęsących się dłoni dołączają nogi. Mam wrażenie, że zaraz zemdleję.

Próbuję zrozumieć, co oznacza to, co przed chwilą usłyszałam. Nie dla śledztwa i prowadzonych przez policję czynności, ale… dla mnie. Co wynik badania grafologicznego, nawet jeśli nie jest w stu procentach pewny, oznacza dla mnie.

– Żyje? – dukam słabym głosem. – Naprawdę? Maurycy żyje?

18

Nie pamiętam dalszego ciągu rozmowy z Jankowskim. Gdy policjant się rozłącza, rzucam telefon i biegnę na górę. Nie pukam do drzwi, po prostu je otwieram i wpadam do pokoju Arka, cała się trzęsąc.

– Maurycy żyje! – wykrzykuję.

Arek siedzi przy biurku, jak zwykle piętrzą się na nim podręczniki, czasopisma naukowe i sterty notatek. Mimo to na blacie panuje porządek, można odnieść wrażenie, że wszystko ma tu swoje miejsce.

– Słyszysz?! – wrzeszczę na całe gardło. – Maurycy żyje!

Brat ponosi się z krzesła, okrąża biurko i podchodzi do mnie.

– Spokojnie, Olga. – Kładzie dłonie na moich barkach.

Jestem rozpalona, czuję pożerający mnie od środka gorąc, a na skórze nową warstwę potu.

– Co się dzieje? – pyta mnie. – Źle się czujesz? Masz gorączkę? – Przykłada mi dłoń do wilgotnego czoła.

– Przestań! – Strząsam jego rękę. – Nic mi nie jest. Tylko Maurycy żyje!

– Olga, o czym ty mówisz? – Twarz Arka przybiera zatroskany wyraz.

Opowiadam mu, co się wydarzyło. Staram się mówić jasno i składnie, ale słyszę, że marnie mi to idzie. Nic nie mogę na to poradzić, jestem całkowicie roztrzęsiona.

– Usiądź. – Brat podprowadza mnie pod swoje łóżko. Przysiadam na skraju, telepię się, jakby faktycznie trawiła mnie wysoka gorączka. – Spokojnie. Przyniosę ci szklankę wody i… coś na uspokojenie.

– Nie chcę prochów.

– Pigułka hydroksyzyny na pewno ci pomoże.

– Nie rób ze mnie wariatki! – krzyczę.

– Na litość boską, nie robię, ale widzę twój stan. Zaraz wracam.

Arek wychodzi, a ja łapię się obiema rękami za głowę. Wciąż w niej huczy, słowo daję, zaraz mi ją rozsadzi. Nie wiem, jak to opanować.

– Proszę.

Unoszę głowę. Brat jest już z powrotem, w jednej dłoni trzyma szklankę z wodą, w drugiej pigułkę.

– Łyknij.

Zaciskam usta.

– Nie zachowuj się jak dziecko. Łykaj – powtarza tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Biorę od Arka szklankę i upijam spory łyk. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tego, że pali mnie przemożne pragnienie. Przykładam szklankę do ust i piję łapczywie.

– Tabletka – przypomina mi Arek.

Daję za wygraną, wkładam pigułkę do ust i popijam resztą wody.

– Zaraz poczujesz się lepiej.

– Arek, o-on żyje – dukam.

– Nie wyciągajmy pochopnie takich wniosków – stwierdza.

– Przecież nie da się innych!

Arek drapie się w tył głowy.

– Mają próbkę pisma Maurycego, zabezpieczyli przecież tyle rzeczy należących do niego, laptopa, tablet, zeszyty, których używał, materiały, z których wykonywał modele – wyliczam. – Ubrania. Nawet przybory toaletowe! Mają jego komórkę!

Brat przykłada dłoń do brody, rozmasowuje ją w milczeniu. Odsuwa na moment rękę i otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale mu nie wychodzi. Milczy dalej. Wraca do pocierania podbródka.

Przez chwilę mam ochotę zerwać się z miejsca, chwycić, co znajdę pod ręką, i cisnąć tym o ścianę. Albo o podłogę. Kopnąć coś,

cokolwiek. Przewrócić krzesło. Coś rozwalić. Dać upust kłębiącemu się we mnie napięciu. Ale o dziwo samo powoli opada. Szybko dociera do mnie, że to hydroksyzyna zaczyna działać.

Zerkam na brata z wdzięcznością. Gdyby nie jego przytomna reakcja, cholera wie, do czego bym się dziś posunęła.

Opuszczam ramiona, garbię się, czuję się jak balon, z którego uchodzi powietrze. Do oczu napływają mi łzy. Nie mam siły dziś z nimi walczyć. Pociągam nosem, przygnieciona myślą, że jednak Maurycy to zrobił. Zostawił mnie bez słowa, po prostu zniknął, jakby lata, które razem spędziliśmy, nie miały żadnego znaczenia.

Wciągam głośno powietrze do płuc, łzy ciekną mi po policzkach. W tej chwili mam już absolutną pewność, że najbardziej boli mnie wcale nie to, że Maurycy mógł skrzywdzić tyle osób czy że nawet krzywdzi dalej, ale właśnie to, że potraktował mnie w taki sposób.

19

Aż do teraz nie zdawałam sobie sprawy z tego, iż podświadomie oswoiłam się z myślą, że Maurycy nie żyje. Mam poczucie, że mój świat po raz kolejny został wywrócony do góry nogami.

Biorę długą kąpiel, leżę w wannie i gapię się w sufit. Woda robi się chłodna. Nie wiem, jak mam sobie to wszystko na nowo poukładać.

Wychodzę wreszcie z wanny, w domu jest bardzo cicho. Owijam się ręcznikiem, wyziębiłam się, wycieram się więc pospiesznie i wskakuję w bawełnianą piżamę. Włosy lubię czesać w sypialni przy toaletce. Robię tak od zawsze. Gdy zdarzyło się, że Maurycy pojawiał się w pokoju tuż po mojej kąpieli, zawsze stawał za mną i przejmował ode mnie szczotkę. Delikatnie rozczesywał moje włosy, powtarzał, że są piękne.

Wychodzę z łazienki, drzwi do pokoju Arka są zamknięte. Brat najwyraźniej poszedł już spać. Chciałabym, żeby mnie również udało się zasnąć. Kładę się do łóżka z poczuciem pustki większej niż kiedykolwiek wcześniej. Sen długo nie przychodzi, w końcu jednak opadają mi powieki. Znów męczą mnie koszmary, jeden z nich mnie wybudza.

Leżę, analizując to, co mi się śniło. Nie widziałam twarzy mężczyzny, ale wiedziałam, że mam do czynienia z Maurycym. Pytałam go, dlaczego to zrobił i dlaczego zniknął bez słowa. Błagałam, żeby zaprzeczył, że to on jest sprawcą zaginięć, żeby się wszystkiego wyparł. A on milczał. Nawet się nie ruszał. Sprawiał wrażenie… sparaliżowanego.

Przekręcam się na drugi bok w złudnej nadziei, że pomoże mi to znów pogrążyć się we śnie, i wtedy słyszę jakiś hałas. Nasłuchuję

uważnie. Przez dłuższy moment nic się nie dzieje. Kiedy uznaję, że tylko mi się wydawało, znów to słyszę. Podnoszę się do pozycji siedzącej. Dźwięki, które do mnie dolatują, przypominają mi kroki. Unoszę głowę, zdają się dochodzić z góry.

Ktoś chodzi po poddaszu. Po gabinecie Maurycego.

Wpatruję się w sufit, zastanawiając się, jakie jest ryzyko, że ktoś włamał się do domu. Panująca cisza podkopuje moją wiarę w to, co chwilę temu słyszałam. Wyślizguję się z łóżka z myślą, że powinnam obudzić Arka. Nie przestając spoglądać w sufit, wychodzę z pokoju. Ostrożnie, na paluszkach. Przez cały ten czas hałasy się nie powtarzają. Przystaję w korytarzu i nasłuchuję z jeszcze większą uwagą. Nadal nic się nie dzieje, w domu panuje nocny spokój.

Przenoszę spojrzenie na drzwi do pokoju Arka; nie będzie zadowolony, jeśli w samym środku nocy niepotrzebnie postawię go na nogi. W jego rękach spoczywa ludzkie życie, powinien pojawiać się w pracy wypoczęty.

Podchodzę pod schody prowadzące na poddasze, nadal nie dolatują mnie żadne dźwięki. Musiałam się przesłyszeć albo nieświadomie przysnęłam i coś mi się tylko przyśniło. W końcu odkąd położyłam się do łóżka, męczyły mnie koszmary. Zresztą gdyby ktoś wtargnął do domu, to czy nie myszkowałby po pierwszej kondygnacji?

Mimo wszystko postanawiam się upewnić, że na poddaszu absolutnie nic się nie dzieje. Wiem, że jeśli tego nie zrobię, będzie mi jeszcze trudniej zasnąć. Ruszam na górę.

Pokonuję kolejne stopnie, uświadamiam sobie, że z lękiem. Wydaje się kompletnie nieuzasadniony, bo dookoła jest cichuteńko, przecież gdyby ktoś faktycznie był na górze, dolatywałyby mnie jakieś dźwięki. Jednak z każdym następnym stopniem mój niepokój narasta.

Docieram na poddasze spocona, a tam okazuje się, że drzwi do gabinetu Maurycego są uchylone. Moje serce błyskawicznie zaczyna walić jak młotem, bo na dokładkę w środku pali się światło. Po padającej z pomieszczenia łunie orientuję się, że świeci się lampka

przy biurku. W takich właśnie warunkach lubił pracować Maurycy. Oświetlał sobie dobrze blat, a reszta pokoju tonęła w półmroku. Krew zaczyna mocniej pulsować mi w skroniach, skóra na dłoniach pokrywa się nową warstwą wilgoci, oddycham nierówno. Nie tego się spodziewałam.

Szpara między drzwiami a futryną jest na tyle niewielka, że widzę zaledwie maleńki skrawek pomieszczenia. Bok fotela i kawałek glinianego szkieletu, jeden oczodół. Nasłuchuję uważnie, ale nadal to samo. Cisza. Żadnych kroków, szmerów czy choćby drobnych szelestów. Niczego, co świadczyłoby o tym, że w gabinecie ktoś jest.

Musiałam nie domknąć drzwi, kiedy ostatnio stąd wychodziłam, ogarnia mnie uspokajająca myśl, i wtedy widzę cień padający na fotel. Serce natychmiast zaczyna mi bić jeszcze szybciej, nie mam już cienia wątpliwości. Ktoś dostał się do gabinetu. Moja wyobraźnia szaleje, zrywa wszystkie cugle.

Pewnie powinnam pognać po pomoc, po Arka, ale wizja, która rozświetla się w mojej głowie, nakazuje mi natychmiast popchnąć drzwi ograniczające mi widok. Zaglądam do środka, właściwie przekonana, że ujrzę Maurycego. Strach miesza się z nadzieją, a rozżalenie z niepewnością.

Mój wzrok od razu pada na biurko, nikogo jednak przy nim nie ma. Wpadam w popłoch, bo przecież wyraźnie widziałam cień na fotelu. Rozglądam się po gabinecie z okrutnie przyspieszonym tętnem.

Jest.

Przy półkach z książkami.

Stoi tyłem do mnie, ręce ma uniesione, nie widzę, co w nich trzyma. Głowę nieco pochyla, włosy opadają mu na kark, powinien odwiedzić fryzjera. Czemuś się wnikliwie przygląda.

– A-Arek? – odzywam się. Brzmię wątło, głos mam tak słaby, że ledwo mnie słychać.

Brat obraca się szybko, teraz widzę, że w dłoniach trzyma książkę, najpewniej jeden z podręczników należących do Maurycego. Zamyka ją pospiesznie.

– Co robisz? – pytam.

– Potrzebowałem podręcznika – wyjaśnia. – Wydawało mi się, że tutaj go znajdę.

Nieznacznie unosi książkę, próbuję odczytać tytuł. Anestezjologia: ciekawe przypadki kliniczne.

– Miałem zapytać, czy mogę wejść i poszukać – tłumaczy się dalej – ale wydawało mi się, że już śpisz.

Nie wiem, która jest dokładnie godzina, ale obstawiam, że dobrze po północy.

– Jest środek nocy… – mówię.

– Wybacz, jeśli się cię obudziłem. – Arek spogląda na mnie dziwnie, jakby przepraszająco, ale jednocześnie z wyrzutem. – Chyba nie masz nic przeciwko, że tu przyszedłem? – Przechyla głowę.

– Nie. W porządku. – Obejmuję się ramionami, nagle zrobiło mi się bardzo zimno. – Co to za książka? – rzucam.

– Aaa… – Arek spogląda na przedmiot, który trzyma w dłoniach, z osobliwym zakłopotaniem. – Podręcznik. Do anestezjologii.

Nie domyśliłabym się, chcę prychnąć, ale coś mnie powstrzymuje.

– Ciekawe przypadki kliniczne – odczytuję tytuł. – Czyli jakie?

– Nietypowe – odpowiada krótko.

– Dlaczego cię to interesuje?

– Anestezjologia interesowała mnie od zawsze – ripostuje.

Wymieniamy spojrzenia. Trudno mi określić, co dostrzegam w oczach brata, ale z pewnością jest w nich coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam. To coś pomiędzy pretensją a obawą, może nawet niezadowoleniem.

– Pożyczasz ją? – pytam.

– Jeśli mogę…

– Możesz. Oczywiście, że możesz – oznajmiam, uświadamiając sobie, że nie chcę, żeby Arek dłużej przebywał w gabinecie Maurycego. Nagle wydaje mi się, że jego obecność tutaj jest czymś w rodzaju profanacji.

– Super. – Arek znów nieznacznie unosi podręcznik. – Dzięki. A jak się czujesz? Lepiej już?

– Lepiej – kłamię. W tej chwili mam nieodparte wrażenie, że znalazłam się na równi pochyłej. Że teraz będę już tylko spadać.

– Możesz spokojnie łyknąć jeszcze jedną hydroksyzynę, jeśli potrzebujesz – oznajmia. – Albo temazepam, jeśli nie możesz zasnąć.

– Nie potrzebuję. Przynajmniej na dziś.

Arek kiwa głową, a potem rusza w moją stronę. Z pozoru jego chód jest normalny, ale dostrzegam, że brakuje mu typowej dla niego swobody. Arek jest zwyczajnie spięty.

– Arek… – odzywam się, kiedy brat jest już obok mnie. – Wciąż jesteś ze mną, prawda?

Niespiesznie unosi na mnie spojrzenie, po czym zapewnia:

– Zawsze będę.

– Ale? – Głos mi się łamie.

– Myślę o tej wiadomości.

– Może została podrobiona – rzucam, bo przeważająca część mnie nadal nie wierzy, że Maurycy potrafiłby kogoś skrzywdzić. – Ta wiadomość, ktoś mógł ją podrobić.

– Grafolog chyba by to wyłapał – zauważa.

– Albo i nie. W końcu nie poinformowano opinii publicznej o wyniku analizy. Jest krótka, zbyt krótka, by coś na sto procent powiedzieć. Żeby mieć pewność.

– Zostajesz tu? – Arek zmienia temat.

Zaciskam usta, brat świdruje mnie pytającym spojrzeniem.

– Tak. Na chwilę. – Obejmuję się ciaśniej ramionami. Kiedy Arek mnie mija, moje ciało przeszywa jeszcze dotkliwszy chłód.

– A ty? Kładziesz się już? – mówię, żeby powiedzieć cokolwiek.

– Przed chwilą sama zauważyłaś, że jest środek nocy.

Nic nie mówię.

– Zresztą jutro wcześniej wstaję – dodaje Arek.

– Dlaczego? – Nim zamykam usta, przypominam sobie, jaki jutro jest dzień.

Kiwam głową.

– Tak że dobranoc – żegna się Arek, po czym kieruje się prosto na schody i idzie na dół. Odprowadzam go wzrokiem.

Gdy znika mi z oczu, wracam spojrzeniem do wnętrza gabinetu i rozglądam się po nim uważnie. Łapię się na tym, że sprawdzam, czy wszystko jest na swoim miejscu. Buka się na mnie gapi, gliniany szkielet także. Modele wydają się nieruszone, książki na regałach leżą równo poukładane, szuflady przy biurku są zasunięte.

Podchodzę do blatu i gaszę lampkę. Niedokończony model ludzkiej kończymy ginie w mroku, tak jak i całe pomieszczenie. Dziś gabinetu nie rozświetla blask księżyca, noc jest pochmurna. Przynajmniej nie widzę Buki, a ona mnie.

Przypominam sobie wymianę zdań sprzed chwili. Adopcyjni rodzice Arka zginęli we własnym domu, zabił ich wybuch gazu. Kamienica, w której mieszkali, właściwie rozpadła się w drobny mak. Arka nie było wtedy w środku, to był ten jeden raz, kiedy nie wrócił na noc do domu, bo został u kolegi z klasy. Odwiedza grób swoich adopcyjnych rodziców kilka razy w roku, w Święto Zmarłych, Boże Narodzenie, Dzień Matki i Dzień Ojca oraz właśnie w każdą rocznicę ich śmierci. Jutro mija kolejny rok, od kiedy Arek został sierotą.

Brat rzadko opowiadał o tamtych ludziach, po zniknięciu Maurycego w ogóle przestał o nich wspominać, ale zawsze gdy już o nich mówił, powtarzał, że byli aniołami. Że podarowali mu wszystko to, czego nie otrzymał od naszych biologicznych rodziców. Pokazali mu, jak powinna wyglądać rodzina. A przede wszystkim otoczyli

wyrozumiałością, której jako siedmioletni chłopiec odebrany przemocowej rodzinie potrzebował w niezmierzonych ilościach.

Zanim wrócę do swojego pokoju, schodzę jeszcze do kuchni po szklankę wody. Nie jadłam od południa, ale wcale nie czuję głodu, pali mnie tylko pragnienie. Kiedy wracam do swojej sypialni, widzę, że u Arka w pokoju wciąż się świeci. Spod drzwi wydobywa się jasna łuna. Nie śpi. Wybuch gazu w domu jego adopcyjnych rodziców nastąpił o piątej trzydzieści. Jeśli Arek jutro, tak jak zwykle, zamierza pojawić się na cmentarzu wczesnym rankiem, faktycznie powinien położyć się już do łóżka. Nie zostało mu zbyt wiele godzin snu.

Znikam w swoim pokoju dziwnie rozedrgana. Mam wrażenie, że Arek coś przede mną ukrywa.

—

–

—

Na blacie, przy którym pracuję, nie ma miejsca na nieład. Podręczniki leżą ułożone w równy stos po lewej stronie, po prawej piętrzą się odręczne notatki. Są tu też czasopisma naukowe i wydruki pojedynczych artykułów. Zawsze gdy siadam przy biurku, czuję się jak student medycyny. Rozkoszuję się tym uczuciem, czasem bez opamiętania.

Ale nie dziś. Dziś mam trochę roboty.

Na świecie odnotowano kilkadziesiąt przypadków, które pokazały, że zgon nie zawsze jest nieodwracalnym zdarzeniem. Zdarza się czasem samoczynny powrót krążenia i funkcji życiowych po zaprzestaniu czynności resuscytacyjnych. Ta niezwykle rzadka sytuacja, której naukowcy nie potrafią do końca wyjaśnić, została nazwana syndromem Łazarza. Według prowadzonych na przestrzeni lat statystyk ponad osiemdziesiąt procent przypadków powrotu do żywych nastąpiło w ciągu dziesięciu minut od zakończenia reanimacji. Najciekawsze jest to, że blisko pięćdziesiąt procent tych pacjentów nie miało po wszystkim żadnych poważnych problemów neurologicznych. Przecież to fenomen, którego nie można zmarnować!

Coś pobudziło te ciała do życia. Zaszły reakcje, które przywróciły pracę serca. Nie, to nie cud, choć od biblijnego cudu wzięła się nazwa, tylko fizjologia. Fizjologii czasem trzeba pomóc. Znajdę ten klucz.

Nie było mi dane być świadkiem samego syndromu Łazarza, w końcu to bardzo rzadko występujące zjawisko, za to znacznie łatwej jest zaobserwować u pacjentów pośmiertną reakcję ciała zwaną odruchem Łazarza. Ujrzenie na własne oczy, jak ręce osoby zmarłej zaczynają drżeć, by powoli się unieść i skrzyżować na piersi, niczym u egipskiej mumii, jest doprawdy wstrząsającym doświadczeniem. Dopisało mi to szczęście.

Ciekawe, czy Cornish miał podobnie. Czy również zainspirował się tego typu obserwacjami. A może naukowiec widział jeszcze więcej? Zdarza się, że zmarły obraca głowę. Rzadko, ale odnotowano nawet przypadki, kiedy doszło

do przyjęcia przez ciało pozycji siedzącej. Zdarzenia te nie mają jednak nic wspólnego z przywróceniem funkcji życiowych, do którego dochodzi w przypadku syndromu Łazarza. Odruch Łazarza to właściwie bezwarunkowa reakcja, jedynie pośmiertna fizjologia.

Spoglądam na zegarek, zrobiło się późno. Plan był taki, żeby położyć się dziś do łóżka o przyzwoitej porze. Znów się nie udało. Ale przynajmniej nowy skład buforu mam opracowany w szczegółach.

Kładę się wreszcie spać, lecz sen nie przychodzi od razu. Głowę zaprząta mi kolejny pacjent. Pozyskiwanie ludzkich obiektów badawczych jest tak koszmarnie trudne. Cornish nie był głupi, że zaczął od zwierząt…

Mam na koncie już kilka porażek, to oczywiste, że każda kolejna działa na moją niekorzyść. Im więcej prób, tym więcej danych, ale także więcej śladów. Może warto zrewidować plan? Próby na zwierzętach są przecież standardowym etapem wszystkich badań klinicznych. Nie mam złudzeń, że wskrzeszenie martwego zwierzęcia będzie równie satysfakcjonujące jak człowieka, lecz… Przecież nie od razu Rzym zbudowano. A mnie rozsadza przeczucie, że nowy bufor jest tym właściwym, tym, który na zawsze odmieni to, jak będą postrzegać mnie inni.

20

Nie śpię od kilku godzin.

Arek faktycznie wstał bardzo wcześnie, słyszałam, jak kręci się po kuchni, a później trzasnęły drzwi i zawarczał silnik jego samochodu.

Wstaję i idę na dół. Przez ostatnie dni, jeszcze zanim zaparzyłam kawę, zabierałam się do przeglądania nagrań z zamontowanej przeze mnie kamerki. Dziś się z tym ociągam, chyba się boję, że na filmie ujrzę Maurycego.

Tymczasem jak zwykle przez większość nocy nic się nie dzieje, słychać przejeżdżające drogą samochody, po północy następuje bezruch, a nad ranem posesję znów odwiedza lis. Nie sprawdziłam ogrodzenia, nie mam teraz głowy do tak przyziemnych spraw. Moment wyjścia Arka z domu jest dobrze zarejestrowany.

Odkładam komórkę, zastanawiając się, jak by to było, gdyby Maurycy rzeczywiście pojawił się na nagraniu. Co bym poczuła i przede wszystkim co bym z tym faktem zrobiła.

Włączam telewizor, kusi mnie, by jeszcze raz obejrzeć wczorajszy odcinek *Uwagi*, ostatecznie nie dobrnęłam do końca materiału. Zamiast tego postanawiam przejrzeć serwisy informacyjne i sprawdzić reakcję mediów na przeciek. Bo nie da się inaczej określić ujawnienia wyniku analizy grafologicznej w telewizji.

Rzeczywiście w mediach wrze, rzecznik Policji musi się gęsto tłumaczyć, dziennikarze drążą temat, są wręcz napastliwi. Skaczę po kanałach, wyłapując pojedyncze zdania, w końcu decyduję na jedną ze stacji, by wysłuchać konferencji w całości.

– Czy ludzie nie powinni wiedzieć? – pyta jedna z reporterek. – Czy nie powinno być wydane ostrzeżenie, skoro faktycznie mamy do

czynienia z powrotem niebezpiecznego przestępcy?

– Takie ostrzeżenia zostały już wcześniej wydane – przypomina rzecznik.

– Dlaczego zwlekano z ujawnieniem wyniku analizy grafologicznej? – wykrzykuje inny dziennikarz.

– Zapewniam, że z niczym nie zwlekano…

– Chronicie potwora czy w co pogrywacie?! – grzmi ktoś całkiem z boku.

– Proszę mi wierzyć, że robimy wszystko, żeby ująć sprawcę i zapewnić obywatelom bezpieczeństwo. – Rzecznik wyraźnie się denerwuje. Trudno się temu dziwić, dziennikarski atak jest wręcz zmasowany. Jego opanowanie i tak zasługuje na pochwałę, dobrze sobie radzi. – Śledztwo jest w toku, nieujawnianie szczegółów toczącego się dochodzenia jest normalną procedurą – zapewnia. – Pragnę przypomnieć, że wiadomość, którą otrzymała pani Paulina Malczyk, jest wyjątkowo krótka, to zaledwie jedno słowo. Analiza grafologiczna, jak każda analiza, ma swoją czułość. Owszem, policja jest w posiadaniu całkiem sporej ilości materiału porównawczego, jednak całość ekspertyzy nie pozwala w stu procentach stwierdzić, że autorem wiadomości jest podejrzewany Maurycy Soboń.

– Dlaczego w takim razie Paulina Malczyk twierdzi, że zostało potwierdzone, kto napisał wiadomość, którą otrzymała?

– Tak jak powiedziałem, całość ekspertyzy nie pozwala w stu procentach stwierdzić, że autorem wiadomości jest Maurycy Soboń, jednak są ku temu mocne przesłanki.

– Kiedy więc policja zamierzała przekazać tak istotne szczegóły obywatelom?

Nie słyszę odpowiedzi rzecznika, bo rozdzwania się moja komórka.

– Cześć, Daga – witam się z przyjaciółką słabym głosem, niemal pewna, że już wie. Obejrzała wczorajszą *Uwagę* albo któryś z porannych serwisów informacyjnych.

– Olga… – Dziewczyna tymczasem pociąga nosem. Czekam, aż powie coś więcej, ale ona wybucha płaczem.

– Co się stało, Daga?! – Ogarnia mnie niepokój. Przyjaciółka należy do ludzi o mocnych nerwach, trzeba wiele, żeby wytrącić ją z równowagi. – Co się dzieje? Mów. Coś z mamą? – Przypominam sobie, że ostatnio pani Jola nie czuła się najlepiej.

– Nie – chlipie. – Z mamą okej.

– To co? Co się stało?

– Estera nie żyje! – wyje głośno.

– Co?! – Zaciskam wolną dłoń na krawędzi kanapy, kiedy to słyszę. – Co ty mówisz?

– Byłyśmy na spacerze – szlocha. – Jak co rano. Spuściłam ją ze smyczy tylko na chwilę. Nie wiem, co jej strzeliło do łba, to była mądra psina, do diabła! Wybiegła na ulicę. Wpadła prosto pod koła. – Daga znów zanosi się płaczem.

– O nie. – Przykładam dłoń do ust, mając przed oczami wesołą suczkę. Estera była przeurocza i taka wierna. – Nic nie dało się zrobić?

– Nie. – Daga wydmuchuje nos. – Zawiozłam ją od razu do weterynarza. Ale już nie żyła.

– Tak mi przykro, Daguś. – Chciałabym teraz wziąć przyjaciółkę w ramiona, wiem, ile znaczyła dla niej Estera. – Daj mi chwilę, zbieram się i jadę do ciebie.

– Nie – rzuca. – Jestem już w pracy.

– Nie wzięłaś wolnego?

– Nie.

– Dlaczego? Przecież…

– Oszalałabym w domu bez niej. Muszę czymś zająć głowę.

Wzdycham bezgłośnie; każdy radzi sobie inaczej. Niektórzy, gdy tracą grunt pod stopami, uciekają w pracę, sama jednak nie należę do tej grupy ludzi. Poza tym nie mam wątpliwości, że niejeden kąt w mieszkaniu będzie tylko boleśnie przypominał Dadze o stracie.

– To może wieczorem, po pracy się zobaczymy? – proponuję.

– Może. – Przyjaciółka pociąga nosem. Po tonie jej głosu wnioskuję, że wzięła się trochę w garść. – Muszę wracać, pacjenci czekają. A rozmazałam się okrutnie, zanim wrócę na oddział, muszę się doprowadzić do porządku.

– Dzwoń, gdy tylko poczujesz, że musisz pogadać.

– To cały dzień musiałabym wisieć na telefonie. – Oczami wyobraźni widzę, jak Daga uśmiecha się przez łzy.

– Jestem na to gotowa!

– Wiem. – Jeszcze jedno pociągnięcie nosem, ale głos przyjaciółki jest już całkiem spokojny. – Dobrze, że cię mam, że mogę do ciebie zadzwonić o każdej porze dnia i nocy.

Zapewniam ją, że tak właśnie jest, i od razu przychodzi mi do głowy, czy działa to także w drugą stronę. Już mam na końcu języka, żeby powiedzieć Dadze o najnowszych ustaleniach policji, zanim dowie się z telewizji, ale boję się. Poza tym przyjaciółka właśnie straciła swojego ukochanego pupila, nie wydaje się, żeby był to najlepszy moment na zawracanie jej głowy własnymi zmartwieniami.

Odsuwam telefon od ucha z poczuciem głębokiego smutku. Doskonale wiem, jak to jest stracić kogoś bliskiego. Zerkam na telewizor, rzecznik policji nadal jest maglowany przez dziennikarzy.

– Czy samochód zaginionej Weroniki P. udało się jednak odnaleźć?

– Nie. Niestety nie.

– No dobrze, to zapytam inaczej: czy to, co do tej pory udało się ustalić, pozwala stwierdzić, że Weronika P. dotarła do szpitala Epione, gdzie miała zaplanowaną wizytę w Poradni Otolaryngologicznej? – Dziennikarz nie odpuszcza.

– Policja prowadzi szeroko zakrojone działania mające na celu potwierdzenie lub odrzucenie tego przypuszczenia.

– Jak wyglądają te działania?

– Policja dysponuje szeregiem środków, które z pewnością pozwolą ustalić fakty.

– Niestety nie możemy mieć pewności, że te fakty zostaną przekazane do wiadomości publicznej – ironizuje reporter.

Dziennikarze urządzają rzecznikowi istną jazdę bez trzymanki.

– Zapewniam państwa, że dowiecie się państwo o wszystkich szczegółach w odpowiednim czasie. – Rzecznik poczerwieniał na twarzy, ale poza tymi rumieńcami prezentuje się nienagannie, naprawdę należy mu się medal za opanowanie.

– Jakim? – wtrąca ktoś.

– Odpowiednim.

– Co w takim razie udało się ustalić na podstawie szpitalnego monitoringu? – pada kolejne pytanie z ust jeszcze innej dziennikarki.

– Zarówno te, i jak i inne ustalenia w tej sprawie dla dobra śledztwa pozostają na razie objęte tajemnicą.

– Ale dane z ostatniego logowania telefonu zaginionej wskazują, że dotarła do szpitala. – Reporterka przywołuje to, co podano do wiadomości publicznej już pierwszego dnia.

– Że pojawiła się w okolicach szpitala Epione – poprawia kobietę rzecznik, a ja zastanawiam się, dlaczego tak to właśnie wygląda. Policja naprawdę niewiele zdradza, można wręcz odnieść wrażenie, że ukrywa swoje działania. Pamiętam, że kiedy w zeszłym roku toczyła się obława na Grzegorza Borysa, mordercę sześcioletniego chłopca, komunikacja była dość otwarta. Oczywiście nie można tych dwóch spraw porównywać, są zupełnie inne, ale doprawdy zastanawia mnie obecna strategia krakowskiej policji.

Z zamyślenia wyrywa mnie brzęcząca komórka. O wilku mowa, przemyka mi przez głowę, gdy okazuje się, że dzwoni Jankowski.

21

Czyżbym ściągnęła policjanta myślami? Wprawdzie nie wierzę w telepatię, ale czasem myślę, że może jednak coś w tym jest. Może właśnie to niewytłumaczalne zjawisko leży u podstaw mojego przeświadczenia o niewinności Maurycego.

Bo nadal w nią wierzę.

Nie wiem, co jeszcze musi się wydarzyć, żebym przestała.

– Dzień dobry, pani Soboń. – Głos Jankowskiego jest poważny.

Zalewa mnie fala nowego niepokoju.

– Dzwoni pan z czymś konkretnym? – rzucam. – Bo właśnie obejrzałam konferencję prasową rzecznika Policji. Same wymijające frazesy. Tajemnica dla dobra śledztwa, szeroko zakrojone działania i tak dalej. – Nie potrafię powstrzymać się od sarkazmu.

Niesmak po tym, jak zostałam potraktowana przez Jankowskiego, pozostał. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego policjant nie uznał za stosowne poinformować mnie o wyniku analizy grafologicznej. Nawet jeśli ustalenia te miały być obarczone pewnym błędem, chciałabym o nich wiedzieć. Gdyby Malczykowa nie powiedziała o nich w Uwadze, cholera wie, kiedy tak istotne z mojego punktu widzenia informacje by do mnie dotarły.

– Tak to w praktyce wygląda – przekonuje śledczy.

– Kogo jak kogo, ale mnie tak łatwo pan nie oszuka. Krążycie wokół Epione, więc coś musicie mieć.

Jankowski się nie odzywa.

– Może jednak macie ten samochód? – strzelam, nakierowana jednym z pytań dziennikarza na konferencji, której oglądanie przerwał mi telefon od policjanta.

– Nie, pani Soboń, samochodu zaginionej nie udało się odnaleźć – zapewnia.

– Ale? – dociekam, bo w tonie Jankowskiego pobrzmiewa jakieś niedopowiedzenie. – Tylko proszę sobie darować te jałowe frazesy o dobru śledztwa. Doskonale wiemy, że nie jestem jakąś tam postronną osobą, ale żoną… – zacinam się. O mały włos sama nazwałabym się rozpowszechnianym przez media przydomkiem.

Jankowski dalej milczy. Wyczuwam w tej ciszy wahanie, zupełnie jakby kalkulował, co powinien mi powiedzieć, a czego nie. Czekam, może znów przekaże mi jakąś istotną informację, licząc, że w zamian dowie się czegoś, co pomoże mu się zbliżyć do rozwiązania zagadki.

– Dane z ostatniego logowania komórki zaginionej potwierdzają, że pojawiła się ona w okolicy szpitala. Wygląda więc na to, że zamierzała stawić się na umówioną wizytę w poradni.

– Naprawdę nie mówi pan nic odkrywczego – prycham zawiedziona. – Ale skoro krążymy wokół Epione, to jak rozumiem, udało się panu potwierdzić, że ta kobieta pojawiła się w szpitalu i już z niego nie wyszła, tak? – rzucam kolejną możliwość. – Macie to na nagraniu?

– Sęk w tym, że nie.

– Jak to? – dziwię się.

– Ustalanie tego, czy Weronika P. weszła do któregokolwiek budynku w obrębie placówki Epione, wciąż jest w toku – oznajmia Jankowski, jakby kazano mu wejść w rolę rzecznika Policji.

– Tak długo sprawdzacie ten monitoring czy co, do diabła?

– Proszę mi wierzyć, że w tej sprawie jest wiele zaskakujących kwestii – rzuca mi na to.

– Jakich?

Śledczy wzdycha. Rozumiem, że nie zamierza zdradzić nic więcej. Przychodzi mi przy tym do głowy, że może szpital nie udostępnił dobrowolnie nagrań i trzeba było się postarać o nakaz prokuratorski,

a to wszystko opóźniło. Albo… nagrania z tego dnia przepadły, nie wiem, zostały wykasowane. Przypadkowo, zawiódł sprzęt albo…

Kolejna myśl jest znacznie bardziej niepokojąca. A co, jeśli nie było żadnego przypadku? Jeśli umoczony jest cały szpital? Po głowie zaczynają mi krążyć procedery związane z branżą medyczną, które ujrzały światło dzienne. Milionowe łapówki na najwyższych szczeblach zarządzania placówkami, ale też te jednostkowe, jak choćby zmuszanie pacjentów do zakupu z własnych środków podstawowego sprzętu, wenflonów czy opatrunków. Daleko w tym wszystkim do intencjonalnego pozbawiania życia konkretnych osób, ale cholera, placówki medyczne nie są kryształowe, nieprawidłowości się zdarzają częściej, niż nam się wydaje.

Tyle że Jankowski słowem nie wspomina, że powątpiewa w czyste intencje szpitala. Moje obawy są na wyrost albo policjant znowu nie mówi mi wszystkiego. Przypominam sobie jednak, że gdy w mediach poruszana jest kwestia monitoringu szpitala, z jakiegoś powodu policja zawsze zwinnie ucina temat. Zastanawia mnie to.

– Dobrze, pani Soboń, ale zadzwoniłem do pani w konkretnej sprawie… – Z zamyślenia wyrywa mnie głos komisarza. – Mamy wyniki analizy próbki, którą pobraliśmy z pani drzwi – oznajmia.

Natychmiast porzucam rozważania o szpitalnym monitoringu, serce zaczyna walić mi jak młotem.

– Tak szybko? – rzucam to, co pierwsze przychodzi mi do głowy. Kompletnie nie znam się na tego typu analizach, nie wiem, czy czas, który minął od pobrania próbki, jest faktycznie krótki, czy wręcz przeciwnie. – To krew? – pytam.

– Tak, pani Soboń, badania potwierdziły, że próbki, które pobraliśmy z pani drzwi, to krew.

Przejeżdżam opuszkiem kciuka po krawędziach pozostałych paznokci. Ta krew ciągle tam jest.

Czyja?

Jej?

Przed oczami faluje mi twarz Weroniki P. ze zdjęcia, które ukazało się w mediach, kiedy kobieta zniknęła. Moja wyobraźnia nieco je zniekształca, zaginiona jest blada, ma zapadnięte policzki i podpuchnięte powieki. Wygląda, jakby… się wykrwawiła.

Pocieram mocniej swoje palce, mam ochotę jeszcze raz wyszorować dłonie.

– To pewne? – dopytuję z jakąś nieuzasadnioną nadzieją, że policjant się pomylił albo ja przesłyszałam.

– Tak – potwierdza Jankowski. – Interesujące jest jednak to, że to krew… zwierzęca.

– Słucham? – Otwieram szeroko oczy ze zdziwienia.

– Próbka, którą pobraliśmy z pani drzwi, owszem, okazała się krwią – tłumaczy cierpliwie komisarz – ale to krew zwierzęca.

– J-jak to? – dukam, nadal kompletnie zbita z tropu.

Policjant cmoka głośno, a potem oświadcza:

– Z pewnej perspektywy cieszy mnie ten fakt. Panią chyba też powinien.

Nie komentuję zaczepki Jankowskiego, za bardzo kręci mi się w głowie.

– Z innej niekoniecznie – kontynuuje mężczyzna – bo niejako wracamy do punktu wyjścia. Pozyskanie zwierzęcej krwi nie jest już takie trudne…

W głowie kręci mi się jeszcze bardziej.

– Jak dziś wyglądają pani drzwi? – Policjant bezpardonowo zmienia kierunek rozmowy.

– W p-porządku – wyduszam z siebie.

– Żadnego nowego napisu? – upewnia się.

– N-nie. Od kilku dni jest spokój.

– Mhm – mruczy. – A co zrobiła pani z tamtym napisem?

– Jak to co? Zmyłam go!

– Nie miała pani oporów? W końcu istniało duże prawdopodobieństwo, że to jednak… ludzka krew.

Wyczuwam w tych słowach podstęp. Przecież gdy technik skończył pracę, Jankowski sam mi powiedział, że mogę usunąć napis, i słowem nie zająknął się, że możemy mieć do czynienia z krwią człowieka.

– Miałam – przyznaję, starając się zachować spokój, niestety to trudne w sytuacji, kiedy nie znam intencji policjanta. – Ale do czego pan, u diabła, zmierza? – wściekam się. – Sądził pan, że zostawię te bazgroły? Że będę otwierać i zamykać zakrwawione drzwi? Czy co, do cholery jasnej?

Jeszcze nim skończę mówić, uświadamiam sobie coś jeszcze. Za pierwszym razem użyto farby, potem w grę weszła krew. Zwierzęca, ale jednak krew. Jakby sprawca chciał wywrzeć jeszcze większe wrażenie niż za pierwszym razem.

Dzielę się z Jankowskim tą myślą.

– To prawda – przytakuje policjant. – Obstawałbym właśnie przy tym, że oba napisy wyszły spod ręki tego samego człowieka. Natomiast przyznaję, że eskalacja, o której pani wspomniała, jest zastanawiająca. Pierwszy napis zmyto, i to dość szybko. Pewnie niełatwo jest pomalować czyjeś drzwi tak, żeby nie zostać zauważonym. A tu ktoś raz-dwa usuwa napis i niszczy cały wysiłek. Sprawca musiał się wkurzyć.

– Ale że krew?

– Nie było fajerwerków, więc sięgnął po większy kaliber – dedukuje dalej komisarz. – Nawet jeśli znów ktoś zaraz zmyłby napis, nie uszłoby niczyjej uwadze, że na drzwiach była krew.

Muszę przyznać, że rozumowanie policjanta ma sens. Gdy tylko zobaczyłam drugi napis, zrozumiałam, że mam do czynienia z czymś znacznie mniej niewinnym niż farba. Natychmiast ogarnął mnie strach.

– Podziałało – mamroczę pod nosem, wspominając tamten niepokój, by za moment w moje myśli wkradł się Ksawery. Chłopak na

co dzień używa farb, ale ma też styczność z krwią. Zwierzęcą krwią.

Nagle brakuje mi tchu, a w głowie zaczyna huczeć tak, że nie słyszę, co mówi Jankowski. Ogarnia mnie podobne uczucie jak wtedy, gdy pojechałam do Giebułtowa. Rozsadza mnie przekonanie, że rozgryzłam sprawę, a przynajmniej w kwestii tego, kto wysmarował mi drzwi krwią.

Żałuję teraz, że intuicja nie podsunęła mi pomysłu zainstalowania kamerki od razu, gdy dowiedziałam się o nowym zaginięciu. Mogłam przecież przewidzieć, że znów zaczną się ataki na mnie. Istniałby wtedy jakiś punkt zaczepienia, niewykluczone, że miałabym nawet czarno na białym, kto odpowiada za tamte bazgroły. No i nie przyszłoby mi do głowy konfrontować się z Kaśką.

– Zainstalowałam kamerę – wymyka mi się z ust.

– Kamerę? – Ton policjanta zdradza zainteresowanie.

– Tak. Taką zakupioną w media markcie, amatorski monitoring.

– O, to ciekawe. Sprawdza pani nagrania?

– Tak, co rano.

– No i?

Pokrótce opowiadam komisarzowi, co udało mi się zaobserwować na nagraniu z dzisiejszej nocy. Czyli nic.

– A kiedy zamontowała pani tę kamerę?

– W dzień, kiedy pojawił się drugi napis. Jak pobraliście próbki, wyszorowałam drzwi i pojechałam do sklepu po kamerkę.

– Napis na pani drzwiach pojawił się dwa dni z rzędu – podejmuje policjant – ale trzeciego dnia, po tym, jak zamontowała pani kamerkę, już nie, zgadza się?

– No tak – przytakuję.

– A kto o tej kamerze wie? – drąży komisarz. – O tym, że pani ją zamontowała?

Ściskam komórkę w dłoni tak mocno, że aż bolą mnie kości.

– Mało kto – dukam w odpowiedzi.

– Hmm – mruczy policjant, a mnie zalewa fala gorąca tak wielka, że aż robi mi się słabo.

Ksawery, myślę gorączkowo, to musiał być Ksawery. Gdybym zamontowała kamerkę wcześniej, miałabym to na nagraniu, przekonuję samą siebie. To, że tuż po zainstalowaniu sprzętu nie pojawił się kolejny napis, to zwykły przypadek.

– Przepraszam, ale muszę kończyć – rzucam i przerywam połączenie, nie czekając na reakcję policjanta.

Konfrontacja z Kaśką nie należała do przyjemnych, spotkanie z dawną przyjaciółką ciągle siedzi mi w głowie i wiem, że odwiedziny u Ksawerego mogą skończyć się podobnie, ale nie mam innego wyjścia, jak skoncentrować się właśnie na nim. Tym bardziej że doskonale pamiętam, jakie stosunki łączyły Ksawerego z Maurycym.

Odrywam się od blatu i pospiesznie zbieram do wyjścia. Wskakuję do samochodu i wyjeżdżam z podwórka. Mazurowa wychodzi właśnie z domu, spogląda w moją stronę, ale krótko. Niemal natychmiast obraca się tyłem, żeby tylko nie złapać ze mną kontaktu wzrokowego. Nie mam tutaj sprzymierzeńców.

Jadę do Krakowa. Muszę podjechać bliżej centrum, na Krowodrzę. Stamtąd będę mieć już naprawdę blisko do Starego Miasta. Dawno nie byłam na rynku. Ostatnio, jeszcze kiedy moje życie z Maurycym przypominało sielankę. Kłuje mnie w piersi na myśl, że choćbym stanęła na głowie, tamte czasy nie wrócą.

Nim dojadę do celu, dzwonię do Dagi. Potrzebuję zagłuszyć natłok myśli.

– Hej – wita się markotnym tonem.

– Jak tam? – pytam.

– Tym lekarzom to się naprawdę w dupach poprzewracało. – Wzdycha ciężko.

– Co znowu?

– Aaa, szkoda się powtarzać. Wyżej srają, niż dupę mają.

– Może powinnaś zmienić oddział? – rzucam.

– A wiesz, że ostatnio coraz częściej o tym myślę? – przyznaje. – A nawet o zmianie szpitala.

– Naprawdę? – Jestem zaskoczona. Mimo wszystko wydawało mi się, że Daga lubi miejsce, w którym pracuje.

– Nie wiem. – Wzdycha ponownie. – Może dziś jestem po prostu bardziej zmęczona niż zazwyczaj.

– To na pewno – stwierdzam.

Zaczynam się zastanawiać, czy Dadze nie pomogłoby szybkie pojawienie się pod dachem następnego pupila. Jednym nowy zwierzak pomaga przeboleć stratę, inni wolą zaczekać. Podejmuję ryzyko i sugeruję przyjaciółce nabycie nowego psa.

– Choćby ze schroniska – mówię. – Tyle psiaków czeka na nowy dom.

– Sama nie wiem. Może to dobry pomysł. Muszę to przemyśleć. – Nie słyszę w głosie Dagi entuzjazmu. Do tego przyjaciółka nagle zmienia temat: – A co u ciebie? Dzieje się dalej czy trochę się uspokoiło?

– Jak chcesz, pojadę z tobą do jakiegoś schroniska. – Zmuszam się, żeby jeszcze przez moment skoncentrować się na przyjaciółce. Potrzebuje teraz wsparcia, a ja chcę je Dadze zapewnić.

– Może w weekend – mówi.

– Serio, to naprawdę może ci pomóc.

– Może. Muszę to przemyśleć – powtarza. – No ale mów, co u ciebie.

Wzdycham bezgłośnie, moje bolączki szybko przejmują nade mną stery. Opowiadam Dadze, co od wczoraj się wydarzyło.

– Ja pierdolę. To się robi coraz bardziej powalone – stwierdza.

– Jadę do Ksawerego – oświadczam.

– Do Ksawerego? – Słyszę, że Daga jest kompletnie zaskoczona. – Serio myślisz, że to on mógł pobazgrać ci drzwi krwią?

– Ktoś to, do cholery, zrobił!

– Ja pierdolę – powtarza Daga. – W sumie to on ma trochę nierówno pod sufitem – ocenia w końcu.

– Właśnie – podchwytuję. – A kiedy rozpętało się to całe zamieszanie wokół Maurycego, Ksawery nie sprawiał wrażenia specjalnie przejętego. – Chwytam się mocniej ułożonej w głowie teorii. – Wręcz przeciwnie. Zawsze miałam wrażenie, że cieszy go nieszczęście Maurycego.

– Co racja, to racja – zgadza się ze mną przyjaciółka. – No ale myślisz, że się przyzna? Jeśli to faktycznie on.

W porę gryzę się w język. O mały włos nie wypalam, że spotkanie z Kaśką rozwiało moje podejrzenia co do dziewczyny i liczę na to, że podobnie będzie w przypadku Ksawerego.

– Zobaczymy – bąkam tylko. Słyszę w swoim głosie rezygnację. Wiem, że się miotam i działam w nie do końca przemyślany sposób. Jestem już jednak na Krowodrzy, a jeśli się wycofam, niepewność mnie zeżre.

Żegnam się z Dagą i zaczynam szukać miejsca parkingowego. Zajmuje mi to dłuższą chwilę, ale w końcu się udaje.

22

Ksawery mieszka w niewielkim mieszkaniu w starej, wymagającej renowacji kamienicy. Gdyby ją odnowić, byłaby naprawdę ładna, wręcz urokliwa. Chłopak ulokował się tu jeszcze za czasów studenckich, do Akademii Sztuk Pięknych miał stąd zaledwie dwadzieścia minut spacerem.

Ksawery nie lubił Maurycego. I to do tego stopnia, że według mnie naprawdę się ucieszył, kiedy mój mąż zniknął i zaczęto go oczerniać.

Wszystko przez ich rodziców. Państwo Soboń źle traktowali swoich synów. Nie, nie bili ich, nie zaniedbywali z materialnego punktu widzenia, nie mieli też problemu z alkoholem czy innymi używkami. Jednak żadna z tych rzeczy nie jest konieczna, żeby być toksyczną matką i toksycznym ojcem.

Maurycy zerwał kontakt ze swoimi rodzicami, kiedy byliśmy już małżeństwem. Mnie, osobie, która wychowała się w domu dziecka, z wielkim trudem przyszło zaakceptowanie takiej decyzji. Całe lata zajęło mi zrozumienie, że od toksycznych ludzi najlepiej się odciąć, nawet jeśli to są osoby nam najbliższe. Dla własnego dobra, przede wszystkim psychicznego. Maurycy powiedział mi kiedyś, że czasami pożegnanie nie oznacza, że kogoś nie kochasz, ale że kochasz także siebie.

Choć w domu Soboniów nikt nikogo nie bił, Maurycy i Ksawery cierpieli od ciosów psychicznych, które zadawali im rodzice. Mieli wysokie, trudne, jeśli nie niemożliwe do spełnienia wymagania, byli ciągle niezadowoleni z synów i bezpodstawnie ich krytykowali. Jednocześnie manipulowali nimi, by zaspokoić własne ego, narzucali swoje zdanie w każdej sferze życia, zupełnie jakby dziecko stanowiło

przedłużenie rodzica, a nie odrębną istotę. Tkwili przy tym w absurdalnym przekonaniu, że chłopcy są coś winni swoim rodzicom tylko dlatego, że ci podarowali im życie. Do tego dochodził oczywiście absolutny brak tolerancji dla najmniejszych przejawów buntu czy choćby samodzielności. To wszystko przez lata dzieciństwa i młodości wyniszczało chłopaków.

Niestety dorosłość również nie okazała się dla nich łaskawa.

– Ooo, kogo moje oczy widzą! – wita mnie Ksawery. Jest tak podobny do Maurycego, że na moment zapiera mi dech w piersi. Mają niemal identyczne rysy twarzy, ten sam kolor włosów i oczu, tak samo garbate nosy. Ksawery jest odrobinę wyższy, ale to zaledwie kilka centymetrów, które w gruncie rzeczy nie robią większej różnicy. Mogliby uchodzić za bliźniaków.

– Cześć – odzywam się. – Znajdziesz dla mnie chwilę?

Brat Maurycego teatralnie szerokim gestem zaprasza mnie do swojego mieszkania, ale nie łudzę się, że cieszy się z mojej wizyty.

Wchodzę do środka. Ściany tutaj obwieszone są płótnami, szwagier tworzy coś na kształt malowanych obrazów z elementami rzeźby. Często sięga po nietypowe połączenia, wykorzystuje kamień, plastik i szkło, a także różnego rodzaju włókna. To właśnie u niego Maurycy wypatrzył lniane sznurki, których zaczął używać do tworzenia swoich modeli.

– Kiedy jakaś wystawa? – pytam, gdy przechodzimy do maleńkiego salonu. W nim znajduje się jeszcze więcej niekonwencjonalnych dzieł Ksawerego. Są sporych rozmiarów, przytłaczają niewielką przestrzeń. Nie jestem pewna, czy to ma w ogóle jakąś nazwę, według mnie najbliżej tym tworom do instalacji artystycznych. Brat Maurycego jednak oburza się, gdy ktoś w tak trywialny sposób określa jego twórczość.

Zerkam na Ksawerego, bo zamiast odpowiedzieć na moje pytanie, przygląda mi się twardym spojrzeniem. Szybko łapię, że gorzej rozmowy rozpocząć nie mogłam, najwyraźniej sztuka uprawiana

przez szwagra wciąż pozostaje niezrozumiana w artystycznych kręgach.

– Po co tu przyszłaś? – odzywa się, nie przestając na mnie patrzeć.

– Bo… – Na moment tracę odwagę, szybko jednak unoszę podbródek wyżej i prosto z mostu pytam Ksawerego, czy przypadkiem to nie on pobazgrał moje drzwi.

Szwagier śmieje się głośno.

– Co cię tak bawi? – rzucam ostrym tonem. – Ktoś bazgrze mi po drzwiach i to nie są miłe słowa.

– Nic dziwnego, skoro doktorek znów zaczął szaleć.

Zagryzam wargi, słysząc, jak lekceważąco Ksawery wyraża się o bracie, jak właściwie z niego kpi. Wiem, że wrogość wobec Maurycego to w dużej mierze wina rodziców, którzy przy całej swojej toksyczności jeszcze traktowali synów nierówno. Chciał być artystą, a to przecież takie naiwne zajęcie. Matka i ojciec stawiali mu Maurycego, studenta medycyny, za wzór – który Ksawerego nigdy nie interesował.

– Popisałeś mi drzwi czy nie? – pytam jeszcze ostrzejszym tonem.

– Po co?

Zadzieram głowę wyżej, nie dam się zbić z tropu.

– Po co? – powtarza Ksawery. – Po co miałbym to robić?

– Nie jest tajemnicą, że ucieszyło cię niepowodzenie Maurycego – rzucam.

– Niepowodzenie? – prycha z jawną drwiną. – Porywanie własnych pacjentów, żeby, nie wiem, preparować ich tkanki, nazywasz niepowodzeniem?

Kręcę głową, czując, jak narasta we mnie złość. Złość, której być nie powinno, bo przecież dobrze wiedziałam, że tak będzie, jeśli tu przyjdę.

– Od dziecka to lubił – ciągnie Ksawery. – Patroszył kury i kaczki.

Przymykam powieki, napominając się o zachowanie spokoju. Słyszałam przecież tę historię już wiele razy i to nie tylko z ust Ksawerego. Maurycy opowiadał mi o dziadkach ze strony matki, którzy mieszkali w Niebyłej, tuż za Brzozówką. Jako dzieci często tam jeździli, spędzali na wsi całe wakacje. Obaj siłą rzeczy mieli styczność z ubojem zwierząt gospodarskich.

– Wycinał narządy i chował je do zamrażarki. – Ksawery nie ma zamiaru się zamknąć. – Babka się wkurwiała tylko wtedy, gdy mroził jądra – mówi prześmiewczym tonem. – Nie uważasz, że to dużo mówi o pokoleniu naszych dziadków? Resztę flaków pozwalała mu chować, no poza wątróbką, żołądkiem i sercem, bo one trafiały do niedzielnego rosołu. Maurycy uwielbiał je jeść, zawsze…

– Przestań! – wybucham. – W tej chwili przestań!

Ksawery milknie, ale posyła mi pogardliwy uśmiech. Znam ten grymas aż za dobrze.

– Maurycemu nic nie udowodniono! – mówię wciąż podniesionym tonem. – Maurycy nigdy nikogo nie skrzywdził! A ty – celuję palcem w szwagra – jako jego brat powinieneś najlepiej o tym wiedzieć!

Zdaję sobie sprawę z tego, że moje słowa trafiają w próżnię. Rodzice wykopali między Ksawerym a Maurycym tak wielką wyrwę, że nigdy nie uda się jej zasypać. Młodszy brat już zawsze będzie widział w starszym konkurencję, mapę własnych kompleksów. Nie ma znaczenia, że Maurycy próbował ratować ich relacje – są rany, które można uleczyć tylko samemu. Ksawery ma ich całe mnóstwo i tylko on sam jest w stanie zatrzymać ich jątrzenie się. Ale żeby to zrobić, musiałby odciąć się od dopływu trucizny.

Nie zrobił tego wcześniej, a teraz, kiedy wreszcie w oczach swoich rodziców jest tym lepszym potomkiem, szanse na to są jeszcze mniejsze. Nie mogę mieć mu tego za złe, przecież dziecko zawsze pragnie miłości i aprobaty rodziców. Nigdy się to nie zmienia, bo ze skrzywdzonego dziecka wyrasta nieszczęśliwy dorosły. Wiem, o czym mówię, moje doświadczenia są zupełnie inne, jednak efekt jest taki

sam. Brak bezwarunkowej miłości, opieki i rodzicielskiej troski zawsze skutkuje tymi samymi obrażeniami duszy.

– I sam to też robiłeś! – dorzucam, choć właściwie najlepiej by było, gdybym w tym momencie skończyła dyskusję z Ksawerym.

– Okej, jasne, skoro siedziałem u babki na wsi całe wakacje. Ale nie mroziłem, kurwa, żadnych flaków.

– Za to teraz pracujesz w rzeźni.

Ksawery ma minę, jakbym uderzyła go w twarz. Miał i wiem, że ciągle ma aspiracje do bycia wielkim artystą, ale życie wciąż brutalnie je weryfikuje.

– Nigdy nie napisałem ci nic na płocie czy tam domu – odzywa się Ksawery po dłuższej ciszy. – Ani wtedy, ani teraz. I nigdy nie zamierzam tego robić.

– Wiesz, czym tym razem pobazgrano moje drzwi? – Nie daję tak łatwo za wygraną.

Ksawery rozkłada bezradnie ręce.

– Krwią – mówię, na co szwagier unosi wysoko brwi. – Tak właśnie, krwią – powtarzam, a brat Maurycego znów zaczyna się głośno śmiać.

– Takie to zabawne? Serio?

– I myślisz, że wziąłem sobie krew z rzeźni, żeby mazać nią po twoich drzwiach? – Ksawery dalej się śmieje, a ja bezwiednie prześlizguję się wzrokiem po porozwieszanych na ścianach płótnach. Niemal na każdym z nich jest chociaż trochę lnianych włókien, a wszystkie są… czerwone. Intensywnie czerwone. Szkarłatne. Gdzieniegdzie nawet czarne.

– Czym barwisz te sznurki? – Wskazuję na obraz, na którym jest ich najwięcej.

Ksawery przestaje chichotać, wzdycha i zakłada ręce na piersi. Patrzy na mnie w milczeniu i kołysze się przy tym na piętach. Nie

wygląda, jakby zamierzał odpowiedzieć na moje pytanie. Jego postawa jest jawnie lekceważąca.

– O, te! – Znów wskazuję na jedno z dzieł. – Te włókna mają krwisty kolor.

– Co ty chcesz mi wmówić?

– Chcę wiedzieć, co tu się odkurwia. – Złość bierze nade mną górę. Dołącza do niej również histeria, bo przecież włókna użyte w preparatach Maurycego też są w takim kolorze. Od myśli, że mąż mógł wybarwić je krwią, robi mi się niedobrze.

– Kobieto, nie mam pojęcia, kto ci maluje krwią po drzwiach! – Ksawery zaczyna się wściekać.

– To była krew zwierzęca – syczę.

– I kurwa, co z tego? – teraz szwagier już krzyczy.

Otwieram usta, żeby brnąć dalej, ale w oczach Ksawerego iskrzy gniew, który mnie powstrzymuje.

– Używam barwników, do diabła! Jestem artystą, a nie… – Ksawery ze świstem wciąga powietrze. – Maurycy miał sztukę w dłoniach – mówi po chwili, już znacznie spokojniej. – Świetnie rzeźbił i plótł, szkoda, że to zaprzepaścił.

Szwagier odwraca się tyłem do mnie i zapatruje w wysokie okno, a ja uświadamiam sobie, że był zazdrosny o wykonywane przez Maurycego modele bardziej, niż sądziłam. Wcale mnie to nie uspokaja, wręcz przeciwnie.

– Jeszcze tu jesteś? – mówi po chwili, zerkając na mnie przez ramię. – Nie dotarło? Nie pobazgrałem ci żadnych drzwi. Mam ci wręczyć oświadczenie na piśmie, żebyś zrozumiała?

Przez cały dzień obracałam w głowie słowa Jankowskiego, że wynik analizy grafologicznej nie jest stuprocentowo pewny. Teraz, gdy stoję w mieszkaniu szwagra, przypominam sobie coś jeszcze. Maurycy i Ksawery mają zdumiewająco podobne charaktery pisma. Mąż wcale nie bazgrał jak kura pazurem, co zwykło się przypisywać

lekarzom. Naprawdę ładnie pisał, a autografy na dziełach Ksawerego do złudzenia przypominają mi to, jak podpisywał się Maurycy.

– Nie przyznasz się? – pytam.

Ksawery wciąż stoi tyłem do mnie. Ramiona ma spięte, ręce zaciśnięte na piersi.

– Źle trafiłaś – cedzi. – Idź z tym na policję albo nie wiem, do wróżbity, ale mnie w to nie mieszaj.

23

Biorę sobie radę Ksawerego do serca, zaraz po opuszczeniu mieszkania szwagra dzwonię do Jankowskiego. Opowiadam mu o swoich podejrzeniach co do brata Maurycego. Mówię o niełatwych relacjach chłopaków i o tym, gdzie Ksawery pracuje, na wypadek gdyby komisarz o tym nie pamiętał. Wspominam o włóknach wybarwionych na czerwono, wypytuję o czułość badania grafologicznego. Tym razem jest zupełnie inaczej niż w przypadku konfrontacji z Kaśką – po rozmowie z Ksawerym w głowie mam całą masę wątpliwości.

– Może chociaż by go pan przesłuchał? – naciskam, bo okazuje się, że policjant niespecjalnie jest zainteresowany Ksawerym.

– Zaczyna pani wchodzić w moje kompetencje – upomina mnie.

– Po prostu uważam, że należałoby się Ksaweremu lepiej przyjrzeć. – Nie zamierzam ustąpić. – Są braćmi, a mimo to Ksawery zawsze widział w Maurycym konkurencję, miał go za… – Przez moment się zastanawiam, czy słowo, które mam na końcu języka, nie jest za mocne. – Wroga – mówię w końcu, uznawszy, że wręcz idealnie oddaje postawę Ksawerego.

– Pani Soboń, bardzo proszę tego typu sprawy zostawić mnie.

Wzdycham, bo nie podoba mi się, że policjant mnie zbywa.

– Nie lekceważyłabym tego – upieram się dalej.

– Usiłuje pani zwrócić moją uwagę na brata Maurycego, choć w gruncie rzeczy nie mamy podstaw, żeby sądzić, że może on być zamieszany w sprawę.

– Co do winy Maurycego sytuacja wygląda podobnie – syczę. – A jednak…

– No właśnie nie, pani Soboń. – Policjant wchodzi mi w słowo. – Różnica polega właśnie na tym, że są podstawy, żeby podejrzewać pani męża – mówi pobłażliwym tonem, jakby zwracał się do upartego dziecka. – I to całkiem poważne. Dla przykładu wymienię choćby telefon należący do niego.

– Podrzucono go wam! – unoszę się. – Nie przyszło wam do głowy, że wszystko zostało po prostu spreparowane? Że ktoś od początku Maurycego wrabia?

– Bierzemy taką ewentualność pod uwagę.

Oddech więźnie mi w płucach, bo Jankowski po raz pierwszy otwarcie przyznaje, że rozważa podobną możliwość. Od zalewającego mnie ciepła zaczyna mi się kręcić w głowie, po plecach przebiegają mi ciarki. Rozsadza mnie przeświadczenie, że jeszcze nigdy nie byłam tak blisko. Tak blisko tego, żeby dowieść niewinności męża.

– Nie zaszkodzi zatem sprawdzić i Ksawerego – obstaję przy swoim.

– Sprawdziłem. I nie znalazłem nic, co łączyłoby Weronikę P. z bratem pani męża. Podobnie jak tych, którzy zniknęli pięć lat temu. Za to rozmawiałem z pani sąsiadami.

– Pamiętam – wtrącam.

– Więc pewnie pamięta też pani, że nie udało się wtedy złapać Pogorzelskich. Mieszkają po drugiej stronie ulicy, tak po przekątnej od pani, obok Mazurów.

– Wiem. Znam swoich sąsiadów. – Zupełnie nie rozumiem, do czego policjant zmierza.

– Miałem okazję wczoraj z nimi porozmawiać, pani Soboń. – Śledczy nie zwraca uwagi na moje zdezorientowanie. – Pani sąsiedzi dostarczyli nam cennych informacji. Widzieli, jak myje pani drzwi…

– Przecież powiedziałam panu, że je umyłam! – wchodzę Jankowskiemu w słowo.

– Jasne. Proszę dać mi dokończyć. Widzieli, jak myje pani drzwi po tym, jak pobraliśmy próbkę, z kolei dzień wcześniej widzieli… jak robi

to pani brat.

Śmieję się głośno.

– Nie rozumiem, co panią tak bawi.

– Naprawdę tak panu powiedzieli? – Przestaję się śmiać, teraz ogarnia mnie złość.

– Tak.

– Że widzieli, jak Arek myje drzwi? – upewniam się.

– Dokładnie tak, pani Soboń.

– To niewiarygodne! – wykrzykuję. – To, jak nas tutaj nie lubią.

– Sugeruje pani, że pani sąsiedzi kłamią?

– Oczywiście!

Komisarz milczy. Przychodzi mi do głowy, że może zwyczajnie blefuje, że chce mnie jakoś podejść. Nie widzę jednak sensu takiego działania. Naprawdę nie pojmuję, co się tu znowu wyczynia. Ani jak można być tak podłym. Nie miałam z Pogorzelskimi za wiele do czynienia, ale wydawali się w porządku.

– Po co Arek miałby usuwać napis z drzwi, do diabła?! – Złoszczę się bardziej. – I jeszcze to przede mną ukrywać?!

– Wie pani, widziałem już wiele – stwierdza na to Jankowski. – Proszę mi wierzyć, że czasem dzieją się rzeczy z pozoru absurdalne.

Wydaję z siebie kolejne wściekłe prychnięcie. Przysiadam przy tym na schodkach przed wejściem do kamienicy.

Komisarz się nie odzywa.

– To niemożliwe – rzucam, przerywając tę wymowną ciszę. – To po prostu niemożliwe.

– Dlaczego uważa pani, że to niemożliwe?

– No przecież… – Milknę, bo zwyczajnie brakuje mi argumentów.

No na litość boską, najpierw mąż, teraz brat. Najpierw Arek był w gronie podejrzanych o bazgranie po drzwiach, teraz się dowiaduję, że podobno je wyczyścił. Istna paranoja!

– Wie pani, że nie przekonuje mnie teza, że ktoś wrabia pani męża, ale też, jak wspomniałem przed chwilą, widziałem już wiele.

Krzywię się. Ta rozmowa coraz bardziej wytrąca mnie z równowagi. Najchętniej bym się rozłączyła. Uciekła od kolejnych niewygodnych faktów. Tyle że nie mogę, bo siedzę w tym po same uszy.

– Przesłuchujemy personel szpitala – oświadcza tymczasem komisarz. – Sprawdzamy różne scenariusze, analizujemy i łączymy fakty. I wie pani co? W dniu, kiedy zaginęła Weronika P., a skłaniamy się jednak ku teorii, że zniknęła po dotarciu do szpitala Epione, pani brat był na dyżurze. W którym szpitalu pracuje?

Nie odpowiadam na pytanie policjanta, nie ma takiej potrzeby.

– I tak się składa – ciągnie Jankowski – że za każdym razem tak było. Pani brat był na dyżurze, gdy znikały kolejne ofiary, w tym Michał Malczyk.

– Dopiero teraz do tego doszliście? – drwię.

– Nie wierzę, że nie rozumie pani, o czym mówię – odbija piłeczkę komisarz.

Muszę przyznać mu rację. Śledczy długo nie mieli żadnego punktu zaczepienia. Owszem, wszystkie zaginione osoby były pacjentami szpitala Epione, ale zauważono tę prawidłowość dopiero po tym, jak w ręce policji wpadł telefon Maurycego. Tyle że te osoby trafiały do placówki z powodu zupełnie innych dolegliwości, a co za tym idzie, leczyły się na różnych oddziałach. A więc zajmowali się nimi różni lekarze. Epione to ogromny szpital i w grę wchodziły dziesiątki ludzi. Nie mogli prześwietlić wszystkich.

A teraz... Teraz wychodzi na to, że drobne pęknięcia w niezachwianej wierze śledczych i mediów w winę mojego męża się powiększają. Nie jestem w stanie się z tego cieszyć, bo na celownik zostaje wzięta kolejna bliska mi osoba.

– Po tylu latach udało się wam ustalić, kiedy Arek był w szpitalu, a kiedy nie? – Mój ton wciąż ocieka kpiną.

– Pani przekonanie o naszej skuteczności jest co najmniej marne.

– Przecież to o niczym nie świadczy. – Ignoruję zaczepkę, podobnie jak policjant moje docinki. – Epione to moloch jakich mało, pracuje tam mnóstwo ludzi.

– Zgadza się.

Podpieram głowę na ręce, łupie mnie w czaszce. Moje myśli wirują z prędkością światła. Co w takim razie z wiadomością, którą dostała Paulina Malczyk? Mimowolnie przed oczami staje mi Arek buszujący w gabinecie na poddaszu. Może szukał próbek pisma Maurycego, żeby je podrobić?

– To jak strzelanie na oślep – stwierdzam, nie pozwalając do końca wybrzmieć myśli, że Arek może mieć coś na sumieniu.

– Niewykluczone. Ale jest coś jeszcze. Pani brat interesował się kartoteką zaginionej Weroniki P., mimo że nie była jego pacjentką.

– To zabronione?

– Nietypowe. Skoro jej nie leczył ani też nie asystował przy żadnym jej zabiegu czy operacji, po co zaglądał do jej kartoteki?

– Trafił pan jak kulą w płot. – Idę w zaparte, bo w tej chwili nowe informacje mnie przytłaczają, nie jestem w stanie ich przetworzyć. – Brat jest ambitny, może przypadek kobiety z jakiegoś powodu go zainteresował.

Komisarz powstrzymuje się od komentarza. Nie wiem, czy robi to podświadomie, czy celowo, tak czy inaczej cisza podsyca gonitwę myśli w mojej głowie.

– Rozumiem, że staje pani w obronie brata – podejmuje wreszcie Jankowski. – To naturalne, tym bardziej że jesteście blisko, prawda?

Kiwam głową, jakby śledczy siedział naprzeciw mnie.

– Ale proszę wziąć pod uwagę, że pani brat się przyznał.

Miękną mi kolana. Gdybym nie siedziała, z pewnością bym upadła.

– Do czego? – udaje mi się z siebie wydusić.

– Do tego, że zmył napis z drzwi.

—

–

—

Powinna rozpierać mnie duma, bo wreszcie się udało. Najnowsza wersja buforu życia wskrzesiła martwego. Tyle że psa…

Jedyne, co czuję, to rozczarowanie.

Zaciskam gniewnie usta, bo to było do przewidzenia. Pies to dla mnie po prostu za mało. Zagryzam wargi jeszcze mocniej, kiedy przypominam sobie, co kryje się za moimi emocjami. Zawsze gdy zaczyna mnie prześladować poczucie, że robię za mało i następnym razem muszę się bardziej postarać, znów czuję się jak dziecko, które musiało spełniać nierealne oczekiwania i stale było niewystarczające, a na rodzicielską miłość musiało zasłużyć.

Przynajmniej zakopanie psa w porównaniu z pochówkiem człowieka okazało się banalnie proste. Nie było sensu zostawiać go przy życiu, bo ewidentnie doznał paraliżu. Szkoda, żeby zwierzę się męczyło.

Przynajmniej już wiem, w którą stronę iść, myślę, próbując znaleźć w tej sytuacji coś dobrego, żeby zagłuszyć wibrujący we mnie zawód. Bufor ma coraz lepszy skład, potrafi obudzić martwego psa. Oczywiście nie mam stuprocentowej pewności, że tak samo zadziała na człowieka, ale na kolejnego ludzkiego pacjenta nie mogę sobie na razie pozwolić. Nie w tak krótkim czasie.

Poza tym są ludzie, którzy chcą mnie zatrzymać, bo nie rozumieją potencjału drzemiącego w moim przedsięwzięciu. Jak dotąd nie udało się nikomu do mnie zbliżyć, zresztą wcale mnie to nie dziwi, mam taki kamuflaż, że nigdy nie trafią na mój trop. Mimo wszystko czuję, że zgarnianie pacjentów na terenie szpitala to nietrafiony pomysł. Chodziło o zaoszczędzenie czasu i energii, taszczenie ciał, żywych czy martwych, nie należy do najłatwiejszych zadań.

Najlepiej będzie, jeśli wrócę do starej strategii. Pacjentów będę typować na podstawie danych ze szpitalnych kartotek, ale reszta procedury nie może mieć miejsca na terenie Epione.

Może jednak warto rozważyć kolejnego psa? Wiem, że jeśli ponownie zdecyduję się na zwierzę, bez względu na wynik próby poczuję rozczarowanie podobne do tego, które teraz mnie trawi. Ale może jednak lepszy rydz niż nic…

Pogrążam się w rozmyślaniach tak głęboko, że ledwo słyszę dzwoniący telefon.

Kiedy dźwięki brzęczącej komórki wreszcie do mnie docierają, krzywię się. Nie lubię, kiedy mi się przeszkadza, zwłaszcza gdy zajmuję się tak ważnymi sprawami.

Niechętnie zerkam na wyświetlacz komórki, może wcale nie muszę odbierać. Jednak zobaczywszy, kto dzwoni, sięgam po telefon i akceptuję połączenie.

24

Wracam do domu, jestem już pod ikeą, kiedy dzwonię do Dagi.

– Aresztowali Arka! – wykrzykuję, kiedy tylko przyjaciółka odbiera.

– Co ty mówisz?!

– To znaczy nie, nie aresztowali, tylko go przesłuchali.

– Ale dlaczego?!

Streszczam przyjaciółce swoją rozmowę z Jankowskim.

– Pierniczysz! – wykrzykuje Daga. – Arek zmył ten napis? Po co?

– Ja nie wiem, Daga, może Jankowski robi mnie w balona.

– On? Dlaczego?

– Dzwoniłam do Arka, ale nie odbiera – mówię, ignorując pytania przyjaciółki. Jestem roztrzęsiona i zupełnie nie wiem, jak sobie z tym poradzić.

– Hej, weź kilka głębokich wdechów – prosi Daga, najwidoczniej orientując się, co się ze mną dzieje.

– Chciałam pojechać na komendę, ale Jankowski stwierdził, że to bez sensu. – Nadal nie słucham rad przyjaciółki. – Przesłuchali Arka i nie mam po co przyjeżdżać.

– No w takim razie chyba faktycznie nie ma potrzeby, żebyś tam jechała.

– Nie jadę. – Wypuszczam głośno powietrze z płuc. – Tylko co to oznacza, Daga? Że Arek wrabia Maurycego?

– Jankowski go o to podejrzewa? – wypytuje przyjaciółka.

– Nie. A przynajmniej nie powiedział tego wprost. Ale widzę, że się go uczepił.

– Nie wierzysz, że Arek mógłby to zrobić?

– Nie! Jasne, że nie! – deklaruję od razu. – Nie wiem. – Wzdycham ciężko, bo przecież zaraz po zamontowaniu kamery napisy przestały się pojawiać.

Milczymy dłuższy moment.

– Pamiętasz, jak mi mówiłaś, że przed wejściem do każdego budynku należącego do Epione jest kamera? – pytam, przekierowując swoje myśli na inne tory. Nie mam złudzeń, że to reakcja obronna mojego umysłu na to, czego się dowiedziałam od policjanta.

– Yyy, tak – potwierdza przyjaciółka.

– A te kamery działają? – dopytuję.

– Co masz na myśli?

– Czy działają, czyli nagrywają obraz – powtarzam.

– No tak. Skoro tam są…

– Ale na pewno?

– Nóż cholera, ja nie siedzę w ochronie, ale zakładam, że działają. Przecież po to zakłada się kamery. Ale dlaczego o to pytasz? O co chodzi?

– Gdy pojawia się kwestia monitoringu szpitala, Jankowski mówi o nim jakoś wymijająco – wyjaśniam.

– To znaczy? – Wychwytuję w głosie Dagi podejrzliwość.

– No jakoś tak kluczy. Policja z kolei ucina temat, gdy media go podejmują.

– Mhm – mruczy przyjaciółka.

– Jakby, nie wiem, nie mieli tych nagrań albo inna cholera. Jadę to sprawdzić – rzucam, zerkając na GPS-a, by jak najszybciej dostać się pod Epione.

– Ale co sprawdzić? – Daga wydaje się zdezorientowana.

– Monitoring w szpitalu!

– Ty naprawdę myślisz, że można tak prostu obejrzeć sobie nagrania ze szpitalnej kamery? – prycha przyjaciółka.

– Pewnie nie, ale… – Dochodzę do wniosku, że najszybciej dostanę się pod Epione, jeśli zjadę czwartą obwodnicą na A4.

– To po co chcesz tam jechać?

– A co, jeśli Jankowski to wilk w owczej skórze?

– Matko, Olga, zaczynasz mnie przerażać – stwierdza przyjaciółka.

– Mało to było przypadków, kiedy sprawy nie udało się rozwikłać, bo zamieszani byli w nią właśnie policjanci? Archiwum X działa bodajże w każdym województwie. Umorzonych dochodzeń jest całe mnóstwo! Tak jak niewinnych ludzi odsiadujących niesłuszne wyroki.

– Mhm… – Daga znów tylko mruczy.

– A co, może nie pamiętasz sprawy Iwony Cygan? – nie przestaję się nakręcać. – Albo Tomasza Komendy? Pewnie znalazłyby się dziesiątki podobnych przypadków!

– No dobrze, już dobrze – wzdycha Daga. – Przeróżne rzeczy się zdarzają. Tylko serio nie rozumiem tej twojej nieufności wobec Jankowskiego.

– Ja też nie – przyznaję. – Ale o wyniku analizy grafologicznej mi na przykład nie powiedział.

– W ogóle nie podali tej informacji do wiadomości publicznej – przypomina mi.

– No właśnie.

– Tak czy inaczej uważam, że powinnaś po prostu pojechać do domu.

Prycham pod nosem. Nie wyobrażam sobie siedzieć teraz bezczynnie.

– Olga, muszę kończyć. Wrócisz do domu?

– Leć, wiem, że jesteś w pracy – odpowiadam, ignorując pytanie Dagi.

– Wracasz do domu? – naciska.

– Nie mogę – oświadczam, wjeżdżając na obwodnicę.

25

Z A4 zjeżdżam na Kurdwanów. Dalej nawigacja kieruje mnie na Piaski Wielkie, za chwilę dojeżdżam na Kosocice i mijam fort Barycz. Podjeżdżam pod szpital.

Epione od południa sąsiaduje z Rajskim Ranczem, a od strony północnej ciągnie się las porastający Wzgórze Kosocickie. Znajduję wolne miejsce parkingowe. Zanim wysiądę z samochodu, przyglądam się kompleksowi szpitalnemu.

Maurycy pracował, podobnie jak teraz Arek, w budynku B1, gdzie mieści się SOR, Oddział Anestezjologii i Intensywnej Terapii oraz blok operacyjny. Daga z kolei jest pielęgniarką na Oddziale Chirurgii Ogólnej i Onkologicznej, który znajduje się, jeśli dobrze pamiętam, w budynku B3. Natomiast Poradnia Otolaryngologiczna, której pacjentką była Weronika P., jest w budynku B6. Próbuję znaleźć te wszystkie miejsca na mapie dostępnej na stronie internetowej placówki. W końcu wysiadam z wozu i zaczynam obchód.

Podchodzę pod każdy budynek i sprawdzam, czy przy wejściu wisi kamera. Kiedy się upewniam, że są zamontowane wszędzie, wracam pod B6. Zanim wejdę do środka, przyglądam się kamerze przy wejściu, jakby dało się w ten sposób ocenić, czy sprzęt działa. Chyba wyglądam dziwacznie, bo ludzie rzucają mi podejrzliwe spojrzenia.

W końcu przekraczam próg szpitala. Jest tłoczno, hol wypełniony jest ludźmi spieszącymi się na wizyty i tymi, którzy przyszli tu odwiedzić bliskich. Personel medyczny też się tutaj kręci, zauważam kilka pielęgniarek i grupkę młodych osób wyglądających mi na studentów. Unoszę głowę i rozglądam się za kamerami, nie dostrzegam jednak żadnej. Wypatruję więc stanowiska ochrony, o ile

takie w ogóle się tu znajduje. Podchodzę do narożnego sklepiku i proszę o pomoc. Kobieta za kasą udziela mi jasnych wskazówek, dzięki którym szybko trafiam w interesujące mnie miejsce.

Stanowisko jest puste, ale na kontuarze leżą przedmioty świadczące o tym, że ktoś zwykle tu siedzi. Podchodzę bliżej i postanawiam zaczekać, aż pracownik wróci. Opieram się o kontuar, wtedy zauważam monitor. Ustawiono go tyłem do interesanta, muszę się nachylić, żeby sprawdzić, czy wyświetla jakiś obraz. Robi mi się ciepło od środka, gdy widzę wejście do budynku, w którym się znajduję. Pochylam się bardziej, jakbym nie mogła uwierzyć w to, co widzę. Film ma dobrą ostrość, kamera, która go nadaje, to raczej sprzęt wysokiej klasy. Zatem monitoring działa tu w najlepsze.

Kątem oka zauważam, że w rogu kontuaru leży włączona komórka. Ma uruchomioną jakąś aplikację, chyba TikToka. Chcę oderwać wzrok od telefonu, ale filmik wyświetlający się na ekranie przykuwa moją uwagę. Krwawiąca zebra próbuje opędzić się od atakującego ją stada hien. Drapieżniki są jednak bardzo agresywne, zadają spanikowanemu zwierzęciu dziesiątki ugryzień. W końcu jedna z nich wgryza się mocno w podbrzusze zebry, tryska krew, a wnętrzności ofiary wypadają na zewnątrz. Zebra jeszcze chwilę stoi, za moment pada na ziemię, a hieny dopadają jej rozprutego ciała. Odgryzają kolejne kawałki i pożerają je łapczywie. Zwierzę wierzga kopytami w agonii, potrząsa łbem, dostaje drgawek.

– Co pani robi? – słyszę nagle za sobą. Podskakuję w miejscu, a moje serce przyspiesza.

Kobieta w ochroniarskim uniformie przechodzi za kontuar i porywa komórkę. Obraz znika z wyświetlacza, ale nie z mojej głowy. Wiem, że przyroda jest brutalna i że rządzi nią odwieczny schemat łańcucha pokarmowego, ale do diabła, kto ma nerwy to oglądać?

– Zadałam pani pytanie, co pani robi?

Dziewczyna jest bardzo młoda, jej twarz zdobią liczne kolczyki, zauważam stalową biżuterię w nosie, podbródku i obu policzkach.

Odkryte części jej ciała pokrywają tatuaże – dłonie, szyja, nawet uszy są wytuszowane. Nie chcę ulegać stereotypom, ale dziewczyna naprawdę nie wygląda mi na ochroniarkę. Nosi jednak odpowiednie umundurowanie.

– Nie słyszy pani, co do pani mówię? – podnosi na mnie głos.

– Szukam pracownika ochrony – wyduszam w końcu, wciąż mając przed oczami obraz zjadanej żywcem zebry.

– Słucham, w jakim celu? – Dziewczyna świdruje mnie nieprzychylnym spojrzeniem. – Bo wydawało mi się, że czai się pani na mój telefon. Chciała go pani ukraść?

– Co? – rzucam zdumiona. – Oczywiście, że nie! Co to w ogóle za pomysł!

Młoda kobieta posyła mi jeszcze bardziej wrogie spojrzenie.

– Po co pani przyszła do szpitala? – pyta. – Ma pani dziś tu wizytę?

– Nie, nie.

– Towarzyszy pani komuś albo kogoś odwiedza?

– Nie. – Potrząsam głową.

– To po co kręci się pani po szpitalu? – Ton pracownicy ochrony staje się na wskroś nieprzyjemny. Dziewczyna chyba naprawdę myśli, że zamierzałam ukraść jej telefon!

– Chciałam sprawdzić, czy w szpitalu działa monitoring… – Dopiero kiedy kończę mówić, dociera do mnie, jak w tych okolicznościach to zabrzmiało.

Młoda kobieta patrzy na mnie tak podejrzliwie, że aż zaczynam się pocić. W kilku zgrabnych zdaniach wyjaśniam więc, o co mi tak naprawdę chodzi.

– Zechce pani opuścić budynek szpitala – mówi mi na to dziewczyna.

– Słucham?

– W życiu nie słyszałam, żeby ktoś takie bajki opowiadał – dodaje twardym tonem. – Zresztą z tego, co pamiętam, to żona Sobonia była

nieco młodsza. I jakaś taka bardziej zadbana. – Dziewczyna patrzy na mnie z wyższością.

Wiem, że lata nerwów, zamartwiania się, walki i radzenia sobie z samotnością odcisnęły na mnie piętno, ale ta młoda siksa chyba przesadza. I najpewniej widziała mnie na tym jednym zdjęciu, które obiegło internet, gdy zniknął Maurycy.

– To było niepotrzebne. – Zachowuję spokój. – A…

– Proszę opuścić budynek szpitala. – Ochroniarka nie daje mi powiedzieć nic więcej. – Jeśli nie chce pani zostać wyprowadzona z niego siłą – zaczyna mnie straszyć.

– Siłą? Niby dlaczego? – unoszę się.

– Kręci się pani bez celu po szpitalu.

– Nie robię nic złego.

– Ale najwyraźniej zamierza pani.

Kręcę głową, nie dowierzając temu, co słyszę.

– Proszę stąd wyjść – powtarza ochroniarka. – Albo… – Sięga po słuchawkę zamontowanego na blacie kontuaru telefonu stacjonarnego.

Prycham pod nosem, domyślając się, co chce zrobić dziewczyna. Obracam się na pięcie i odchodzę, konfrontacja z pracownikami ochrony nie jest mi do niczego potrzebna.

Poruszam się jak pijana, nie mam pojęcia, na co liczyłam, przyjeżdżając tutaj.

– Wszystko w porządku? – Odbijam się od czegoś białego. Okazuje się, że to pierś młodego chłopaka, który nosi biały kitel. – Pomóc w czymś pani? – Orientuję się, że wpadłam na grupkę studentów, to chyba ci sami ludzie, których zauważyłam zaraz po wejściu do szpitala.

Chłopak przygląda mi się z zatroskaniem. Przypomina mi Maurycego, mąż z podobnym wyrazem twarzy witał swoich

pacjentów. Zawsze był dla nich życzliwy, stawiał ich dobro na pierwszym miejscu. Tego też uczył swoich studentów.

– N-nie – dukam. – Już wychodzę.

Kiedy wskakuję do samochodu, zaciskam dłonie na kierownicy, jakby miało mnie to uchronić przed ogarniającą mnie paranoją. Nie umiem inaczej nazwać tego, co dzieje się w tej chwili w mojej głowie. Chłopak w białym kitlu nie chce opuścić moich myśli. Młody i zdolny, zafascynowany medycyną, poszukujący dreszczyku emocji. Jeśli dodać do tego psychopatyczną osobowość… Nie mam bladego pojęcia, czy ambitny student jest choć trochę sensownym tropem, ale przypomina mi się film Patologia, w którym Ted Grey, absolwent medycyny sądowej, daje się wciągnąć w makabryczną grę prowadzoną przez grupkę patologów na stażu. To fikcja, powtarzam sobie, wymysł dobrego scenarzysty podrasowany pomysłami równie dobrego reżysera. Nie zdaje to egzaminu, bo jednocześnie wiem, że rzeczywistość w swojej kreatywności bije na głowę najbardziej bujną wyobraźnię.

Sięgam po komórkę, muszę z kimś porozmawiać. Dzwonię do Dagi. Nie odbiera, więc głębokie wdechy muszą wystarczyć, żeby przed oczami przestali mi stawać kolejni studenci medycyny, których szkolił Maurycy. Jeszcze zanim odpalę silnik, przyjaciółka jednak oddzwania. Od razu opowiadam jej o swoich ustaleniach.

– To wydaje się logiczne – komentuje. – Skoro są kamery, to nagrywają.

– To dlaczego policja nie jest w stanie ustalić, czy Weronika P. dotarła do szpitala?

– W mordę, nie wiem! – wykrzykuje przyjaciółka.

– Może Jankowski mataczy. – Ocieram pot z czoła, wciąż jest mi potwornie gorąco. Przypominam sobie o wcale nie tak odległej sprawie Igora Stachowiaka, który stracił życie na posterunku policji. Niestety prawda jest taka, że jednostka zawsze pozostaje bezbronna wobec systemu.

– Prędzej bym powiedziała, że coś jest nie tak z nagraniami – stwierdza Daga.

– Uważasz, że przesadzam?

– Ja naprawdę rozumiem, że lubisz Nesbø, Läckberg i Cobena, ale życie to nie powieść sensacyjna – napomina mnie.

– Serio? – burzę się. – A mnie się wydaje, że od pięciu lat moje życie przypomina powieść pisaną właśnie przez wszystkich trzech!

– No dobrze, wiem, że masz przechlapane. Ale zaczynasz podejrzewać faceta, który próbuje tę sprawę rozwikłać!

– Ja podejrzewam już wszystkich! – wykrzykuję. – Dosłownie wszystkich! Przed chwilą wydawało mi się, że student, na którego przypadkowo wpadłam w szpitalu, może być mordercą! Albo że za wszystkim stoi Malczykowa!

– Kto?!

– Paulina Malczyk. Żona…

– Wiem, kto to jest Paulina Malczyk. – Tym razem to Daga wchodzi mi w słowo. – Tylko myślałam, że się przesłyszałam, przecież…

– Pod latarnią najciemniej – bąkam, zirytowana własnymi podejrzeniami, które powoli zaczynają przybierać formę obsesji.

– W takim razie muszę być na twojej liście podejrzanych. I to pewnie całkiem wysoko, skoro znalazła się na niej nawet Malczykowa!

– Mówię ci, że podejrzewam już wszystkich! – rzucam. Byle odsunąć wątpliwości od Arka, dopowiadam w myślach.

– To faktycznie grubo.

– Nie nabijaj się ze mnie!

– Nie nabijam się. W żadnym razie. Ale chyba nie tędy droga.

– Wiem. Po prostu… A jak wyglądają oddziały? Tam też są kamery?

Daga wzdycha, ale odpowiada na moje pytanie ze spokojem:

– Tylko na niektórych, bo pacjenci mają zagwarantowane prawo do intymności podczas udzielania świadczeń zdrowotnych. Na moim

oddziale na przykład jest kamera na korytarzu, ale już w salach czy w gabinetach zabiegowych nie ma.

– W takim razie w poradniach powinny być – wnioskuję.

– Jeśli są, to pewnie też na korytarzach – stwierdza Daga.

Spoglądam na budynek B6, z którego chwilę temu wyszłam. Żałuję, że nie zajrzałam do Poradni Otolaryngologicznej przekonać się, czy i tam są jakieś kamery. Kusi mnie, by wrócić do szpitala i to sprawdzić, musiałabym jednak bardzo uważać, żeby młoda ochroniarka mnie nie zobaczyła. Przypominam sobie, że na stanowisku ochrony nie widziałam wielu monitorów, właściwie jeden. Oczywiście niewykluczone, że podgląd poszczególnych poradni czy oddziałów jest dostępny w innym miejscu.

– Zerknę na to – mówi Daga, podczas gdy ja wciąż rozważam, czy wrócić do szpitala.

– Serio? Możesz to dla mnie zrobić?

– Przejdę się po budynku B6 i sprawdzę, czy mają tam jakieś kamery. Albo po prostu kogoś zapytam. Dowiem się też, czy działają.

– Dzięki. Dobrze, że nie muszę tam wracać, tym bardziej że przecież i tak nikt mi nie pozwoli przejrzeć nagrań z tego monitoringu.

– No właśnie.

– Daga, nie bierz tego do siebie – mówię oględnie, wiedząc, że przyjaciółka zrozumie, o co mi chodzi.

– Spoko, nie przejmuj się. Niewykluczone, że na twoim miejscu miałabym tak samo.

– A ty jak się trzymasz? – Przypominam sobie, że przyjaźń powinna opierać się na obopólnej trosce. Powinnam wspierać przyjaciółkę, a nie tylko wypłakiwać się w jej rękaw.

– Jest okej. Naprawdę. Może faktycznie przygarnę jakiegoś psiaka ze schroniska.

– To naprawdę jest dobry pomysł.

– Pomyślę jeszcze. Wracasz do domu? – chce wiedzieć Daga.

– Chyba tak. – Odpalam silnik.

– Wracaj. Odsapnij trochę.

Kończę rozmowę z Dagą i postanawiam to zrobić – po prostu wrócić do domu.

—

–

—

Znajduję chwilę, żeby przejść się po budynku B6. Poruszam się pewnie, rozkład szpitala mam w jednym palcu. Uważam na kamery zamontowane na korytarzach, moja obecność w placówce jest uzasadniona, ale nie wszystkie muszą mnie uchwycić. Ostrożność jest tym, z czego nigdy nie mogę zrezygnować.

W budynku B6, gdzie umiejscowiono głównie poradnie specjalistyczne, czuję się wyjątkowo swobodnie. W ciągu dnia jest tu spory ruch. Napływający z zewnątrz pacjenci robią niemałe zamieszanie, które potrafię wykorzystać.

Kiedy tylko uda mi się przechwycić jakąś kartotekę, przeglądam ją pobieżnie, by na szybko ją kserować, a gdy jest to trudne, zrobić zdjęcie komórką. Dopiero później siadam do pozyskanych dokumentów na spokojnie.

Dopisuje mi dziś mnóstwo szczęścia. Udaje mi się zrobić kopię kilkunastu kartotek, kiedy zwykle kończy się na zdjęciach dwóch, góra trzech dokumentacji. Wydaje mi się nawet, że mam już wstępny typ. Stan zdrowia pacjentki jest ogólnie dobry, cysty na jajnikach, które sprawiły, że trafiła do Poradni Ginekologicznej Epione, nie są schorzeniem, które eliminowałoby ją z udziału w moim eksperymencie. Niewykluczone, że to właśnie ona będzie następna.

Za jakiś czas, oczywiście. Na ten moment pozostaje mi perspektywa kolejnej próby na psie.

26

Mój odpoczynek kończy się na tym, że wiszę na telefonie. Najpierw usiłuję połączyć się z Arkiem, później z Jankowskim. Gdy wszystkie te próby spełzają na niczym, ledwo się powstrzymuję, żeby nie wsiąść do auta i jednak nie pojechać na komendę. Może Arek ciągle tam jest.

– Próbuję dodzwonić się do brata… – oznajmiam, gdy wreszcie policjant oddzwania. – Ale nie odbiera.

– Zwolniliśmy go zaraz po przesłuchaniu – zapewnia Jankowski.

Głośno wypuszczam powietrze z płuc. To oznacza jedno: Arek celowo się do mnie nie odzywa.

– No to gdzie on teraz jest? – pytam bardziej samą siebie.

– Opuścił budynek komendy jakąś godzinę temu.

Żegnam się z Jankowskim, zastanawiając się, jak inaczej mogłabym się skontaktować z bratem. Przeglądam media społecznościowe, choć wiem, że to bez sensu, Arek prawie się w nich nie udziela.

Sięgam po laptop i zaczynam przeglądać wszystkie serwisy informacyjne. Stale jednak zerkam na komórkę, żeby nie przegapić połączenia od Arka. Gdy wiadomości zaczynają się powtarzać, wracam do starych wydań. Wszędzie pada stwierdzenie, że zaginiona najprawdopodobniej dotarła pod szpital Epione, jednak nie udało się ustalić, czy weszła do któregoś z budynków.

Koncentruję się na wypowiedziach dotyczących kwestii szpitalnego monitoringu. Tym razem na ekranie komputera pojawia się twarz komisarza Łukasza Jankowskiego. To rzadki widok, policjant stroni od publicznych wypowiedzi.

– To znaczy, że na nagraniach nie widać, jak Weronika P. wchodzi do szpitala? – docieka jeden z dziennikarzy.

Reporterzy gęsto otaczają policjanta. Zdaje się, że dopadli Jankowskiego w biegu, rozpoznaję teren w pobliżu komendy.

– To znaczy, że nie udało się jednoznacznie ustalić, czy Weronika P. weszła do szpitala – powtarza śledczy.

– To dość mgliste stwierdzenie. Co wykazała analiza nagrań ze szpitalnego monitoringu?

– Powiedziałem już panu. – Policjant się irytuje. – I to dwukrotnie.

– Ustalenie ostatniego miejsca pobytu zaginionej wydaje się kluczowe w tej sprawie. – Reporter nie zamierza odpuścić.

Przy twarzy Jankowskiego znajduje się tyle mikrofonów, że nie sposób ich zliczyć. Poznaję logotypy kolejnych stacji radiowych i telewizyjnych.

– Zakładamy, że ostatnie miejsce pobytu zaginionej to okolice szpitala Epione – rzuca.

– Na jakiej podstawie? – Dziennikarz nie przestaje przypierać policjanta do muru. – Zeznań rodziny? Czy faktu, że miała zaplanowaną wizytę w Poradni Otolaryngologicznej na terenie szpitala?

– Ostatnie logowanie telefonu zaginionej wskazuje, że dotarła w okolice placówki.

– Ciągle słyszymy to samo – stwierdza z niezadowoleniem reporter. – Opinia publiczna chciałaby poznać szczegóły.

– A my ciągle podkreślamy, że sprawa jest w toku i dla dobra śledztwa zachowujemy większość ustaleń w tajemnicy – syczy Jankowski, już wyraźnie zły.

– Obywatele się niepokoją…

Jankowski zaciska mocno szczęki, drgają mu kąciki ust. Od opanowania rzecznika policji, którego ostatnio oglądałam, dzielą

komisarza lata świetlne. Byłam przekonana, że śledczy lepiej radzi sobie z trzymaniem nerwów na wodzy.

– Czy policja prowadzi dalsze działania w celu ustalenia, czy Weronika P. faktycznie dotarła do szpitala? – pada następne pytanie. Reporterzy zupełnie nie zwracają uwagi na rozdrażnienie funkcjonariusza.

– Oczywiście – zapewnia krótko.

– Jakie są to działania?

– Skończyliśmy. – Jankowski obraca się plecami i próbuje odejść. Dziennikarze oblepiają go jak muchy i zasypują gradem kolejnych pytań. Policjant prze naprzód, nie zważając na nikogo.

Ja tymczasem słyszę, że zaczyna chrzęścić klucz w zamku. Drgam niespokojnie, obracając głowę w kierunku korytarza. Kiedy drzwi się zatrzaskują, wracam spojrzeniem do ekranu laptopa.

Kroki są ciche i powolne, ostrożne, trochę jakby niezdecydowane. Po chwili szmery całkowicie ustają. Wiem, że Arek jest już w salonie. Milczy.

– Dlaczego to zrobiłeś? – pytam, kiedy nabieram pewności, że brat nie odezwie się pierwszy.

W odpowiedzi znów słyszę kroki. Ogarnia mnie niepokój. Nie powinnam mieć wątpliwości, kto wszedł do domu, bo drzwi były przecież zamknięte na klucz, a mimo to w odrętwiającym napięciu zerkam przez ramię, żeby ocenić sytuację. Ciarki przebiegają mi po plecach, kiedy widzę ciemną sylwetkę poruszającą się w kuchni. W pierwszej chwili wydaje mi się, że to Maurycy, szybko jednak przywołuję się do porządku i przepędzam te niedorzeczne myśli. Powinnam się rozluźnić, w domu jest człowiek, któremu ufam. A może ufałam?

Arek kręci się przy kuchennym blacie po ciemku, nie zapalił światła. Obserwuję go z obawą, która narasta we mnie z każdą sekundą. Brat nieprzerwanie milczy. Otwiera lodówkę, w kuchni robi

się jaśniej. Widzę go teraz lepiej. Kiedy sięga po butelkę wody mineralnej, zauważam, że jego ruchy są apatyczne i dziwnie sztywne.

Podnoszę się z kanapy, powoli i ostrożnie, jakbym nie była pewna, jak powinnam się zachować. Równie powściągliwie przechodzę do kuchni.

– Dlaczego to zrobiłeś? – powtarzam.

Arek zamyka lodówkę, jego sylwetka znów tonie w mroku. Wygląda dziwnie złowrogo, butelka, którą trzyma w dłoni, sprawia wrażenie ciężkiego narzędzia, którym z łatwością można pozbawić kogoś życia. Moja dłoń niemal bezwiednie wędruje na metalowy krzyż i zaciska się na nim w gotowości. Już raz stawiłam czoła człowiekowi, którzy chciał mnie skrzywdzić, nie chcę znów znaleźć się w podobnej sytuacji, ale niestety to nie ja rozdaję tutaj karty.

– Arek? – odzywam się, wciąż licząc, że napięcie, które wisi w powietrzu, uda się jakoś rozładować.

– Pamiętam, jak to przeżywałaś. – Brat wreszcie się odzywa. Unosi przy tym rękę, w otaczającej nas ciemności wygląda to, jakby brał zamach. Cios jednak nie pada, zamiast tego w kuchni robi się jasno. Ledy pod górnymi szafkami rozświetlają przestrzeń. – Pamiętam, ile nerwów kosztował cię każdy taki incydent.

Zakładam na piersi trzęsące się ręce. Byłam niemal pewna, że brat się na mnie rzuci.

– Chciałem ci tego oszczędzić.

– Zamierzałeś zmywać każdy napis, który się pojawi? – pytam, czując, jak moje mięśnie nieco się rozluźniają.

– Naprawdę nie wiem, co sobie wtedy myślałem – mówi Arek. – Wyszedłem z domu, zobaczyłem te bazgroły… To był impuls. Chciałem cię chronić. – Odkręca butelkę i pociąga łyk prosto z gwinta. – Było wcześnie, zwykle jeszcze śpisz o tej porze – tłumaczy dalej. – W szopie nie było ani odrobiny rozpuszczalnika, pognałem więc do obi. Sądziłem, że wyczyściłem drzwi, zanim się w ogóle obudziłaś.

Kiwam głową, bo to, co mówi, wydaje się sensowne.

– A wystarczyło sprawdzić, czy twoje auto stoi w garażu…

– Nie przyszło ci do głowy, żeby mi jednak o wszystkim powiedzieć? Gdy pojawił się kolejny napis? Gdy okazało się, że użyto krwi?

– Mówiłem ci, że Jankowski węszy po szpitalu. – Arek podnosi na mnie wzrok.

Czuję rozlewające się po moim ciele ciepło, które jeszcze do niedawna odebrałabym zupełnie inaczej. Kiedyś troskliwość brata mnie rozczulała, dziś jego zachowanie wydaje mi się zwyczajnie niezrozumiałe.

– Maglował lekarzy, pielęgniarki, wszystkich pracowników. Mnie szczególnie. Nie miałem wątpliwości, że jestem w jego kręgu podejrzanych. Chciałem ci powiedzieć, ale… – Arek ucieka spojrzeniem w bok. – Bałem się, że to rzuci na mnie jeszcze większe podejrzenia. Widziałem, że sprawa się komplikuje, że zaczynasz się poważnie zastanawiać, czy to czasem nie Maurycy wyczyścił te drzwi. Potem z kolei Jankowski zaczął brać pod uwagę, że może faktycznie ktoś Maurycego wrabia, a ja zostałem jednym z potencjalnych sprawców…

Brat wzdycha ciężko, kładzie ręce na biodrach, a głowę zwiesza między barki.

– Jestem zwyczajnym tchórzem – wyznaje. – Przepraszam. Chciałem cię chronić, a tylko dołożyłem ci zmartwień.

Nie wiem, co odpowiedzieć, bo tak to właśnie wygląda – Arek pogmatwał sytuację tak, że przestałam mu ufać.

Brat nie mówi nic więcej, bez słowa wycofuje się z kuchni. Nie zatrzymuję go, również w milczeniu obserwuję, jak idzie na górę. Sprawia wrażenie przybitego, domyślałam się, że Jankowski dał mu popalić podczas przesłuchania.

Stoję pośrodku kuchni ogarnięta bezradnością tak wielką, że trudno mi się poruszyć. Czuję się zawiedziona. Chcę wierzyć w dobre

intencje Arka i nie podoba mi się, że przychodzi mi to z tak wielkim trudem. Przygnębia mnie, że nasza więź została tak nadszarpnięta.

Dopiero terkoczący dzwonek do drzwi wyrywa mnie z tego swoistego letargu. Puls momentalnie mi przyspiesza i nawiedza mnie wizja wpadających do mojego domu policjantów. Wtedy przyszli po Maurycego, mimowolnie wyobrażam sobie, że dziś zjawiają się tutaj po Arka.

Gdy dzwonek brzęczy ponownie, ruszam do korytarza. Nie słychać nachalnego dobijania się do drzwi, żadnych stukotów ani nawoływań i to pozwala mi nieco poskromić atakujące mnie wizje. Zerkam przez wizjer, żeby sprawdzić, kto stoi po drugiej stronie.

Mrok panujący na zewnątrz zniekształca postać na schodach, po sylwetce wnioskuję jednak, że gość jest kobietą. Mimo że nie wydaje się mi się ona znajoma, od razu przychodzi mi na myśl, że to Kaśka. Skąd jednak miałaby wiedzieć, gdzie mieszkam?

Jak to skąd, prycham w duchu, przecież niemal wszyscy wiedzą, w którym domu mieszka jego żona. Żona potwora.

Otwieram drzwi, bo nieznajoma po raz kolejny naciska guzik dzwonka.

– Tak? – Spoglądam na nią, teraz, kiedy pada na nią światło z korytarza, mogę jej się lepiej przyjrzeć. Utwierdzam się w przekonaniu, że nigdy wcześniej nie widziałam kobiety na oczy.

– Pani Soboń? – pyta.

– Tak. W czym mogę pani pomóc? I kim pani jest?

– Julia Koziara – przedstawia się. – Jestem pielęgniarką, pracuję w Epione. Na Oddziale Otolaryngologicznym…

Moje tętno znów gwałtownie przyspiesza. Aż czuję bolesne pulsowanie w skroniach.

– Była pani dzisiaj w szpitalu – mówi dalej kobieta. – Słyszałam pani rozmowę z Martyną, ochroniarką. Wie pani, bo z tym monitoringiem jest tak, że niby policji nie udało się znaleźć momentu

nagrania, gdy ta zaginiona wchodzi do budynku szpitala. Nie wiem, może faktycznie nie udało się tego zrobić… Ale ja ją widziałam.

– Kogo? – Oddech więźnie mi w płucach.

– Tę kobietę. Zaginioną.

– Gdzie? – dukam.

– W Epione. W budynku B6.

– Dlaczego nie powiedziała pani o tym policji?! – Unoszę się, bombardowana gradem nowych emocji.

– Powiedziałam, oczywiście, że powiedziałam – zapewnia.

Nie wygląda na to, żeby pielęgniarka próbowała mnie oszukać, a mimo to pytam twardo:

– Komu? Jankowskiemu?

– Tak. Komisarz Jankowski przesłuchiwał wszystkich.

Mam wrażenie, że na moją pierś spadł tuzin pustaków, zaczerpnięcie tchu staje się piekielnie trudne. Wyczuwam, że pielęgniarka ma dobre intencje, ale samo przeczucie to za mało, żeby jej wierzyć.

– W mediach o tym nie mówią, policja trzyma szczegóły w tajemnicy – ciągnie tymczasem kobieta. – Ale pani wydała mi się tak zdesperowana, że zwyczajnie zrobiło mi się pani szkoda.

Przyglądam się pielęgniarce bez mrugania powiekami i usiłuję właściwie zinterpretować jej słowa.

– Nie wierzy pani, że Maurycy jest sprawcą? – pytam.

Kobieta kręci głową.

– Doktor Soboń był cudownym lekarzem, nie mógłby nikogo skrzywdzić – stwierdza. – Przychodził znieczulać dzieciaki przed zabiegami. Ktoś z taką cierpliwością do maluchów nie może być zły.

– Dziękuję – mówię z ulgą, która nieoczekiwanie na mnie spływa, zupełnie jakby deklaracja tej jednej kobiety zdjęła całe piętno z mojego męża. Prawda jest jednak taka, że pielęgniarka jest pierwszą

postronną osobą, która wyraźnie stoi po naszej stronie. – Dziękuję – powtarzam, roztkliwiona sytuacją.

– Proszę w to nigdy nie wątpić. – Kobieta uśmiecha się delikatnie. – Takich ludzi jak doktor Soboń jest teraz coraz mniej.

Kiwam głową w oszołomieniu.

– Ta kobieta dotarła do szpitala i mam nadzieję, że to da policji do myślenia – dodaje jeszcze.

Znów tylko kiwam głową.

– Nie będę pani więcej przeszkadzać. Pójdę już. Dobranoc. – Pielęgniarka obraca się na pięcie i rusza w stronę furtki.

– Dobranoc – mamroczę pod nosem. – I jeszcze raz dziękuję – wołam tylko odrobinę głośniej.

Kobieta unosi dłoń, a potem znika za bramką. Mija chwila, zanim zamykam drzwi. Wracam do salonu i przysiadam na kanapie. Doznaję uczucia tak wielkiego odrealnienia, że zaczynam powątpiewać w to, co przed chwilą miało miejsce. Jednocześnie usiłuję nie dać się myśli, że policja ukrywa fakty. Nie mogę postrzegać tego w taki sposób, przecież Jankowski nie musi mi o wszystkim mówić. Więcej, byłoby dziwne, gdyby postępował inaczej.

Sięgam po pilota, bo cisza, która panuje dookoła, zdaje się potęgować moje wewnętrzne rozedrganie. Włączam telewizor. Żadnych wiadomości, napominam się w duchu. Skaczę po kanałach w nadziei, że znajdę coś lekkiego, czym uda mi się skutecznie zająć głowę. Na próżno, bo na ekranie telewizora pojawia się twarz Pauliny Malczyk.

27

Oglądam relację szeroko otwartymi oczami. W pobliżu domu Malczyków roi się od reporterów. Samej nieruchomości jednak nie widać, policja pilnuje odpowiedniego dystansu.

– Wiemy tyle, że trwa przeszukanie domu – oznajmia dziennikarz. – I że został wydany prokuratorski nakaz zatrzymania Pauliny Malczyk.

Wpatruję się w ekran bez mrugnięcia.

– Czy to oznacza, że Paulina Malczyk, przypomnijmy, żona Michała Malczyka, jednego z porwanych, jest zamieszana w sprawę? – pyta prezenterka w studio.

– Wszystko na to wskazuje – odpowiada dziennikarz obecny na miejscu zdarzenia. – Policja jednak nie wydała do tej pory żadnego oficjalnego oświadczenia. Czekamy na konferencję prasową, z niepotwierdzonych doniesień wiemy, że jest planowana dopiero na jutro rano.

– Czy udało się zatrzymać Paulinę Malczyk? – pyta dalej prezenterka. – Kobieta była w domu, gdy zjawiła się tam policja?

– Tak. Paulina Malczyk była w domu. Nie udało się uchwycić momentu jej zatrzymania, ale wiadomo, że została przewieziona na komendę policji.

– Czyli rozumiem, że w tej chwili trwa jej przesłuchanie?

– Zakładamy, że tak.

– A co z jej mężem, Michałem Malczykiem?

– Mężczyzna również był w domu. Jak wiemy, jest sparaliżowany, służby zapewniają, że otrzymał odpowiednią opiekę.

– Co to właściwie oznacza?

– W tej chwili wiemy tyle, że został przetransportowany do szpitala.

– Dziękuję, Bartku, za te wszystkie informacje. Będziemy informować państwa na bieżąco o rozwoju wydarzeń, teraz jednak przenosimy się do studia, żeby zebrać pierwsze komentarze na gorąco.

Moje oszołomienie ani na moment nie słabnie. W pośpiechu szukam telefonu, ale jak na złość nie pamiętam, gdzie go zostawiłam. Gdy wreszcie znajduję komórkę, dzwonię do Dagi.

– Oglądasz?! – wykrzykuje, kiedy tylko odbieram połączenie.

– Tak – bąkam.

– To jest powalone na maksa! – wykrzykuje przyjaciółka, zanim zdążę powiedzieć cokolwiek więcej. – Malczykowa? Serio?

Długo dyskutuję z Dagą, która z nas jest bardziej zszokowana relacjonowanymi w telewizji zdarzeniami. Kiedy wreszcie się rozłączamy, zmieniam kanał. Oglądam relację spod domu Malczyków w wykonaniu innej stacji telewizyjnej i czuję, że to naprawdę jakieś szaleństwo. Nie potrafię pozbyć się wrażenia absurdu.

Zmieniam kanał. Kolejne relacje niczym się od siebie nie różnią, w kółko słyszę to samo. Kiedy jestem przekonana, że już niczego nowego się nie dowiem, idę na górę. Do Arka. Pukam do pokoju brata, trawiona przez wyrzuty sumienia. Wstyd mi, że podejrzewałam go o najgorsze.

– Arek, musisz obejrzeć wiadomości – informuję, gdy mi otwiera.

– Olga… jutro – mówi. Na jego twarzy maluje się zmęczenie.

– Nie, Arek. Teraz!

28

Zasnęłam na kanapie. Nie wiem, która była godzina, gdy opadły mi powieki, ale musiało być późno, bo skończyły się wszystkie serwisy informacyjne.

Arek obejrzał ze mną dwa wydania, prawie się nie odezwawszy. Widziałam, że jest równie poruszony sytuacją jak ja.

Zerkam na zegar, brat jest w pracy już od dobrych dwóch godzin. Sprawdzam, o której zaplanowano konferencję prasową w sprawie Pauliny Malczyk. Wczoraj nie podano konkretnej godziny. Teraz już wiadomo, że odbędzie się o jedenastej.

Wstaję, żeby się trochę ogarnąć, zanim na nowo zasiądę przez telewizorem. Myję twarz, szczotkuję zęby i czeszę włosy, zastanawiając się, kto pojawi się na konferencji. Wczoraj wspominano o komendancie wojewódzkim krakowskiej Policji, ale nie zdziwiłabym się, gdy wystąpił ktoś jeszcze wyżej postawiony.

Przeczucie mnie nie zawodzi, na konferencji zjawia się sam komendant główny. Mężczyzna jest przysadzistej budowy, łysy z krzaczastymi brwiami. Zasiadając przy podłużnym stole, zagarnia swoją sylwetką sporo przestrzeni. Minę ma jednak nietęgą.

– Dzień dobry państwu – wita zgromadzonych w sali dziennikarzy donośnym głosem. – Dziękuję za liczne przybycie. Spotykamy się tutaj, żeby wyjaśnić sytuację… – Mężczyzna przerywa i odchrząkuje. Napięcie wisi w powietrzu, atmosfera jest bardzo nerwowa. – Paulina Malczyk po wczorajszym przesłuchaniu została zwolniona do domu.

Otwieram usta ze zdziwienia, a w pomieszczeniu, gdzie zorganizowano spotkanie, podnosi się wrzawa. Dziesiątki zadawanych jednocześnie pytań zlewają się ze sobą w niezrozumiały hałas.

– Proszę o spokój – odzywa się kobieta najpewniej odpowiedzialna za organizację spotkania. – Proszę o ciszę! – mówi głośniej. – Proszę państwa, proszę pozwolić komendantowi wygłosić oświadczenie. Zapewniam, że będzie czas na pytania.

W sali zapanowuje względny spokój.

– Rozumiem emocje – odzywa się na nowo komendant. – Sprawa jest niezwykła, więc i budzi nadzwyczajnie silne reakcje. Istniały przesłanki, by sądzić, że Paulina Malczyk jest zamieszana w sprawę krakowskich zaginięć, stąd wczorajsze działania Policji. Nadrzędnym zadaniem formacji jest ochrona obywateli, zapewnienie im bezpieczeństwa. Niestety tym razem wnioski, do których doszli śledczy prowadzący dochodzenie, okazały się błędne. Paulinę Malczyk zwolniono do domu, a śledztwo toczy się dalej.

Zakrywam usta dłonią, choć w gruncie rzeczy to, co słyszę, nie powinno być dla nikogo zaskoczeniem. Przecież mąż Pauliny Malczyk to jedna z ofiar! Rozumiem już nietęgą minę komendanta, kiedy wchodził do sali. To, co się wydarzyło, będzie ciągnęło się za nim już zawsze. Niewykluczone nawet, że straci stanowisko.

– Daria Konieczny, Polsat News. – Zaczynają się pytania od dziennikarzy. Trzeba przyznać, że oświadczenie komendanta nie było zbyt obszerne, ale dlaczego miałoby być inne. Kto by chciał rozwodzić się nad popełnionymi błędami. – Powiedział pan, że istniały przesłanki, żeby sądzić, iż Paulina Malczyk jest zamieszana w sprawę krakowskich zaginięć. Jakie to były przesłanki? Co takiego skłoniło policję do wtargnięcia do domu de facto poszkodowanej, a prokuraturę do wydania nakazu przeszukania?

– W tej chwili podobne szczegóły nadal pozostają objęte tajemnicą prowadzonego dochodzenia – odpowiada komendant. – Jak wspomniałem, śledztwo toczy się dalej.

– Należy rozumieć, że decyzja była pochopna czy że to zwykła niekompetencja? – naciska dziennikarka.

– Nikt nie jest nieomylny, pani redaktor. Organy ścigania zawsze działają w obronie obywateli. Gdyby sytuacja była odwrotna, mielibyśmy pewne przesłanki, ale nic z nimi nie zrobili, to czy byliby państwo zadowoleni z działania służb, które mają za zadanie zapewnić państwu bezpieczeństwo?

– Wojciech Pasek, RMF FM – przedstawia się kolejny dziennikarz. – Oczywiście, że zadaniem policji jest weryfikowanie pojawiających się podejrzeń czy przesłanek, jak pan to ujął, ale przecież to nie pierwszy raz, gdy uzbrojeni policjanci wchodzą do domu niewinnych ludzi. W tym konkretnym przypadku jest to o tyle dramatyczne, że zaatakowaliście pokrzywdzoną. Czy to nie obnaża nieudolności policji? I czy nie uważa pan, że najwyższa pora coś w tej kwestii zrobić?

Komendant odpowiada na zadane mu pytanie, a ja zastanawiam się, jak w tej chwili musi się czuć Paulina Malczyk. Nie wyobrażam sobie, co ta kobieta teraz przeżywa. Brutalnie okaleczono jej męża, a teraz jeszcze padła ofiarą tragicznej pomyłki. Współczuję jej bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, wiem, jak bolesne są oszczerstwa i że raz rzucone, już nigdy nie znikają.

– Czy możemy spodziewać się w najbliższym czasie, że ktoś poniesie personalną odpowiedzialność za tę olbrzymią kompromitację Policji? – pyta jeszcze inny dziennikarz.

– W tej chwili nie zostały podjęte tego typu decyzje. Oczywiście sprawa będzie analizowana. Są jeszcze jakieś pytania? – Komendant sprawia wrażenie, że chciałby już zakończyć konferencję, choć przecież ledwo się ona zaczęła.

– Antoni Kosicki, „Super Express" – zgłasza się kolejny reporter. – Panie komendancie, proszę opowiedzieć o wyniku przeszukania domu państwa Malczyków. Co tam znaleziono?

– Nic, co obciążałoby małżeństwo, a precyzyjnie rzecz ujmując, panią Malczyk. – Komendant poczerwieniał na twarzy. Nietrudno się zorientować, że temat jest dla niego skrajnie niewygodny.

– Co w takim razie spodziewano się tam znaleźć? – Dziennikarz nie ustępuje.

– W tym momencie nie możemy tego ujawnić. Jeszcze jakieś pytania?

– Ewelina Przydzielska, Polskie Radio. – Od razu zgłasza się następna reporterka. – Chciałabym się dowiedzieć, co w tej chwili dzieje się z Pauliną Malczyk oraz jej mężem. Wiemy, że wczoraj Michał Malczyk trafił do szpitala. Dlaczego?

– Paulina Malczyk, tak jak powiedziałem na początku, została zwolniona z aresztu, wróciła do domu. Co do jej męża: Michała Malczyka przewieziono do szpitala w celu oceny jego kondycji zdrowotnej.

Organizatorka kończy konferencję, choć dziennikarze deklarują, że mają jeszcze mnóstwo pytań do komendanta. Zwierzchnik Policji wstaje jednak od stołu i wychodzi z sali. W pomieszczeniu wrze, reporterzy głośno okazują swoje niezadowolenie.

– Cóż, kompromitacja jest duża, nikt nie lubi rozmawiać o porażkach – komentuje prezenterka w studio TNV24, do którego przenosi się wizja. – A teraz posłuchajmy, co o stanie zdrowia Michała Malczyka ma do powiedzenia lekarz, który wczoraj przyjmował mężczyznę.

– Pacjent trafił do nas ze śladami zaniedbania – mówi doktor Emil Jabłoński. – Jest niedożywiony, ma odleżyny, a ogólny stan jego higieny pozostawia wiele do życzenia – oświadcza, po czym w programie wybucha żywa dyskusja o wsparciu państwa. Zaproszeni goście zwracają uwagę, że Paulina Malczyk została pozostawiona sama sobie z wymagającym praktycznie całodobowej opieki mężem. Na zrezygnowanie z pracy nie mogła sobie pozwolić, bo zasiłki dla osób, które opiekują się swoimi niepełnosprawnymi bliskimi, są śmiesznie niskie. Z pensji salowej nie stać jej z kolei na opłacenie kogoś do pomocy. Dyskutujących wcale nie zaskakuje to, że przy

obecnych kosztach życia i sytuacji, w jakiej znalazła się Paulina Malczyk, u jej męża dopatrzono się pewnych zaniedbań.

– Ta sprawa pokazuje, w jak koszmarnej sytuacji są osoby z niepełnosprawnością i ich bliscy w naszym kraju – tłumaczy jedna z komentatorek w studiu. – Potrzebujemy rozwiązań systemowych. Takich, które pozwolą godnie żyć osobom wymagającym opieki, ale także tym, którzy tę opiekę sprawują.

Reszty dyskusji słucham, obracając komórkę w dłoniach. Wczorajsze wtargnięcie policji do domu Malczyków przyćmiło to, czego wcześniej dowiedziałam się od pielęgniarki, która zjawiła się w moim domu. Dzwonię do Dagi, żeby zweryfikować tożsamość kobiety. Zanim udaje mi się o nią zapytać, przyjaciółka komentuje konferencję prasową. Nie miała okazji oglądać, ale zdążyła się dowiedzieć, co komendant główny ma do powiedzenia w sprawie.

– Daj mi chwilę, sprawdzę to – mówi, kiedy wreszcie zagaduję ją o pielęgniarkę. – I odzwonię do ciebie. – Rozłącza się, zanim powiem coś więcej.

Mija zaledwie kwadrans i znów rozmawiam z Dagą. Wszystko się zgadza, wprawdzie przyjaciółka nie zna osobiście kobiety, która się wczoraj u mnie zjawiła, jednak na Oddziale Otolaryngologicznym rzeczywiście pracuje Julia Koziara. Siłą rzeczy mówię Dadze, z jakimi rewelacjami do mnie przyszła.

– A może to ta Julia doniosła na Malczykową! – wykrzykuje Daga.

Wykrzywiam usta, całkowicie zbita z tropu.

– Doniosła na Malczykową, a do ciebie przyszła, twierdząc, że widziała zaginioną w szpitalu!

– Ale o czym miałaby donieść na Malczykową? I po co? – Dywagacje Dagi wydają mi się równie niedorzeczne jak wczorajsze działania policji.

– Bo to ona za wszystkim stoi!

Krzywię się jeszcze bardziej. Zaledwie wczoraj przyjaciółka zarzucała mi przesadę, a teraz sama popada w absurd.

– Nie wydaje ci się to dziwne? Przyszła do twojego domu, by ci powiedzieć, że widziała zaginioną w szpitalu? – Daga obstaje przy swoim.

– Może ją wkurza to, że Jankowski nic nie robi z ich zeznaniami – rzucam.

– No co jak co, ale akurat bezczynności nie możesz mu zarzucić. – Daga się śmieje. – Boże, ale oni musieli zszargać nerwy tej biednej kobiecie.

– Nawet nie chcę sobie tego wyobrażać – zgadzam się z przyjaciółką.

– Ciekawe, co w takim razie z Jankowskim. Może odsuną go od sprawy.

– Myślisz? – Faktycznie komisarz znalazł się w nieciekawej sytuacji.

– No po wczorajszej wtopie to raczej nie byłoby to wielkim zaskoczeniem – podsumowuje Daga.

29

Parzę kawę i siadam z nią przy kuchennej ladzie. Zastanawiam się, czy nie powinnam pójść za przykładem Pauliny Malczyk. Mogłabym przecież przekazać mediom to, czego się wczoraj dowiedziałam od pielęgniarki z Epione. Może reporterzy zrobiliby z tego odpowiedni użytek. Polskie dziennikarstwo śledcze ma się przecież całkiem nieźle.

– Hej – słyszę. W kuchni zjawia się Arek.

Jego obecność w domu jest dla mnie tak wielkim zaskoczeniem, że o mało nie upuszczam filiżanki.

– To ty nie jesteś w pracy? – pytam z największym zdumieniem.

– Zamieniłem się dyżurami.

– To tak można? – Nie przestaję się dziwić.

– A dlaczego nie? – Zabiera się do parzenia kawy, a ja mam wrażenie, że ekspres działa dziś wyjątkowo głośno.

– A po co? – pytam.

– Co po co?

– Dlaczego zamieniłeś się dyżurami?

Arek nie odpowiada na moje pytanie. Wracamy do punktu wyjścia – jego milczenie na nowo rozbudza moje obawy.

Kiedy odebrano go naszym biologicznym rodzicom, miał pęknięty łuk brwiowy i złamane żebro. Lali go. Często i okrutnie. Interwencja młodziutkiej policjantki, z zaledwie kilkutygodniowym stażem, uratowała mu życie. Nie tylko dosłownie, bo przecież nawet gdyby nie zakatowano Arka na śmierć, to jego start w dorosłość w tamtej rodzinie byłby co najmniej marny. Zastanawiam się, jak tamten czas, naznaczony bólem fizycznym i nie mam złudzeń, że również

psychicznym, w rzeczywistości wpłynął na Arka. Trudne doświadczenia starali mu się wynagrodzić rodzice adopcyjni, ale czy ich dobro i miłość zdołały trwale usunąć powstałe rany? Może tylko się zabliźniły, a potem uśpione czekały na jakiś moment, by znów zacząć się jątrzyć.

– Nie powiesz mi, dlaczego zamieniłeś się dyżurami?

– Serio, Olga? Od teraz mam ci się spowiadać?

Zaciskam usta w wąską kreskę, bo tak, właściwie nie miałabym nic przeciwko. Nigdy nie kontrolowałam brata, a mimo to zupełnie naturalnie wychodziło, że wiedzieliśmy o swoich poczynaniach niemal wszystko. Bo rozmawialiśmy ze sobą. Bo darzyliśmy się wzajemnym zaufaniem. Kłuje mnie w piersi na myśl, że teraz jest zupełnie inaczej. Czy słusznie? I czy tak będzie już zawsze?

– Do tej pory nie mieliśmy przed sobą tajemnic – mówię przygaszona.

Brat otwiera usta. Oczekuję zapewnień, że nic się między nami nie zmieniło, ale zamiast tego Arek pyta:

– Kto tu wczoraj był?

– Pomyłka – rzucam tylko. Przestałam ufać Arkowi na tyle, że wolę wszystko, co dotyczy sprawy Maurycego, zachować dla siebie.

Arek nie docieka, choć skoro podjął ten temat, to z pewnością zainteresowałyby go szczegóły.

Brat bierze filiżankę kawy i upija łyk, a potem pyta:

– Mówisz wszystko Dadze, prawda?

Otwieram szeroko oczy ze zdumienia.

– Przyjaźnicie się, wiem.

– Skąd więc to pytanie?

– Daga była wczoraj na moim oddziale, co zwykle się nie zdarza – oświadcza Arek. – Na innych oddziałach też ją widziano. Kręci się po szpitalu.

– Co ty chcesz mi powiedzieć? – pytam ostro.

– To musi być ktoś ze szpitala. Nie ma innej możliwości.

Wstaję z krzesła i bez słowa wychodzę z kuchni. Bardzo chcę wierzyć w dobre intencje brata, ale przychodzi mi to z coraz większym trudem. Nie potrafię opędzić się od myśli, że to, co przed chwilą od niego usłyszałam, nie było niczym innym jak próbą odsunięcia od siebie podejrzeń. Nieudolną, ale jednak.

Bunkruję się w swoim pokoju, zaraz jednak wracam na dół, bo dzwoni moja komórka. Zostawiłam ją w kuchni.

– Hej – odbieram połączenie od Dagi. Arka nie ma już w pobliżu.

– Słuchaj, w Poradni Otolaryngologicznej, tak jak przypuszczałyśmy, są kamery na korytarzach – oznajmia przyjaciółka. – Popytałam też i wychodzi na to, że to standard przyjęty przez szpital. Korytarze są objęte monitoringiem, z kolei sale operacyjne, gabinety zabiegowe i lekarskie nie, oczywiście ze względu na komfort pacjentów i tajemnicę lekarską. Przeszłam się po kilku oddziałach i w praktyce faktycznie tak to wygląda w budynku B6. Zresztą w pozostałych budynkach też.

– Byłaś w innych budynkach?

– No tak.

– Po co? – pytam podejrzliwie.

– Jak to: po co? – Daga wydaje się zbita z tropu.

– Dlaczego się tym interesujesz?

– Ja? – dziwi się. – Przecież to ty się tym interesujesz!

Otwieram usta, ale nie wypowiadam ani słowa, bo przecież to ja wydzwaniałam do Dagi i wypytywałam o różne kwestie dotyczące szpitala. Umówiłyśmy się, że przyjaciółka sprawdzi budynek B6, skoro przyjrzała się pozostałym, to powinnam być jej tylko za to wdzięczna.

Muszę ochłonąć. Stres sprawia, że zachowuję się niedorzecznie.

– Sorry – rzucam, gdy uświadomię sobie bezzasadną opryskliwość wobec przyjaciółki. – I dzięki, że chciało ci się to sprawdzić.

– Spoko – rzuca Daga, słyszę jednak, że jest urażona.

– Nie gniewaj się na mnie. Ostatnio jestem kłębkiem nerwów.

– Spoko – powtarza. – Wszystko rozumiem.

Pulsowanie w moich skroniach się wzmaga, kiedy Daga się rozłącza. Wygląda na to, że mimo swoich zapewnień jest nadąsana. Odkładam telefon przygnębiona. Jest mi tak źle, że przenoszę się do gabinetu Maurycego. Opadam ciężko na fotel, przymykam oczy, żeby nie złapać kontaktu wzrokowego z Buką albo z pustymi oczodołami glinianego szkieletu, i próbuję się uspokoić.

Siedzę w gabinecie Maurycego aż do chwili, kiedy rozlega się trzaśnięcie drzwi. Podnoszę się z fotela i schodzę na dół. Gdy docieram do kuchni, rozlega się warkot silnika. Wyglądam przez kuchenne okno na zewnątrz, Arek właśnie wyjeżdża z posesji. Zamienił się dyżurami. Niby nic takiego, a jednak nie daje mi to spokoju.

Samochód brata znika mi z oczu. Wyjmuję komórkę z kieszeni i zaczynam buszować po internecie. Po chwili znajduję potrzebny mi numer telefonu, wybieram go i czekam na połączenie. Nikt nie odbiera. Muszę uzbroić się w cierpliwość, dodzwonienie się do pokoju lekarskiego nigdy nie jest łatwe.

Żołądek głośno mi przypomina, że najwyższa pora coś zjeść. Przygotowuję prostą kanapkę i parzę kolejną kawę, stale próbując dodzwonić się do pokoju lekarskiego na Oddziale Anestezjologii i Intensywnej Terapii, gdzie zatrudniony jest Arek. Po ponad godzinie wreszcie mi się udaje.

– Słucham. – Głos w telefonie jest niski i oschły. Chyba nawet trochę rozzłoszczony.

– Dzień dobry. Czy mogłabym rozmawiać z doktorem Arkadiuszem Siewką?

– Nie ma go – odburkuje lekarz.

– Czyli jest w tej chwili na sali operacyjnej?

– Nie. Doktor Siewka pracuje na dziennym dyżurze.

Oblewa mnie zimny pot, bo wygląda na to, że Arek mnie okłamał.

– A nie zamienił się dyżurami w tym tygodniu? – dociekam, z nadzieją, że lekarzowi coś umknęło.

– Nie, skąd. Poza tym doktor Siewka jest w tym tygodniu na urlopie.

– Na urlopie? – pytam, próbując ukryć osłupienie. Chyba mi to nie wychodzi, bo mężczyzna odpowiada:

– Tak, proszę pani. Lekarze też czasem biorą urlop.

– Tak, jasne, oczywiście, że tak. – Machinalnie próbuję przekonać rozmówcę, że źle mnie zrozumiał.

– Coś jeszcze? – rzuca doktor skrajnie nieprzychylnym tonem.

– Yyy nie, nie, to wszystko. Dziękuję. – Odsuwam komórkę od ucha.

Atakują mnie kolejne fale ciepła. Nim zdążę odłożyć telefon na blat, rozdzwania się. Zerkam na wyświetlacz, dzwoni Jankowski.

– Halo. – Przykładam telefon do ucha bardzo ostrożnie, jakby aparat mógł mi wyrządzić krzywdę.

– Dzień dobry, pani Soboń – wita mnie policjant. – Mam dobre wieści.

– O – wyrywa mi się.

– Wiemy, kto pobazgrał pani drzwi.

– To pan dalej zajmuje się tą sprawą? – wypalam.

– Tak – odpowiada krótko Jankowski.

Czekam, ale nie podaje mi żadnych szczegółów. Pytam więc:

– Kto to taki?

– Katarzyna Kulczyk – informuje.

Szczęka mi opada. Skreśliłam przecież Kaśkę.

– Jest pan pewien? – dukam, machinalnie unosząc dłoń i zaciskając ją na miedzianym krzyżu.

– Tak. Przyznała się.

– Sama?

– Zgadza się. Zgłosiła się do nas i przyznała, że dwukrotnie pobazgrała pani drzwi.

– Powiedziała… – zacinam się. Głos więźnie mi w gardle. Muszę odchrząknąć. – Powiedziała dlaczego?

– Owszem – odpowiada krótko Jankowski.

– To znaczy? – Znów chrząkam.

– Nie chciała, żeby się pani znowu upiekło.

Oddech mam jeszcze cięższy. Zaciskam palce mocniej na wisiorze. Smugi krwi na drzwiach nie mogły być przypadkowe, od początku nie powinnam mieć w tej kwestii żadnych wątpliwości.

– Niestety nie była zbyt wylewna, ale podejrzewam, że chodzi jej o to, że pięć lat temu nie udało się schwytać pani męża, a teraz znów zaginęła kobieta.

Słucham wywodów komisarza pobladła ze strachu.

– Wygląda na to, że Katarzyna Kulczyk jest przekonana, iż działa pani w zmowie z mężem. Trochę to wszystko bez sensu, nie da się jednak ukryć, że równowaga psychiczna tej kobiety jest nieco zaburzona, łatwo się też zorientować, że wyjątkowo pani nie lubi. Może miały panie jakiś zatarg w przeszłości?

Milczę.

– Zna pani panią Kulczyk? – pyta, a ja dalej nic nie mówię. Oczami wyobraźni widzę się już w więziennej celi. – Pani Soboń, jest pani tam?

– Tak. Coś przerwało – kłamię.

– Zna pani Katarzynę Kulczyk?

– Nie.

Nie wiem, czy mijanie się z prawdą to dobra decyzja, ale w tej chwili nie jestem w stanie podjąć innej. Za bardzo się boję, że policja zacznie rozgrzebywać moją przeszłość.

– Proszę się zastanowić, czy to nazwisko jednak czegoś pani nie mówi. – Jankowski drąży temat. – Może się okazać, że jednak pani zna

panią Kulczyk.

– Nie wydaje mi się.

– Kulczyk to nazwisko po mężu. Jako panna nazywała się Józefowicz.

Już mam iść w zaparte, ale dociera do mnie, że podążając tą drogą, mogę tylko sobie zaszkodzić. Jankowski z pewnością łatwo dojdzie do tego, że kłamię.

– Józefowicz? To znam – mówię więc. – Znam Katarzynę Józefowicz.

– Tak przypuszczałem – stwierdza. – Za podobne incydenty naprawdę mało kiedy odpowiadają osoby zupełnie obce. Skąd się panie znają?

Opowiadam policjantowi o tym, że poznałam Kaśkę w domu dziecka i przez pewien czas się kumplowałyśmy. Naturalnie pomijam, co zakończyło naszą przyjaźń.

– Złoży pani doniesienie na panią Kulczyk?

– Doniesienie? – Tak bardzo koncentruję się na tym, żeby nie wyjawić niechcianych szczegółów ze swojej przeszłości, że nie rozumiem pytania komisarza.

– Zniszczenie mienia. Słowne znieważenie – podpowiada mi.

Zaciskam usta. Składanie doniesienia nie wchodzi w grę, nie chcę, żeby policja zaczęła się interesować naszą znajomością.

– Jeśli chce pani, żeby Katarzyna Kulczyk poniosła konsekwencje, musi pani złożyć doniesienie – instruuje mnie.

– Przemyślę to – rzucam.

– Zachęcałbym, żeby pani to zrobiła. Jeśli nie będziemy odpowiednio reagować, podobne incydenty mogą się nigdy nie skończyć.

– Przemyślę to – powtarzam, po czym kończę rozmowę z komisarzem.

30

Czekam, aż Arek wróci z pra... Aż Arek wróci do domu. Czas wypełniam sobie głupotami, buszuję po mediach społecznościowych w nadziei, że uda mi się nieco od tego wszystkiego odciąć. Okazuje się jednak, że znowu szukam w sieci Kaśki. Na szczęście nie trafiam na jej profil.

Zastanawiam się, czy jest sens, żebym ponownie złożyła wizytę dawnej przyjaciółce. Decyzja jest trudna. Jestem wdzięczna Kaśce, że mnie nie wydała. Mogła donieść policji, co zrobiłam wtedy, kiedy byłyśmy nastolatkami, teraz też miała do tego idealną okazję. Z jakiegoś powodu nie zrobiła tego. Boję się, żeby nie zmieniła zdania.

Arek wraca do domu późno, gdy już leżę w łóżku. Obliczam, że w sumie nie było go w domu siedem godzin. Za mało na pełny dyżur, przestaję się zatem łudzić, że lekarzowi, z którym rozmawiałam przez telefon, coś się pomyliło. Rozważam jeszcze to, że w grę wchodzi prywatny szpital, tego typu placówki rządzą się swoimi prawami. Tyle że Arek nigdy nie pracował tak krótko. Gdzie więc był i co robił?

Analizuję, jak mogło to wyglądać podczas poprzednich zaginięć, tych sprzed pięciu lat. Tak dużo się wtedy działo, że raczej nie miałam głowy do zastanawiania się nad godzinami, które Arek spędza w szpitalu. Wtedy nic nie wzbudziło moich podejrzeń.

Cisza kłuje mnie w uszy, Arek zachowuje się niemal bezszelestnie. Wszystko jest w najlepszym porządku i brat po prostu nie chce mnie obudzić albo... Wzdycham. Albo nie chce, żebym wiedziała, o której wrócił do domu.

Leżę nieruchomo, bo jakkolwiek wygląda prawda, wolę, żeby nie zorientował się, że nie śpię. Cisza dookoła mnie staje się ciężka,

w pewnym momencie wydaje mi się, że Arek stoi po drugiej stronie drzwi i nasłuchuje dźwięków z mojego pokoju.

Po dłuższej chwili wybudzam telefon i sprawdzam godzinę, dochodzi północ. Leżę dalej, niewiele się ruszając. Czterdzieści minut później ciśnie mnie na pęcherz tak bardzo, że nie ma szans, żebym nie skorzystała z toalety. Oceniam, że Arek powinien już być w swoim pokoju.

Wyślizguję się z łóżka, nadal dbając o to, żeby robić jak najmniej hałasu. Drzwi są dobrze naoliwione, więc nie skrzypią. Wychodzę na korytarz, jednak zamiast skierować się do łazienki, unoszę głowę i zerkam na schody prowadzące na poddasze. Z piętra nade mną bije łuna światła. Żołądek podchodzi mi do gardła, bo jest na to tylko jedno wyjaśnienie.

Ruszam w stronę schodów powoli, wciąż starając się przemieszczać bezdźwięcznie. Surowe stopnie z mikrocementu temu sprzyjają, mogę sobie tylko wyobrazić, jak wyglądałby mój wysiłek, gdyby zostały wyłożone drewnem.

Drzwi do gabinetu są uchylone, nie na tyle, żebym mogła się przez nie przecisnąć, ale za to wystarczająco, aby wsunąć do środka głowę. Zaglądam do pokoju i widzę wystającą ponad krawędź biurka czuprynę ciemnych włosów. Zaciskam mocno pięści, zgodnie z moimi podejrzeniami Arek znów buszuje po gabinecie. Po cichu i pod osłoną nocy.

Wycofuję się najciszej, jak się da. Stąpam bardzo powoli, odwracam się dopiero, kiedy docieram do schodów. Na dół również schodzę niespiesznie, żeby nie narobić hałasu, który mógłby zaalarmować Arka.

Wracam do swojego pokoju na paluszkach i ostrożnie zamykam drzwi. Obejmuję głowę rękami i chodzę po pokoju od jednej ściany do drugiej. Co Arek tam robi? Czego szuka? Do czego to coś jest mu potrzebne? Pytania mnożą się bez końca, a z każdym kolejnym skóra

coraz bardziej mnie mrowi. Czy naprawdę osobą, której nie powinnam ufać, jest Arek?

Noc spędzam na czuwaniu. Chwilami przysypiam, ale budzi mnie najcichszy szelest. Wystarczy, że wiatr mocniej uderzy w okno, i podrywam się jak rażona piorunem. Raz nawet wyglądam na zewnątrz, na ogród, bo dręczy mnie przeświadczenie, że ktoś kręci się wokół domu. Oczywiście nikogo nie zauważam, a na polach za posesją panuje niczym niezmącony spokój. Ilekroć tak wpatruję się w okno, wyobraźnia podsuwa mi niepokojące obrazy. Na jednym z nich Maurycy tam jest, stoi gdzieś pośrodku pola, dokładnie naprzeciw okna mojej sypialni, i wpatruje się w nasz dom.

Dłuższy moment snu łapię dopiero nad ranem, ale budzę się nagle, z szybko bijącym sercem. Zastanawiam się, co mnie tak wystraszyło, sen, którego w tej chwili nie pamiętam, czy coś realnego. Nasłuchuję, ale w domu jest cicho.

Podnoszę się z łóżka z pulsującym bólem głowy i ciężkimi powiekami. Wychodzę na korytarz własnego domu, jakbym trafiła do obcego miejsca, gdzie grozi mi niebezpieczeństwo. Schodzę do kuchni i unoszę rękę, żeby włączyć ekspres, zatrzymuję ją jednak w powietrzu tuż nad przyciskiem, jakbym się bała, że narobię za dużo hałasu. To niedorzeczne, wiem, ale kiedy przyciskam guzik i sprzęt budzi się do życia, mrowi mnie skóra na karku, a drobne włoski na przedramionach stają mi dęba. Nigdy się tak nie czułam w tym domu. To miejsce było moim azylem, bezpieczną przystanią. W najgorszych momentach, kiedy atakowano mnie niemal ze wszystkich stron, kiedy policja nie dawała mi spokoju, dziennikarze nękali bez litości, a przypadkowi ludzie pluli mi w twarz, w murach tego domu miałam poczucie bezpieczeństwa. Dziś jest zgoła odmiennie, bo już sama nie wiem, z kim właściwie mieszkam pod jednym dachem.

– Zaparzysz też dla mnie? – Włoski na przedramionach znów stają mi dęba, kiedy słyszę głos Arka.

Bez słowa wyjmuję drugą filiżankę. Uderza o blat z głośnym brzękiem, o mało nie wypuściłam jej z dłoni. Spoglądam ukradkiem na swoje ręce, trzęsą się. Zaciskam je w pięści, przede wszystkim po to, żeby Arek nie zauważył tego drżenia. Jeśli faktycznie mieszkam z mordercą, to tym bardziej nie mogę pozwolić sobie na tchórzostwo. To ja zaprosiłam Arka do naszego życia, to ja ściągnęłam na nas nieszczęście.

– Jak praca na wieczornym dyżurze? – pytam, nie odwracając się od blatu, na którym ustawiony jest ekspres. O dziwo brzmię spokojnie i nie jąkam się. Zaciskam mocniej palce, tym razem na uchwycie filiżanki, aby tak zostało. Jeśli mam jakoś to wszystko znieść, to tylko zachowując zimną krew.

– W porządku – odpowiada krótko.

Czuję obecność Arka tuż za swoimi plecami. Robi mi się zimno i gorąco na przemian, nogi mi drżą. Boję się. Naprawdę się boję własnego brata.

Arek sięga po filiżankę z kawą, jego ręka jest tak blisko mnie, że aż się wzdrygam. Mimowolnie robię unik, jakbym się obawiała, że zostanę zaatakowana.

– Wszystko dobrze, Olga?

– Tak. – Pociągam łyk kawy. – Tylko źle spałam – tłumaczę się.

Brat odsuwa się nieco ode mnie, od razu jest mi łatwiej oddychać.

– A łykasz temazepam? – chce wiedzieć.

Po co? – pytam go, ale tylko w myślach. Żebyś po nocach mógł bez przeszkód buszować po gabinecie Maurycego?

– Sporadycznie – odpowiadam na głos.

Brat kiwa głową.

– Może dobrze byłoby pomyśleć o czymś na stałe? – proponuje. – W sensie na ten czas, co tu dużo mówić, trudny.

Zdobywam się na odwagę i obracam się w stronę Arka. Palce wciąż mocno zaciskam na uchu filiżanki. Chciałabym, żeby mi się tylko

wydawało, ale nie jestem w stanie odrzucić myśli, że brat chce zaćmić moją koncentrację lekami.

– Mogę ci coś przepisać – mówi, jedynie pogłębiając moje obawy. – Zanim zdecydujesz się na wizytę u specjalisty. Albo umówię cię z Iwoną. Ostatnio okazała się bardzo pomocna, prawda?

– Naprawdę uważasz, że jest mi to potrzebne?

Arek przenosi na mnie spojrzenie, wygląda na skołowanego.

– Masz trudny czas, mówisz, że kiepsko śpisz – wymienia. – Uważam, że nie ma sensu się męczyć.

Kiwam tylko głową.

– A dziś jedziesz do pracy? – próbuję zmienić temat.

– Jadę.

– Znów po południu?

– Zamieniłem się dyżurami – przypomina mi.

Zerkam na brata przelotnie, nie patrzy w moją stronę. Dokąd tak naprawdę jeździsz i co tam robisz? – pytam go w myślach.

Arek wychodzi z kuchni, wyglądam za nim, idzie na górę. Słyszę, jak zamykają się drzwi od jego pokoju. Nim zdążę przejść do salonu, znów słyszę drzwi, jakiś szelest, potem drugi, aż po odgłosie kroków poznaję, że brat wszedł do łazienki.

Podchodzę do schodów i bardzo powoli zaczynam pokonywać kolejne stopnie. Nie przestaję uważnie nadstawiać uszu. Po chwili słyszę szum lejącej się pod prysznicem wody. Przyspieszam. Mam nie więcej niż kilka minut, Arek zwykle nie przesiaduje długo w łazience.

Wchodzę do pokoju brata i uderza mnie fala gorąca, bo dociera do mnie, na co się tak naprawdę zdecydowałam. Adrenalina robi jednak swoje, biorę się do przeglądania rzeczy Arka. Szperam bezładnie po półkach i szafkach. Kiedy uświadamiam sobie, że działam zbyt chaotycznie, żeby cokolwiek osiągnąć, koncentruję się na biurku. Pełno tu książek, rozpoznaję podręczniki należące do Maurycego. Nie tylko ten jeden, o którego pożyczenie brat pytał ostatnio, ale także

kilka innych. Ciekawi mnie, czy Arek ma tu jeszcze jakieś przedmioty będące własnością mojego męża, w tej chwili nie mam jednak czasu, żeby to sprawdzić.

Obok książek leżą czasopisma naukowe, czarno-białe wydruki i sterta innych papierzysk. Na szybko próbuję się zorientować, co to za dokumenty. Na samym wierzchu leżą ksera, które wyglądają jak… kartoteki pacjentów. Nogi się pode mną uginają, gdy widzę, czyje to dane. Weronika Pilarczyk, Michał Malczyk. Kiedy się okazuje, że są tu wszyscy, który zaginęli, muszę podeprzeć się ręką o biurko, żeby nie upaść.

Nagle wydaje mi się, że słyszę kroki. Unoszę gwałtownie głowę, żołądek podchodzi mi do gardła. W uszach mi dzwoni. Ruszam do wyjścia, błagając niebiosa, żebym zdążyła. W progu znów dobiega mnie jednak szum wody. Zatrzymuję się. Musiałam się przesłyszeć, Arek chyba wciąż jest w łazience.

Obracam się w stronę pokoju, kusi mnie, by zabrać ksera kartotek, ale przecież Arek od razu zauważy, że zniknęły. Może powinnam chociaż porobić zdjęcia, żeby mieć dowód, że tutaj są. Macam się po kieszeniach, wygląda jednak na to, że zostawiłam komórkę w kuchni. Kurwa, klnę po nosem, i wtedy mój wzrok pada na szafkę nocną. Arek nie zabrał telefonu do łazienki.

Dopadam komórki. Nie mam pojęcia, ile jeszcze czasu mi pozostało, ale wiem, że druga taka okazja może się nie powtórzyć.

Nie jesteśmy z Arkiem aż tak do siebie podobni, żeby oszukać system rozpoznawania twarzy. Czas, zanim smartfon rezygnuje z Face ID i poprosi o wpisanie cyfrowego kodu, wydaje mi się wiecznością. W końcu mogę wstukać odpowiednie cyfry. Brat nie jest szczególnie oryginalny w tej kwestii, data jego urodzenia daje mi dostęp do jego komórki. Nie zmienił kodu, chcę wierzyć, że to dobry znak; gdyby miał coś do ukrycia, sprawa wyglądałaby inaczej. Tyle że w tej chwili wiara to dla mnie za mało.

Wchodzę pospiesznie w ustawienia telefonu, ale jak na złość nie widzę interesującej mnie aplikacji. Z nerwów ikony skaczą mi w oczach. Wracam do ekranu początkowego i w małe okienko z lupą u dołu wpisuję „Znajdź".

Jest. Gdy zielono-niebieska ikonka wreszcie się pojawia, natychmiast w nią klikam. Przechodzę do ustawień i zmieniam je tak, żeby aplikacja udostępniała położenie.

Opuszczam program i blokuję telefon, licząc na to, że Arek niczego nie zauważy. Odkładam komórkę na miejsce i ruszam do wyjścia. Już nie dbam o to, żeby być cicho, teraz muszę wymknąć się stąd jak najszybciej.

Kiedy docieram do kuchni, ubranie lepi mi się do ciała, a oddech mam szybki i nierówny. Dłonie niemiłosiernie mi drżą. Ale zrobiłam to, dałam radę.

31

Od dwóch godzin śledzę położenie Arka. Aplikacja pokazuje, że jest… w szpitalu. Skubię skórki przy paznokciach, bo nic z tego nie rozumiem. Kto tu, do cholery, kłamie?!

Sprawdzam lokalizację brata co kilka minut. Zastanawiam się, jaka jest szansa, że zorientował się, co zrobiłam. Nie mogę przecież wykluczyć, że jednak widział, jak grzebałam mu w telefonie, albo jakimś niefortunnym zrządzeniem losu zauważył, że ustawienia aplikacji śledzącej położenie zostały zmienione.

Skubanie skórek już mi nie wystarcza, zaczynam obgryzać paznokcie. Wciąż sprawdzam położenie Arka, ale punkcik na mapie ani drgnie.

Postanawiam zadzwonić do szpitala. Tak jak wczoraj wybieram numer do pokoju lekarskiego. Po kilku próbach zakończonych niepowodzeniem szukam numeru telefonu do dyżurki pielęgniarek. Kiedy już myślę, że i tutaj nic z tego nie będzie, połączenie zostaje odebrane.

– Oddział Anestezjologii i Intensywnej Terapii, pokój pielęgniarek, słucham?

– Dzień dobry! – Prostuję się jak na baczność. – Chciałabym rozmawiać z doktorem Arkadiuszem Siewką.

– Proszę dzwonić do pokoju lekarskiego… – oznajmia kobieta i zaczyna dyktować mi numer telefonu.

– Dzwoniłam – wchodzę jej w słowo. – I to wiele razy, nikt nie odbiera.

Kobieta po drugiej stronie linii wzdycha.

– Będę bardzo wdzięczna, jeśli poprosi pani doktora. Koniecznie… – Biorę głębszy oddech. – Koniecznie muszę z doktorem porozmawiać, a nie udaje mi się go złapać.

– Jest pani pacjentką doktora?

– Bliską osobą pacjenta, którym zajmował się doktor Siewka.

– O którego dokładnie pacjenta chodzi?

Kurwa, klnę bezgłośnie, gorączkowo się zastanawiając, jak wybrnąć z sytuacji.

– Mąż wyszedł ze szpitala już pół roku temu, ale doktor Siewka zapewniał, że w razie jakichkolwiek pytań możemy dzwonić. No i podał nam numer do pokoju lekarskiego, ale tam nikt nie odbiera. Dzwoniłam już chyba z dziesięć razy.

– Dobrze – wzdycha kobieta. Ewidentnie nie jest zadowolona, że zawracam jej głowę. – Proszę zaczekać. – Na szczęście postanawia mi pomóc.

– Dziękuję! Bardzo pani dziękuję!

Trzaski na linii podpowiadają, że kobieta odłożyła słuchawkę na blat. Docierają do mnie głosy i szmery, pojedyncze słowa i jeszcze więcej trzasków. Bębnię palcami o stolik, pielęgniarka długo nie wraca. Zerkam nawet na wyświetlacz telefonu, żeby upewnić się, że połączenie nie zostało przerwane, gdy na linii robi się ciszej.

– Halo, jest pani tam jeszcze? – słyszę w końcu.

– Tak, tak, jestem.

– Doktora nie ma. Przebywa na urlopie – informuje pielęgniarka.

– Na urlopie? – dziwię się, choć wczoraj przecież powiedziano mi dokładnie to samo.

– Tak, proszę pani, na urlopie. Proszę dzwonić za tydzień.

– Dobrze, dziękuję. – Nim moje słowa wybrzmią, połączenie zostaje zakończone.

Odsuwam telefon od ucha i od razu wchodzę w aplikację Znajdź. Według niej Arek nadal jest w szpitalu, punkcik nie przesunął się ani

odrobinę.

Zamykam aplikację i uruchamiam ją całkowicie od nowa, może się zawiesiła. Zresetowanie programu nic nie daje, biała kropeczka wciąż jest w tym samym miejscu na mapie.

Po chwili uświadamiam sobie coś, o czym wcześniej nie pomyślałam – przecież tak naprawdę wcale nie sprawdzam położenia brata, tylko jego komórki. Arek mógł ją podrzucić do szpitala, a sam udać się… właściwie wszędzie.

Dzwonię do niego.

– Cześć – słyszę. – Co tam?

– Hej. Słuchaj… – podejmuję, zbita z tropu tym, że Arek odebrał telefon. – Trochę mi głupio… – rzucam. – Ostatnio jestem strasznie opryskliwa, a przecież…

– Spoko, Olga – mówi. – Wiem, że masz teraz trudny czas. Naprawdę rozumiem. A ja zwyczajnie nawaliłem.

– Nie podoba mi się, że zrobiło się tak dziwnie między nami. – Gram na czas. Wypadałoby jakoś wiarygodnie usprawiedliwić swój telefon. – Może faktycznie powinnam wziąć coś na uspokojenie…

– Myślę, że to dobry pomysł.

– Załatwisz mi coś? – pytam.

– Tak, oczywiście.

– Dasz radę jeszcze dziś? – Zaczerpuję głębiej tchu, po czym pytam: – Jesteś w szpitalu?

– Tak. Zostaw to mnie – mówi. – Na rano będziesz miała pomoc.

– Dzięki, wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

Arek kwituje moje stwierdzenie milczeniem.

– O której wrócisz? – ryzykuję kolejne pytanie, bo wszystko wskazuje na to, że wymyślona naprędce zagrywka zrobiła robotę.

– Późno.

– Do której właściwie teraz pracujesz? – dopytuję, nie doczekawszy się konkretów. – Na tych zamienionych dyżurach?

Brat milczy trochę za długo, bym nie zorientowała się, że przelicza godziny. Kiedy mi odpowiada, jestem pewna, że kłamie.

– Okej, no to do zobaczenia rano – kończę rozmowę.

Odkładam telefon na stolik i przychodzi mi do głowy, żeby zadzwonić do Jankowskiego. Ściska mnie w dołku na myśl, że miałabym donieść na brata, ale do diabła, coś jest na rzeczy!

Sięgam ponownie po komórkę, obracam ją w palcach, wciąż nie wiedząc, co robić. Ostatecznie wchodzę w aplikację Znajdź i po raz enty sprawdzam położenie Arka. Biała kropka tkwi w tym samym miejscu jak zaklęta.

Po dwóch godzinach sytuacja ani trochę się nie zmienia. Gapię się na nieruchomy punkcik, na nowo rozważając możliwość, że Arek zostawił komórkę w szpitalu dla zachowania pozorów. Sprawdzam, ile czasu minęło od mojej rozmowy z bratem. Wystarczająco dużo, żeby przemieścić się na drugi koniec Krakowa, a nawet wyjechać dość daleko poza miasto.

Zaczynam szukać pretekstu, żeby znów zadzwonić do Arka, kiedy widzę, że… punkcik na mapie zaczyna się przesuwać. Zaciskam palce mocniej na telefonie i przysuwam go bliżej twarzy, zupełnie jakby było możliwe, że coś mi umknie. Biała kropka powoli, bardzo powoli, ale jednak stale się przemieszcza. Arek porusza się pieszo, tłumaczę sobie to ślimacze tempo.

Nie odrywam wzroku od wyświetlacza nawet na sekundę. Gdy po kilku chwilach kropka jest już poza budynkami szpitala i kieruje się w stronę niewielkiej połaci zieleni, serce zaczyna mi szybciej bić. Arek najwyraźniej wybrał się do sąsiadującego ze szpitalem lasu. Zerkam w kuchenne okno, na zewnątrz jest jeszcze widno, ale i tak wycieczka brata wydaje mi się podejrzana.

W końcu punkcik znika, a wtedy rytm mojego serca jeszcze bardziej przyspiesza. Kiedy na ekranie zamiast białej kropki pojawia się okrąg, klnę pod nosem na zasięg, który musiał się na moment zgubić. Poganiam w myślach łącze, jednak mijają kolejne minuty,

a aplikacja nie potrafi mi podać dokładnego położenia Arka. Sam okrąg z kolei nie zmienia swojego położenia. Wszystko wskazuje, że to brat ma problem z zasięgiem.

Powiększam więc mapę i przyglądam się obszarowi. Wzgórze Kosocickie, za którym leży szpital Epione, wygląda mi na miejsce, gdzie zniknął Arek, lecz nieopodal, od wschodu, jest jeszcze Las Krzyszkowicki. Wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby brat zapuścił się aż tam, tym bardziej że musiałby pokonać Malinówkę. Potok wprawdzie nie jest duży, ale do diabła, po co miałby się przedzierać przez jakiś kanał? I to późnym popołudniem, kiedy zaraz zacznie się ściemniać.

Otwieram wyszukiwarkę, żeby sprawdzić teren. Może w pobliżu jest coś, co jakoś tłumaczyłoby zachowanie Arka. Dostrzegam zakład kamieniarski oferujący granitowe nagrobki, a trochę dalej znajduje się punkt przecięcia równoleżnika 50›N z południkiem 20›E, ustawiono tam pomnik. To niewiele, poza tym gdyby Arek udał się w jedno z tych miejsc, aplikacja raczej nie miałaby problemu z lokalizacją.

Gdy przeglądam kolejne wyniki, rzuca mi się w oczy, że Las Krzyszkowicki potocznie nazywany jest Trupim Laskiem. Próbuję ustalić pochodzenie tej osobliwej nazwy, ale jedyne, czego się dowiaduję, to to, że przez las biegną ciekawe ścieżki rowerowe.

Wracam do aplikacji, ale ta nadal nie potrafi podać dokładnego położenia Arka. Robię maksymalne zbliżenie mapy i ze zmrużonymi powiekami lustruję otoczony okręgiem obszar. Na skraju zalesionego terenu stoi budynek. Nie jest za duży, jego wielkość może wskazywać na dom jednorodzinny.

Na nowo uruchamiam wyszukiwarkę i próbuję ustalić, co się tam znajduje. Po paru minutach intensywnego szperania dowiaduję się, że kiedyś w tej części Kosocic funkcjonowała prywatna przychodnia. Zlikwidowano ją, gdy powstał Epione, a właściwie została ona

przeniesiona do szpitala. Po chwili wiem już, że nie był to przypadek. Obie placówki powstały dzięki wsparciu tego samego inwestora.

Informacje, które udaje mi się znaleźć, wskazują, że budynek dawnej przychodni stoi w tej chwili pusty, a nieużytek leży na skraju lasu.

Choć w głowie zaczyna mi huczeć od domysłów, nie potrafię wymyśleć sensownego powodu, dla którego Arek miałby udać się do opuszczonej przychodni. Usiłuję sobie przypomnieć, czy brat przypadkiem kiedyś nie wspomniał o tym budynku, o tym, że na przykład, nie wiem, zaadaptowano go na magazyn albo inne pomieszczenie gospodarcze. Podobne myśli coraz nachalniej kłębią mi się w głowie, choć przecież wiem, że nawet gdyby coś takiego faktycznie miało miejsce, to wątpliwe, żeby lekarz anestezjolog udawał się tam po leki czy potrzebny mu osprzęt. Poza tym Arek jest na urlopie!

A Daga? Może Daga będzie wiedzieć, co się znajduje w dawnej przychodni.

Dzwonię do przyjaciółki.

– Jak się trzymasz? – pytam, zanim przejdę do sedna sprawy, chcąc tym samym zatrzeć nieprzyjemne wrażenie z naszej ostatniej rozmowy.

– Jest okej – mówi. – A jak u ciebie?

– Też się trzymam.

– Silne z nas kobity – śmieje się Daga. Chyba przestała się na mnie gniewać.

– Musimy takie być. – Zawieszam głos, bo uświadamiam sobie, że znów dzwonię do Dagi dlatego, że czegoś od niej potrzebuję.

– Chyba serio przygarnę jakiegoś bezdomnego psiaka. – Przyjaciółka przerywa ciszę.

– Ekstra, tak jak mówiłam, podjadę z tobą do schroniska – oświadczam.

– Może faktycznie zrobimy to w weekend?

– Umówimy się – zapewniam i wreszcie przechodzę do palącego mnie problemu. Prosto z mostu pytam o nieużytek na skraju lasu.

– A to mnie zaskoczyłaś – odpowiada Daga. – Nie miałam pojęcia, że stoi tam jakiś budynek, w którym wcześniej była przychodnia. Serio, nie słyszałam o nim wcześniej. To chyba musiało być dawno temu.

Wzdycham, bo w takim razie nie ma sensu drążyć tematu. Gdyby szpital korzystał z budynku, Daga wiedziałaby przynajmniej o jego istnieniu.

– A dlaczego o to pytasz? – chce wiedzieć przyjaciółka.

Znów się zacinam, ale skoro spełniła moją prośbę, nie wypada mi się teraz wymigać od odpowiedzi.

– Śledzisz Arka? – Głos Dagi wchodzi na wyższe tony, kiedy tłumaczę jej, jak wygląda sytuacja.

– Okłamał mnie – argumentuję swoją decyzję. – I to więcej niż raz.

– Przyznaję, akurat to, że kręci się po szpitalu, będąc na urlopie, jest… dziwne.

– Arek nie może wrabiać Maurycego. Lubił go. – Nie wiem, kogo próbuję o tym przekonać, chyba głównie samą siebie. – Szanował. Dużo mu zawdzięczał.

Milknę. Daga również nic nie mówi.

– A może – odzywa się po chwili – po prostu pojechać tam i zobaczyć, gdzie Arek faktycznie jest?

– Do tego budynku?

– A czemu nie? Nie jest jeszcze tak późno.

Spoglądam na ścienny zegar. Faktycznie jest dość wcześnie, a za oknem jeszcze jasno.

– Podjadę tam z tobą – proponuje Daga.

– Naprawdę? Dałabyś radę?

– No jasne!

– Żżerają mnie podejrzenia – wyznaję. – I to wobec własnego brata. Źle mi z tym.

– Tym bardziej trzeba tam jechać.

– Nie boisz się? – pytam.

– Co nam się może stać, gdy będziemy we dwie? – Daga zbywa mój niepokój. – I z całym szacunkiem dla Arka, ale wydaje mi się, że mam więcej pary niż on. I w ogóle niejeden facet. Poza tym może się okazać, że Arka nie ma w lasku, tylko aplikacja wariuje. Albo że poszedł tam z jakiegoś banalnego powodu.

Kiwam głową, jakby Daga siedziała obok mnie. Jeśli tliły się we mnie jeszcze jakieś wątpliwości, to zostały skutecznie zagłuszone.

Umawiamy się, że spotkamy się na miejscu. Wysyłam Dadze zrzut ekranu z zaznaczonym na mapie punktem, gdzie dokładnie znajduje się interesujący nas budynek, a potem wychodzę z domu w pośpiechu. Dojazd pod Epione w najlepszym wypadku zajmie mi pół godziny. Gdy wyjeżdżam z Tomaszowic, decyduję się zadzwonić do Jankowskiego i o wszystkim go powiadomić.

– Nie chce mi chyba pani powiedzieć, że teraz tam jedzie – mruczy komisarz niezadowolonym tonem. Wkurza mnie to, nie dzwonię do policjanta po to, żeby kazał mi się wycofać ze sprawy.

– Jestem już w drodze – oznajmiam pewnym głosem.

– Proszę zawrócić.

– Słucham? – Zaciskam dłonie mocniej na kierownicy.

– Proszę zostać w domu, my to sprawdzimy.

– Kiedy?

– Proszę to zostawić nam. – Głos policjanta przybiera twardy ton.

– Nie sądzę, że mogę.

– Słucham? – Tym razem to Jankowski się dziwi. Ja zaś nie wytrzymuję i wybucham.

– Brat mnie okłamuje, wmawia mi jakieś zamiany dyżurów, podczas gdy tak naprawdę jest na urlopie! Zmywa napis z moich

drzwi, grzebie w gabinecie Maurycego, łazi po jakichś opuszczonych budynkach, próbuje faszerować mnie lekami… – Urywam w pół zdania, bo przecież człowiek, z którym rozmawiam, również nie jest kryształowy. – Mam dość nieporadności policji! Nie znaleźliście Maurycego – wyrzucam z siebie – teraz znów chodzi o najbliższą mi osobę. Nie mogę siedzieć w domu z założonymi rękami, kiedy nie wiem, co się dzieje z Arkiem!

– Zapewniam panią, że sprawdzimy teren.

– A później nie powiecie mi o tym, co udało się ustalić.

– Słucham? – Jankowski wydaje się oburzony.

– Nie uznał pan za stosowne poinformować mnie o wyniku analizy grafologicznej, o tym, że udało się wam ustalić, czy Weronika P. dotarła do szpitala, również nie. Tyle że ja wiem, że dotarła. Są świadkowie! Są ludzie, którzy ją widzieli! Więc i kamery musiały zarejestrować jej obecność…

– To nie była pierwsza wizyta zaginionej w szpitalu. – Policjant wchodzi mi w słowo. – Pojawiała się w Poradni Otolaryngologicznej już wcześniej. Świadkowie, o których pani mówi, mogli się zwyczajnie pomylić.

– Przestań pan pierdolić farmazony!

– Pani Soboń…

– Rozmawiałam z Julią Koziarą – nie daję policjantowi dość do głosu – pielęgniarką z Poradni Otolaryngologicznej, widziała zaginioną w szpitalu.

– Pani Soboń, proszę mi wierzyć, że robimy wszystko, żeby ująć sprawcę. – Ton komisarza jest protekcjonalny, nie pasuje do słów, które wypowiada.

– Czyli co? – pytam poirytowana. – Mamicie opinię publiczną? Czy zatrzymujecie niewinne osoby?

– Proszę zawrócić do domu, a my sprawdzimy pani doniesienie. – Komisarz zachowuje spokój, choć to, co powiedziałam, to był to cios poniżej pasa.

– Nie mogę mieć pewności, że powie mi pan, co tam zastaniecie!

– Zapewniam panią, że…

– Pieprzę te zapewnienia, rozumie pan?

– Do kur… – Komisarz gryzie się w język. – Niech pani wróci do domu i tam zaczeka. Tak będzie bezpieczniej.

– Dla kogo? – rzucam.

Jankowski milczy.

– Dla pana? – grzmię w najlepsze. – Kogo kryjecie? Szpital? Szukacie kozła ofiarnego? Stąd ten nalot na dom Malczykowej?

– Pani Soboń, posuwa się pani za daleko.

– Mam to w dupie!

– Niedobrze. Bo może to, co udało się pani ustalić, okaże się przełomem. Chce pani to zepsuć?

Zagryzam wargi tak mocno, że aż pęka mi skóra, czuję w ustach posmak krwi. Bieleją mi knykcie, ściskam kierownicę ile sił w dłoniach. Wiem, co się dzieje, wiem, przed czym się bronię.

– Arek nie może… – zacinam się, nim udaje mi się dokończyć myśli.

– W tej chwili niczego nie wiemy. Proszę pozwolić nam pracować.

Oddycham ciężko przez nos, muszę wziąć się w garść. Jankowski to stary wyjadacz, potrafi rozpracować człowieka, ale ja też nie jestem z łapanki.

– Pojedziecie sprawdzić, co się tam dzieje? – pytam.

– Tak.

– Kiedy? Teraz?

– Tak, pani Soboń, teraz. – Komisarz wypuszcza powietrze z płuc, wydaje mi się, że z poirytowaniem.

– Czyli co? – Biorę głębszy oddech, żeby się nieco uspokoić. – Mam wrócić do domu i czekać?

– Tak. Tak będzie najlepiej. Najbezpieczniej dla sprawy i przede wszystkim dla pani.

– Okej – rzucam i rozłączam połączenie.

Oczy zachodzą mi łzawą mgłą. Nie chcę stracić brata, a to już chyba nieuniknione. Ocieram rękawem kurtki nos, z którego nagle zaczyna mi kapać. Człowieka można stracić na wiele sposobów. Śmierć nie zawsze jest tym najokrutniejszym. Znacznie gorsze jest zaakceptowanie, że ktoś, kogo darzyło się najpiękniejszymi uczuciami, miłością, zaufaniem i szacunkiem, wcale nie jest piękny wewnętrznie.

Nawigacja pokazuje, że zostało mi niewiele ponad dwadzieścia minut do celu. Nigdy nie jesteśmy w sytuacji bez wyjścia, po prostu w danym momencie możemy nie mieć łatwej opcji do wyboru.

32

Podjeżdżam pod szpital od strony fortu Barycz. Objeżdżam Epione dookoła, powstało tu sporo utwardzonych dróg. Jedna z nich biegnie wzdłuż lasu, kolejna wjeżdża w zagajnik. Według mapy dotrę tędy do nieczynnej przychodni.

Zatrzymuję samochód, a potem nie wysiadając z niego, rozglądam się dookoła. Zapadł już zmrok i choć nie jest jeszcze całkiem ciemno, zrobiło się nieprzyjemnie. Reflektory samochodowe rozświetlają mi widok, lecz jednocześnie sprawiają, że łatwo mnie zauważyć. Gaszę silnik.

Gdzie ten Jankowski? Nie dostrzegam auta policjanta ani nawet radiowozu. Komisarz miał wystarczająco dużo czasu, żeby tu dojechać, ja zdążyłam dotrzeć z północnego Krakowa, do diabła.

Kusi mnie, żeby wysiąść i pochodzić po okolicy. Nie mam jednak zamiaru ryzykować, skraj lasu czy choćby park po zmroku nigdy nie jest bezpieczną przestrzenią dla samotnie poruszającej się kobiety.

Postanawiam podjechać pod opuszczony budynek, dopóki jestem w samochodzie, nic mi nie zagraża.

Wjeżdżam w las powoli, droga jest asfaltowa, całkiem niezłej jakości. Zaledwie po kilkudziesięciu metrach pojawia się budynek, który musi być dawną przychodnią. Na pierwszy rzut oka wcale nie wygląda na opuszczony, wciąż wiszą na nim szyldy, w tym ten z nazwą placówki. Napisy na jednej z dolnych witryn świadczą o tym, że była tu kiedyś także apteka.

Parkuję na poboczu, nie chcę podjeżdżać bezpośrednio pod budynek. Zerkam na telefon, nigdzie nie widzę nie tylko Jankowskiego, ale też Dagi. Przyjaciółka nie dzwoniła ani nie pisała,

tymczasem powinna już tutaj być. Wybieram jej numer, wybrzmiewają kolejne sygnały, nie odbiera jednak ode mnie połączenia. Marszczę czoło zdezorientowana. Może nie słyszy, bo nadal jest w drodze? Postanawiam dać jej jeszcze trochę czasu, a sama wchodzę w aplikację śledzącą położenie, żeby sprawdzić, czy nic się nie zmieniło.

Serce mi na moment staje, gdy widzę, że okrąg zniknął. Odświeżam program, ale nie pojawia się ani on, ani biała kropka. Kółeczko na dole aplikacji kręci się i kręci bez efektu, aplikacja nie może zlokalizować Arka.

Nagle tętno tak bardzo mi przyspiesza, że od gwałtownego napływu krwi zaczyna mnie boleśnie łupać w skroniach. Ogarnia mnie poczucie przemożnego strachu. Intuicja podpowiada mi, że stało się coś bardzo złego.

Obawa popycha mnie do natychmiastowego działania, dzwonię więc do brata. Nim zdążę zacząć się modlić, żeby odebrał, zgłasza się poczta. Próbuję jeszcze raz, może Arek tylko chwilowo nie ma zasięgu, jednak sytuacja się powtarza. Zimny dreszcz przebiega mi po plecach, moja podświadomość szaleje.

W pewnym momencie słyszę, jak ktoś szarpie za klamkę od strony pasażera. Obracam głowę w stronę niepokojących dźwięków i udaje mi się jedynie krzyknąć, zanim drzwi się otworzą, a do wnętrza wpadnie zimne, pachnące lasem powietrze.

—
–
—

Patrzę na ścienne kafelki, których fugi kiedyś zapewne były białe, i jedyne, co czuję to dezorientacja. Metaliczny posmak w ustach sprawia, że zbiera mi się na wymioty. Walczę z przemożną sennością. Ostatnie tygodnie nie były dla mnie łatwe, mam prawo czuć zmęczenie. Może by tak olać wszystko i po prostu zasnąć?

Niemal ulegam tej osobliwej potrzebie, gdy okazuje się, że nie mogę zmienić pozycji, przekręcenie się na bok jest niemożliwe. Próbuję podnieść rękę, ale nawet to mi się nie udaje. Szarpię mocniej – nic z tego.

Unoszę głowę na tyle, na ile jestem w stanie, i spoglądam na swoje ciało. Widok pasów przytrzymujących mi ręce sprawia, że się rozbudzam. Kiedy zauważam podobne więzy również przy stopach, przytomnieję na dobre. Łupie mnie lewa strona czaszki, przypominam sobie solidny cios.

Rozglądam się na prawo i lewo. Jestem w jakiejś sali, jakby szpitalnej, lecz nie do końca. Biały sufit, stare kafelki i trochę specjalistycznego sprzętu to za mało, żeby to miejsce uznać za szpital albo jakąś inną placówkę medyczną. Pomieszczenie jest zbyt ciemne, zbyt ciasne i trochę za obskurne nawet jak na stary i niedofinasowany budynek.

Co to ma być, do kurwy nędzy?! Zadzieram głowę ponownie. Leżę na szpitalnym łóżku. Może nie jest najnowsze, ale z pewnością profesjonalne.

Kurwa, ciśnie mi się na usta, gdy zaczynam rozumieć, co się dzieje. Kurwa, kurwa mać, myślę znów, szarpiąc gwałtownie ręką. Oblewa mnie zimny pot, szamoczę się coraz mocniej w złudnej nadziei, że może krępujące mnie pasy puszczą. Nic z tego, mój wysiłek nie przynosi żadnych efektów poza metodycznie narastającym przerażeniem.

Opadam na łóżko, nie ruszam się. Myśl, nakazuję sobie w duchu, do kurwy nędzy, myśl! Myśli mi się jednak trudno, bo już nie potrafię się łudzić, że nie jestem w tym samym pomieszczeniu co tamci i że nie leżę na tym samymi łóżku co oni.

Pomieszczenie, właśnie! Od tego należy zacząć. Nagle przypominają mi się oglądane kiedyś mniej lub bardziej profesjonalne filmiki instruktażowe, jak się zachować w sytuacji zagrożenia. Byli tam między innymi facet skuty kajdankami i kobieta przywiązana do metalowej rury. Obojgu udało się oswobodzić, ale nie pamiętam już szczegółów. Zresztą nie wydaje mi się, żeby filmiki okazały się pomocne w mojej sytuacji. Za to dokładne przyjrzenie się pomieszczeniu, w którym mnie uwięziono, brzmi sensownie.

Biały sufit i nie najnowsze płytki, tyle już udało mi się zauważyć. Podłoga to chyba goły beton. Pomieszczenie nie jest za wysokie. Mogłoby się wydawać, że sprzętu medycznego jest tu sporo, ale kiedy przyglądam się uważniej, znajduje się tutaj naprawdę niewiele narzędzi. Wniosek jest prosty: miejscu, w którym jestem, daleko do specjalistycznej sali operacyjnej – a wszystko wskazuje na to, że za taką miałoby uchodzić. Już prędzej przypomina salę sekcyjną. Nawet woń bardziej do niej pasuje. Rozpoznaję jej, ale to bynajmniej nie charakterystyczny zapach szpitala, suchy, wręcz sterylny, lecz zwykła wilgoć. Wyczuwam stęchliznę pasującą do podziemnych piwnic.

I ta cisza. Jest tu upiornie cicho.

Tę ciszę nagle zakłócają jakieś dźwięki. Nasłuchując, czuję, jak nowa warstwa potu oblepia całe moje ciało. Serce nieustannie pompuje krew do tętnic w szaleńczym tempie. Boję się.

Wszystko wskazuje na to, że szmery dochodzą zza drzwi. Wbijam w nie spojrzenie, bo musi za nimi znajdować się człowiek, który mnie tu uwięził.

Szelesty nie ustają, ale nie przybierają też na sile. Za to mój strach rośnie z sekundy na sekundę, mam wrażenie, że zaraz rozsadzi mnie od środka. Kiedy drzwi się uchylają, boję się już tak bardzo, że mimowolnie zaczynam się trząść. Nie mam złudzeń, że wyjdę z tego cało, mogę tylko mieć nadzieję, że szybko będzie po wszystkim.

Postać w pełnym stroju chirurgicznym jest nie do rozpoznania. Czepek na głowie i maska na twarzy skutecznie kamuflują jej tożsamość. Przekręcam głowę, kiedy znika z mojego pola widzenia, ale wciąż wyławiam ją tylko kątem oka. Przygotowuje sprzęt, udaje mi się dostrzec fiolki i strzykawki, jest też wenflon i worek ambu. Działa sprawnie, dobrze wie, co robi. Cały czas przy tym milczy. Kąt, pod jakim mam wygiętą szyję, jest tak nienaturalny, że zaczyna mi drętwieć kark, nie mogę jednak zmienić pozycji, nie stać mnie na to, żeby cokolwiek przegapić. Tyle że im więcej próbuję dostrzec, tym mniej pojmuję sytuację. Nagle wydaje mi się, że człowiekiem, który kręci się tuż za moją głową, może być każdy. Dosłownie każdy.

Trzęsę się, mięśnie mi drgają, jakby było bardzo zimno. Myśli wirują w mojej głowie, przyprawiając mnie o nowe fale mdłości.

– Maurycy? – odzywam się. Drżenie słychać nawet w moim głosie.

Człowiek w chirurgicznym uniformie milczy.

– To naprawdę ty? – pytam, głos drga mi jeszcze bardziej, połykam głoski. – Maurycy? – powtarzam. – Maurycy, to ty?

Znów odpowiada mi jedynie brzęk sprzętu medycznego, uderza o metalową nerkę.

– Pokaż mi się! – nakazuję, czując, jak puszczają mi zwieracze. W kroku robi mi się mokro. – Odezwij się, do kurwy nędzy! Miej jaja chociaż na tyle!

Kolejne nawoływania tłumi maska, która nagle ląduje na mojej twarzy. Kręcę głową, próbując ją z siebie zrzucić. Udaje się, maska spada.

– Pokaż mi się, do kurwy nędzy! – Wykorzystuję chwilę, kiedy znów mogę swobodnie mówić. Zaraz jednak maska wraca na miejsce, tym razem zostaje mocno przyciśnięta do skóry. Ruchy głowy też mam ograniczone, oprawca skutecznie mi ją przytrzymuje.

Wykorzystuję moment, że jest tak blisko mnie. Zaglądam mu w oczy i wreszcie wiem, kto usiłuje mnie zabić.

33

Biorę zamach ręką, to instynktowny odruch. Mój cios zostaje skutecznie zablokowany, muszę się bronić, natychmiast unoszę drugą dłoń.

– Spokojnie, pani Soboń – słyszę znajomy głos. – Miała pani wrócić do domu. Prosiłem, żeby pani zawróciła.

Zrozumienie, z kim mam do czynienia, zajmuje mi dłuższą chwilę. Kiedy wreszcie dociera do mnie, że na fotelu obok siedzi Jankowski, cofam ręce.

– Co pani tu, u diabła, robi? – pyta policjant wyraźnie rozłoszczony.

– Musiałam tu przyjechać. Nie mogłabym siedzieć bezczynnie w domu.

– Przecież obiecałem, że sprawdzę teren.

– Nie mogłam siedzieć bezczynnie w domu, rozumie pan? – powtarzam.

Funkcjonariusz wzdycha.

– A pan jest sam?

Tym razem Jankowski tylko się krzywi.

– Nie widziałam nigdzie żadnych radiowozów…

– I o to chodziło. Czasem element zaskoczenia jest kluczowy – wyjaśnia wciąż zły. – Za to panią widać z kilometra.

Zaciskam usta, nie myślałam w takich kategoriach. Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że niczego nie zepsułam.

Ciszę przerywa moja komórka, zaczyna brzęczeć. Chwytam za telefon, przyszedł SMS od Dagi. Nareszcie! Natychmiast odczytuję

wiadomość.

Olga, nie dojadę, miałam stłuczkę, i to z idiotą, który wiózł dziecko bez fotelika! Auto skasowane, ale mnie nic nie jest.

– Dagi nie będzie – mamroczę pod nosem.

Komisarz wydaje z siebie poirytowany pomruk.

– Umówiłyśmy się, że będzie mi towarzyszyć, żebym nie kręciła się wokół opuszczonego budynku pod lasem w pojedynkę – tłumaczę. – Ale nie dojedzie.

– Dlaczego? – dopytuje śledczy.

Mówię mu, co napisała Daga.

Nim Jankowski zdąży skomentować, do samochodu podchodzi umundurowany policjant. Komisarz opuszcza szybę.

– W budynku nikogo nie ma – oznajmia funkcjonariusz.

– Proszę chwilkę zaczekać – zwraca się do mnie Jankowski, po czym zasuwa szybę i wysiada z samochodu. Zatrzaskuje drzwi. Wraz z młodym policjantem odchodzą kilka metrów od wozu. Rozmawiają, oczywiście nie słyszę o czym. Wystarczy mi jednak to jedno zdanie, które przed chwilą padło z ust funkcjonariusza, żeby poczuć nowy niepokój. „W budynku nikogo nie ma".

Znów atakuje mnie poczucie, że nie mogę siedzieć z założonymi rękami. Próbuję jeszcze raz połączyć się z Arkiem, jednak jego telefon wciąż nie odpowiada. Wybieram numer Dagi, ona z kolei nie odbiera. Odpisuję na SMS-a, którego mi wysłała.

Gdzie ta stłuczka? Na pewno nic ci nie jest? Zadzwoń, jak będziesz mogła rozmawiać.

Daga ani nie dzwoni, ani nie odpisuje na moją wiadomość.

Jankowski wraca pod samochód, uchyla drzwi od strony pasażera.

– Podjedzie pani ze mną na komendę? – pyta. – Chłopaki tu zostaną, sprawdzą dokładnie budynek i teren dookoła, a my sobie

porozmawiamy.

Kiwam posłusznie głową.

– Da pani radę prowadzić?

– Tak.

– Na pewno? – dopytuje. – Jeśli nie, może jechać pani ze mną, ktoś zabierze stąd pani samochód.

– Poradzę sobie.

Dojazd na komendę nie zajmuje dużo czasu, na ulicach jest sporo aut, ale największe korki już odpuściły. Źle mi się prowadzi. Rozpraszają mnie myśli o Arku, o tym, że ciągle nie mam pojęcia, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Komisarz zaprasza mnie do swojego gabinetu. Ledwo powstrzymuję się, żeby nie zapytać go, jakim cudem jeszcze nie stracił stanowiska. Wydawałoby się, że nieudana akcja w domu Malczyków zdyskredytuje go w środowisku policyjnym, a jak na razie nic na to nie wskazuje. Udaje mi się jednak utrzymać język za zębami.

– Niech pani usiądzie – prosi komisarz. – Zobaczymy, co uda się ustalić.

Jankowski zostawia mnie samą. Początkowo wpatruję się tylko w komórkę, której ani na moment nie wypuszczam z rąk, jednak gdy nieobecność policjanta się przedłuża, zaczynam rozglądać się po pokoju. Pomieszczenie okazuje się niewielkie, wydaje się zbyt małe na trzy biurka, a mimo to zmieściły się jeszcze krzesła dla interesantów, regał na dokumenty i stolik z drukarką.

Ogarnięta poczuciem przytłaczającej bezsilności, dzwonię znów do Dagi. Nadal nie odbiera.

– Ostatnie logowanie komórki pani brata wskazuje na okolice szpitala – oznajmia komisarz, wracając wreszcie do pokoju.

– Nie można ustalić, czy Arek był w tej opuszczonej przychodni? – pytam, jeszcze mocniej zaciskając palce na swojej komórce.

– Nie uda nam się aż tak zawęzić danych. – Jankowski siada naprzeciwko mnie. Fotel skrzypi pod ciężarem policjanta, zauważam, że mebel ma wytarte podłokietniki. – Chłopaki wciąż działają na miejscu, ale jak na razie niczego konkretnego nie udało im się tam znaleźć.

– Skoro nie było go w przychodni, po co miałby łazić po lesie?

– Tego jeszcze nie wiemy, ale chcę sprawdzić również teren w pobliżu przychodni – oświadcza mi na to.

Przykładam dłoń do czoła i rozmasowuję je natarczywie. Niemal odruchowo wybudzam komórkę, żeby sprawdzić, czy coś mi nie umknęło. Klikam w ostatniego SMS-a od Dagi, jakby miała zmienić się jego treść.

– Nie mógł tak po prostu zniknąć – bąkam.

– Zgadzam się z panią. Stąd te wszystkie działania.

W pokoju zapada cisza, która dosłownie mnie dławi.

– Nie ma sensu, żeby uciekał – podejmuję, by jak najszybciej ją przerwać. – Nawet jeśli to faktycznie on jest sprawcą, nic na niego nie mamy. No bo co? Okłamał mnie w kwestii urlopu? Podkradł kilka książek Maurycemu?

Ściska mnie w dołku, gdy Jankowski w odpowiedzi kiwa jedynie głową. Odnoszę wrażenie, że w pomieszczeniu gwałtownie spadło ciśnienie, zasysam powietrze do płuc, ale jakby nie było w nim tlenu.

– N-no chyba że A-Arek – dukam – jest następny?

Jankowski rozkłada dłonie, a zaraz potem na nowo je splata. Znów nic nie mówi. Wrażenie, że w pokoju brakuje tlenu, jeszcze się pogłębia, a ucisk w mojej klatce piersiowej staje się wręcz bolesny. Nie mogę dłużej patrzeć w oczy komisarza, przenoszę wzrok na jego dłonie. Trzyma je na biurku tuż przede mną, są duże, wydają mi się silne, w tej chwili także dobre. Jest mi wstyd, że snułam te wszystkie niedorzecznie przypuszczenia na temat Jankowskiego. Nie tylko zjawił się na miejscu, tak jak obiecał, ale również zaczął realnie działać. Widzę, że robi wszystko, żeby ustalić, gdzie jest Arek, i to jak

najszybciej. A przecież znane są sytuacje, że mundurowi się ociągają. Choćby przypadek z ubiegłego roku, ta czternastolatka. Gdyby zaczęto działać natychmiast, może dziewczynka by żyła.

– Pani przyjaciółka się nie odzywała? – pyta policjant, wskazując na komórkę, którą ciągle trzymam.

– N-nie – jąkam się jeszcze bardziej, bo przecież ostatnia moja rozmowa z Arkiem dotyczyła właśnie Dagi, a dokładnie podejrzeń, które snuł wobec niej.

Robi mi się słabo. Kiedyś w żartach powiedziałam przyjaciółce, że podejrzewam już dosłownie wszystkich. Wychodzi na to, że ten dowcip udał mi się wyjątkowo marnie.

– Telefon pani Dagmary cały czas loguje się na Czyżynach – oznajmia tymczasem Jankowski. – I faktycznie doszło tam, a dokładnie na rondzie Czyżyńskim, do kolizji.

– Sprawdził pan Dagę?

– W tych okolicznościach wydawało się to nie tyle naturalne, ile wręcz konieczne – stwierdza policjant, a ja wybudzam komórkę i po raz kolejny spoglądam na wiadomość od przyjaciółki. – Lada moment będziemy wiedzieć, kto brał udział w kolizji.

Kiwam głową, choć minęło już tyle czasu, że Daga mogła uczestniczyć w stłuczce, po czym udać się dokądkolwiek. Wprawdzie ustalono, że jej telefon loguje się na Czyżynach, ale przecież mogła zostawić komórkę w mieszkaniu.

Spoglądam na wiadomość, którą wysłałam Dadze w odpowiedzi na jej SMS-a, wciąż nic na nią nie odpisała.

Do diabła, czy to naprawdę możliwe, żeby Daga nie znalazła chwili na choćby krótką odpowiedź? Że jest aż tak zajęta?

– Na litość boską, gdyby nie miała czegoś na sumieniu, odebrałaby, kiedy do niej dzwoniłam! – wyrzucam z siebie głośno. – A dobijałam się do niej kilka razy! Albo oddzwoniłaby!

– Sprawdzimy dokładnie czasy zdarzeń i zestawimy je ze sobą, ale to, co pani podejrzewa, wydaje się mało prawdopodobne.

– Ale nie niemożliwe?

– No nie, nie niemożliwe – zgadza się ze mną policjant, jednak bez większego przekonania. Mimo działań, które podjął wobec Dagi, wydaje się nią mało zainteresowany.

– To co teraz? Co mam zrobić? – pytam, bo naprawdę nie mam pojęcia, co w tej chwili ze sobą począć.

– Zaproponowałbym, żeby wróciła pani do domu – odzywa się Jankowski – ale prosiłem panią o to już wcześniej, bez skutku. Podejrzewam więc, że i teraz nie spodoba się pani ten pomysł.

Ściągam mocniej wargi. Nie da się ukryć, że policjant nie jest zadowolony z mojej obecności.

– Może pani tu zostać i poczekać na nowe ustalenia albo wrócić do domu. Zrobi pani, jak zechce. Zdążyłem się już przekonać, że pokora nie leży w pani naturze, a stąd nikt pani na siłę nie wyrzuci.

– A pan tu zostaje?

Komisarz kiwa głową.

– Przynajmniej dopóki ekipa nie zakończy działań w obrębie budynku – dodaje. – Nie wiem jeszcze, kiedy uda się zorganizować przeszukanie lasu.

Czuję się, jakby krucha tafla lodu, po której stąpam, odkąd znów pomalowano mi drzwi, właśnie się załamała. Wpadam do lodowatej wody, tysiące drobnych igiełek wbijają się w moje ciało, drętwieje mi skóra. Trzęsę się. Jestem teraz chyba jedyną osobą na ziemi, która chciałaby, żeby jej rodzony brat zgubił się w lesie. Żeby okazało się, iż przytrafił mu się nieszczęśliwy wypadek, złamał nogę albo utknął gdzieś, skąd sam nie potrafi się wydostać.

– Zostanę tu – decyduję.

Jankowski znów jedynie kiwa głową.

– Chcę być ze wszystkim na bieżąco – uzasadniam.

– Przynieść pani kawę?

– Poradzę sobie, widziałam automat na dole.

Komisarz ponownie tylko kiwa głową.

—
–
—

Nie udało się. Znowu się nie udało.

Spoglądam na kolejną zastygłą w bezruchu twarz z olbrzymim zawodem. Nie był moim celem, nie był nawet brany pod uwagę, typowanie zawsze obejmowało pacjentów Epione, nigdy członków personelu. Ale wpadł na mój trop. Nie przesadzę, gdy powiem, że zaczął deptać mi po piętach. Nie było innego wyjścia, jak go uciszyć, i trzeba było to zrobić, zanim zacząłby krzyczeć. Zwłaszcza że policja też się rozkręciła. Nie powiem, zaskoczyli mnie, determinacja Jankowskiego przeszła moje wszelkie oczekiwania.

Nie wiem, jak to się dzieje, ale zawsze szukam pozytywów, nawet gdy sytuacja wydaje się beznadziejna. To chyba kolejna umiejętność nabyta za dziecka. Reakcja obronna na emocjonalny chłód matki. Kiedy miała mnie gdzieś, a często tak było, moje serce wyło z tęsknoty. Za nią, za bliskością, która dawałaby poczucie bezpieczeństwa. Żeby przetrwać, trzeba było szukać pocieszenia. To wielka sztuka.

Nie odrywam spojrzenia od martwego ciała. No więc jeśli spojrzeć na sytuację z tej dobrej strony, to kolejny pacjent dosłownie spadł mi z nieba! Umożliwił mi przetestowanie nowego buforu na człowieku, a nie na jakimś tam kundlu.

Tylko że znów się nie udało.

Coś tu nie działa.

Dowiem się co, rozgryzę to. Ale nie mogę wcześniej dać się złapać.

Wychodzę z piwnicznej łazienki zaadaptowanej na salę zabiegową. Tym razem ciało będzie musiało w niej zaczekać, aż będę mieć możliwość się nim zająć. Szkoda, że nie mam tu chłodni, na pewno lepiej byłoby zostawić zwłoki w lodówce. Na szczęście nie jest jeszcze zbyt ciepło, a tam, pod ziemią, wciąż panuje chłód. Ciało nie zacznie gnić, nim tu wrócę, przynajmniej o to nie muszę się martwić.

Zamykam wejście do bunkra dziadka. Jest dobrze zakamuflowane, naprawdę trudno je zauważyć. Unoszę głowę i spoglądam na niebo, na którym jest dziś niewiele chmur. Przyglądam się za to jasnym gwiazdom.

Wygląda na to, że spotkanie z Olgą stało się nieuniknione. Nie będzie ono łatwe, układam w głowie scenariusz, który ma największe szanse się powieść, tyle że zakończenie może być tylko jedno. Próbuję jeszcze znaleźć alternatywę, ale nie udaje mi się. Prędzej czy później i ona mnie namierzy. Wolę ją ubiec.

Z zamyślenia wyrywa mnie wibrująca komórka. Zerkam na wyświetlacz, nie mam ochoty na żadne telefony. Po chwili namysłu akceptuję jednak połączenie. Trzeba działać natychmiast, nie stać mnie na trwonienie czasu.

34

– Przepraszam, że tak długo się nie odzywałam! – słyszę w telefonie głos Dagi. – Takie zamieszanie się zrobiło, że głowa mała.

– Nic ci nie jest? – dukam, zaskoczona, że przyjaciółka odebrała. W dłoni ściskam kubek z już drugą kawą. Pierwsza nie zdołała postawić mnie na nogi, a zaraz po wyjściu z gabinetu Jankowskiego ogarnęło mnie potworne zmęczenie.

– Wszystko okej – zapewnia. – Chociaż auto trzeba było odholować, a mnie zabrali do szpitala. A ty gdzie jesteś? Byłaś tam? Pod tą przychodnią?

– Jak to do szpitala?! – wołam, nie zwracając uwagi na pytania przyjaciółki.

– Uderzyłam głową o kierownicę – wyjaśnia Daga. – Poduszki nie wystrzeliły, nie mam pojęcia dlaczego! Przyjechało pogotowie, uparli się, żeby zabrać mnie do szpitala. Zrobili mi tomografię głowy, na pewno to nie zaszkodziło, w końcu się uderzyłam. Ale wszystko jest w porządku, wróciłam już nawet do domu.

Nie wiem, co odpowiedzieć, bo choć wyjaśnienie Dagi nie brzmi jak bujda wyssana z palca czy wymyślony naprędce kamuflaż, to wątpliwości nie przestają się we mnie kłębić. Są jak spiętrzone fale, które stale mnie zalewają.

– Hej, jesteś tam? – Głos Dagi znów do mnie dociera.

– Jadę do ciebie – rzucam. Do cholery, nie mogę stracić z oczu tego, co najważniejsze! Nie mogę zostawić przyjaciółki samej, gdy potrzebuje wsparcia.

– Nina już u mnie jest.

Unoszę wysoko brwi. Daga zdążyła zaalarmować siostrę, ale żeby do mnie oddzwonić, to już zabrakło jej czasu, a przecież byłyśmy umówione.

– Rozmawiałam z nią, kiedy doszło do stłuczki – słyszę. – Gdy zorientowała się, co się stało, od razu przyjechała. Nie ma sensu jeszcze ciebie tu ściągać, tym bardziej że jestem strasznie zmęczona. Czuję, że odlecę, gdy tylko przyłożę głowę do poduszki. Mów lepiej, co z Arkiem.

– Nie chcesz, żebym przyjeżdżała? – wypalam, krzywiąc się, bo znów to czuję, zalewa mnie nowa fala nieufności.

– Nie, bo nie ma po co. Tym bardziej że sama masz się czym zamartwiać.

– Skąd wiesz, że mam się czym zamartwiać? – Moja podejrzliwość rośnie w najlepsze.

– A co ty znowu tak dziwnie ze mną gadasz? – pyta z irytacją Daga.

– J-jak dziwnie? N-normalnie przecież – dukam.

– Arek coś kręci i łazi po jakichś opuszczonych budynkach, sama dzwoniłaś, że nie wiesz, co on odwala, a teraz mówisz do mnie, jakbym… nie wiem… Co w ogóle insynuujesz? Zresztą nie pierwszy raz! – Przyjaciółka się unosi, oczywiście słusznie.

– Byłam pod tą przechodnią. – Decyduję się zmienić temat. – Jankowski jednak przyjechał. Sprawdził budynek.

– I co?!

– Nie było tam Arka. A teraz jego telefon nie ma zasięgu i nie wiem, gdzie jest.

– O w mordę! Dzwoniłaś do niego?

– Wiele razy. Jest nieuchwytny. Zresztą policja sprawdziła, ostatnio komórka Arka logowała się gdzieś w pobliżu Epione, a teraz w ogóle nie ma sygnału.

– Ja pierdzielę, ale się porobiło. Gdzie ty teraz jesteś?

– Na policji. – Pociągam długi łyk kawy, bo zmęczenie nie ustępuje. Oczy zaczynają mnie szczypać, a powieki się kleić. – Czekam na nowe ustalenia – dodaję.

– Cholera, to może jednak ja przyjadę do ciebie?

– O nie, nie, nie ma mowy, jesteś po wypadku.

– I co z tego? Jeśli trzeba, przyjadę – deklaruje Daga.

– Wykluczone!

Milczymy przez moment.

– A dasz sobie radę?

Nie odpowiadam od razu, bo od kilku dobrych godzin wydaje mi się, że to, co przygotowało dla mnie życie, jednak mnie przerasta.

– Dam sobie radę, jasne, że dam – mówię w końcu, bo przecież nie mam innego wyjścia. Może i jestem już tym wszystkim zmęczona, ale zmęczenie to za mało, żeby się poddać. – A poza tym mówiłaś, że nie masz samochodu.

– Nina u mnie jest, na pewno mnie podrzuci.

– Daj spokój, jeszcze tego brakuje, żeby po nocach ciągnąć Ninę na komisariat.

– No sama nie wiem.

– Poradzę sobie – zapewniam.

Kawa ani trochę mnie nie rozbudza, czuję się wyczerpana i zaczynam żałować, że nie pojechałam do domu. Tam przynajmniej rozprostowałabym ciało na wygodnej kanapie.

Siadam na pobliskim krześle i podciągam nogi pod brodę. Obejmuję je ramionami, wspieram na nich głowę. Nieprzerwanie huczy mi w niej od natłoku myśli. Oczy nie przestają mi się kleić, obawiam się jednak, że nawet gdybym znalazła się teraz w łóżku, nie zdołałabym zasnąć.

– A więc ciągle tu pani jest?

Unoszę głowę, gdy słyszę głos Jankowskiego.

– W budynku nie znaleziono nic, co świadczyłoby o tym, że pani brat tam był – oznajmia śledczy.

– A las?

– Jeszcze nie udało mi się tego zorganizować.

– Jak to?

– Pani Soboń… – Komisarz wzdycha. – Robię, co mogę, naprawdę. Udało mi się sprawdzić pustostan…

A więc jednak. Nieudany nalot na Malczykową nie pozostał bez konsekwencji i komisarz ma kłopoty. Coś mi podpowiada, że powinnam się cieszyć, że był w stanie zrobić choć tyle.

– Żeby przeczesać las, potrzeba wielu ludzi, to wymaga organizacji – dopowiada. – Poza tym tego typu akcję podejmuje się natychmiast, gdy ginie dziecko albo zagrożone jest czyjeś życie, a… – Przerywa na chwilę. – Nie mam podstaw, żeby w tej chwili zerwać na nogi całą jednostkę.

Przymykam powieki niepocieszona.

– Jest późno i dziś już nic nie zrobimy. Proszę jechać do domu.

Ani drgnę. Przed oczami mam Arka wzywającego pomocy gdzieś tam w lesie albo nieprzytomnego i konającego z zimna. Ale możliwe też, że nic mu nie jest, bo…

– Bardzo panią proszę… – powtarza Jankowski, wyrywając mnie z letargu.

– Dobrze. – Podnoszę się z krzesła. – Chyba faktycznie najlepiej będzie, jeśli wrócę do domu – stwierdzam.

– To naprawdę dobry pomysł – chwali moją decyzję.

Wsuwam dłoń do kieszeni bluzy, którą mam na sobie, potem do drugiej. W żadnej nie ma kluczy do samochodu. Macam się jeszcze raz po kieszeniach i nadal ich nie znajduję. Sprawdzam nawet te w dżinsach, choć rzadko coś do nich wkładam.

– Cholera – mamroczę pod nosem, sprawdzając torebkę.

– Co się dzieje? – dopytuje policjant.

– Nie mam kluczy do samochodu…

W torebce także ich nie znajduję.

– Spokojnie. Musi je pani mieć.

Oczywiście, że muszę, przecież przyjechałam tu swoim autem, myślę, wracając do przetrząsania wszystkich możliwych kieszeni.

– Nie mam, no nie mam! – Ręce zaczynają mi się trząść.

Co jeszcze mi się dzisiaj przytrafi? Dojazd do domu to nie problem, są taksówki i Uber, ale czy nawet w tak drobnych sprawach muszę mieć pod górkę?

Rozgoryczenie sytuacją skutecznie wzmaga moje poczucie wyczerpania.

– Spokojnie – powtarza Jankowski, chwytając mnie za ramiona. – Musiały gdzieś pani wypaść.

Unoszę spojrzenie na policjanta i w jednej chwili znika całe moje znużenie. Oczy komisarza błyszczą czymś, co sprawia, że przechodzą mnie ciarki. Nagle uścisk mężczyzny wydaje mi się zbyt mocny, jakby miał stanowić demonstrację siły.

– Jeśli zgubiła je pani gdzieś na komendzie, to na pewno się znajdą – mówi, wciąż patrząc mi w oczy. Wstrząsają mną kolejne dreszcze. – Ma pani drugi zestaw w domu?

Kiwam powoli głową.

– Więc odwiozę panią…

– Nie trzeba – oponuję natychmiast.

– A jutro wróci pani po samochód. – Policjant mimo to kończy swoją myśl. – Może też do tego czasu zguba się znajdzie.

Milczę, nie potrafiąc odpędzić od sobie myśli, że te klucze wcale się nie zgubiły, tylko celowo zniknęły. Spędziłam w gabinecie Jankowskiego blisko trzy godziny, nie wychodziłam z niego, ale bluzę powiesiłam na oparciu krzesła. Nie zwracałam na nią szczególnej uwagi.

– Zapraszam. – Komisarz puszcza moje ramiona, gestem dłoni wskazuje kierunek, w którym powinnam się udać.

Nie ruszam się jednak z miejsca.

– Bardzo panią proszę, nie ma sensu, żeby ślęczała tu pani przez całą noc.

35

Jedziemy w stronę północnego Krakowa, o tej porze nie ma już żadnych korków, ale droga mi się dłuży. Wsiadłam do samochodu Jankowskiego, żeby udowodnić samej sobie, że nie dam się pochłonąć paranoi. Teraz tego żałuję, bo poczucie zagrożenia zżera mnie od środka. Obserwuję bacznie trasę i analizuję każdy manewr policjanta.

– Tutaj pan skręca? – pytam. – Ja zwykle jadę aż pod ikeę i tam odbijam na Modlniczkę.

Komisarz spogląda na mnie kątem oka.

– Jakoś wolę tę trasę – mówi. – Przez Zielonki.

Ściągam usta, bo przeczucie, że wydarzy się coś złego, dosłownie mnie miażdży. Nerwy mam napięte jak postronki.

– Wtedy też go pani miała.

Zerkam na Jankowskiego, nie mając pojęcia, o czym mówi. Dopiero gdy zauważam, że spogląda na mój wisior, orientuję się, że cały czas zaciskam na nim dłoń.

– Zawsze mam go przy sobie – bąkam, jeszcze mocniej ściskając metalowy krzyż. – Uratował mi kiedyś życie.

Komisarz kiwa głową. Z takim wisiorem muszę uchodzić za osobę głęboko wierzącą, ale miedziany krzyż nie ma nic wspólnego z wiarą. Chociaż jego symbolika idealnie odzwierciedla moją historię – krzyż jest przecież znakiem ocalenia od śmierci.

Policjant już nic więcej nie mówi, a ja masuję wiszący na mojej piersi metal, wierząc, że gdy zajdzie taka potrzeba, będzie w stanie po raz drugi uchronić mnie od najgorszego. Trzymam się tej myśli kurczowo, bo podświadomość nie przestaje mi podszeptywać, że zmierzam ku ciemności.

Zerkam ukradkiem na Jankowskiego, próbując ocenić, czy to właśnie jego powinnam się obawiać. Im dłużej spoglądam na komisarza, tym jaśniejsze staje się dla mnie to, że przede wszystkim powinnam racjonalnie myśleć. Policjant nie może chcieć mnie skrzywdzić, to się zwyczajnie nie trzyma kupy. Dziś zrobił tyle, że mój lęk nie ma żadnego uzasadnienia.

A mimo to gdy dojeżdżamy do Tomaszowic, powątpiewam, że widzę swoje osiedle. Samochód wjeżdża na utwardzoną drogę, mijamy kolejne domy, bliźniaczo podobne do mojego. Wóz zatrzymuje się w zatoczce przy bramie.

– Jesteśmy na miejscu – odzywa się policjant, jakbyśmy wcale nie zaparkowali pod moim domem. Kiedy spoglądam na niego, zauważam, że przez boczną szybę obserwuje posesję.

– Coś nie tak? – pytam.

– Tylko się rozglądam. – Mężczyzna obraca się twarzą w moją stronę. – Zaczekam tutaj, aż wejdzie pani do domu i przez okno da mi znać, że wszystko gra.

– A co ma nie grać? – Głos mi drży.

– Po prostu chcę mieć pewność, że jest pani bezpieczna.

Przytakuję bezgłośnie, choć nie bardzo rozumiem, co chodzi policjantowi po głowie, jakiego zagrożenia się spodziewa. Jestem tak rozedrgana, że niepokoi mnie każdy szczegół. W tej chwili nawet troska komisarza wydaje mi się podejrzana.

Zbieram się, żeby wysiąść z wozu. Chcę jak najszybciej uwolnić się od obecności policjanta. Otwierając drzwi, puszczam wreszcie wisior, palce mam zdrętwiałe od ciągłego ściskania metalu.

– Dziękuję. – Zanim zatrzaskuję drzwi samochodu, zauważam, że śledczy znów zagapił się na mój krzyż. Gdyby znał jego historię, pewnie nie puściłby mnie wolno. Niewykluczone, że któregoś dnia dowie się o wszystkim, skoro już wie o Kaśce, o tym, że się znamy i że dawna przyjaciółka nie życzy mi najlepiej.

Ruszam w stronę furtki, czując, że Jankowski stale mi się przygląda. Nim wejdę do domu, zerkam na samochód, przez szybę dostrzegam ciemną sylwetkę policjanta. Wciąż na mnie patrzy.

Wchodzę do środka i zamykam za sobą drzwi na klucz. Nie zdejmując butów, przechodzę do salonu, a potem również do kuchni, wszędzie zapalam światło. Czujnie zerkam we wszystkie kąty, choć tak naprawdę kompletnie nie wiem, czego mam wypatrywać. Dom wygląda normalnie, jest w nim surowo i pustawo, czyli jak zawsze, czyli tak, jak lubię. Spływa na mnie ulga, poczucie bezpieczeństwa wreszcie wydaje się osiągalne.

Podchodzę pod kuchenne okno i unoszę kciuk. Nie jestem pewna, czy policjant zobaczył ten gest, bo nie odjeżdża. Zamiast tego moja komórka zaczyna wibrować.

– Słucham – odbieram zdziwiona połączenie od Jankowskiego.

– Proszę sprawdzić górę.

– Po co?

– Mówiłem, chcę mieć pewność, że jest pani bezpieczna.

Rozłączam się i choć wciąż czuję niepokój na myśl o komisarzu, idę na górę. Zastanawiam się, kogo Jankowski podejrzewa o to, że może chcieć mnie skrzywdzić. Bo wszystko zaczyna wskazywać na to, że właśnie o to toczy się gra.

Wszędzie zapalam światło. Zaglądam do swojego pokoju i do łazienki. Kiedy jednak chcę zajrzeć do pokoju Arka, okazuje się, że drzwi nie ustępują. Szarpię mocniej za klamkę, bo przecież nigdy nie zamykaliśmy pomieszczeń na klucz. Wzajemnie szanowaliśmy swoją prywatność, ale też nie mieliśmy nic do ukrycia.

Gdy ponownie ciągnę za klamkę, przychodzi mi do głowy, że ostatnio było inaczej: przestaliśmy sobie ufać. Arek szperał w gabinecie Maurycego, z kolei ja w jego pokoju.

Omal nie wypuszczam telefonu z ręki, gdy ten znów zaczyna wibrować.

– Tak? – Przysuwam komórkę do ucha.

– Co się dzieje? – słyszę podejrzliwy głos Jankowskiego.

– Drzwi do pokoju brata są zamknięte na klucz – mówię. Wyjaśniam również, dlaczego to dla mnie duże zaskoczenie.

– Zerknę na to.

Połączenie zostaje przerwane. Wciąż przejęta faktem, że nie mogę dostać się do pokoju Arka, schodzę na dół i otwieram drzwi. Policjant jest już przy wejściu. Gdy przekracza próg, po ogarniającym mnie wcześniej poczuciu bezpieczeństwa nie ma już śladu. Pojawia się znajoma niepewność, a sytuacja nagle jawi mi się zupełnie inaczej niż do tej pory. Mój wóz został na policyjnym parkingu, a Jankowski wchodzi do mojego domu w środku nocy, po tym, jak przywiózł mnie tu bez świadków i upewnił się, że w domu nikogo poza mną nie ma.

– Tam? – pyta komisarz, wskazując klatkę schodową. – Domyślam się, że sypialnia pani brata jest na piętrze.

Kiwam głową, w której kotłuje się od skrajnych myśli, a policjant idzie na górę.

– Tutaj? – zgaduje Jankowski, bo to jedynie zamknięte drzwi na piętrze.

Potwierdzam, a śledczy wyjmuje z kieszeni niewielkie narzędzie, które nieco przypomina śrubokręt.

– Mogę? – Komisarz unosi, jak się domyślam, wytrych do zamków.

Jeszcze raz potakuję, usiłując nie myśleć, po co Jankowski nosi przy sobie taki sprzęt, bo raczej nie jest to standardowe wyposażenie funkcjonariusza policji.

Obraca się w stronę drzwi i zaczyna majstrować przy zamku. Próbuję podejrzeć, co właściwie robi, ale jego sylwetka przesłania mi widok. Mija chwila, podczas której moje obawy nieco zmieniają kierunek. Obecność policjanta nie przestaje mnie uwierać, ale domysły w kwestii tego, co ujrzę za drzwiami, jeśli Jankowskiemu uda się je otworzyć, wydają się zgoła straszniejsze.

Wstrzymuję oddech, bo przed oczami mam wisielca pośrodku pokoju. Arek był silny psychicznie, ale nigdy do końca nie wiemy, co

się dzieje w głowie drugiego człowieka.

Kiedy drzwi ustępują, płuca palą mnie jak wściekłe, wciąż nie potrafię wciągnąć powietrza.

Dopiero gdy przekonuję się, że w pokoju nie ma Arka ani martwego, ani tym bardziej żywego, zaczerpuję tchu. Powinnam czuć ulgę, ale całą przestrzeń zagarnia niepokój. W tej chwili nie mam w sobie miejsca na żadne inne odczucia.

– Wygląda w porządku?

– Tak – dukam, kiedy orientuję się, że to pytanie skierowane było do mnie.

Komisarz potakuje bezgłośnie, po czym wraca do rozglądania się po pomieszczeniu.

– Arek nigdy nie zamykał pokoju na klucz – mówię, choć policjant już o tym wie. – Ja też nigdy tego nie robiłam.

Jankowski nie przestaje lustrować pokoju. Sama spoglądam na biurko.

– Zabrał ze sobą kartoteki – mówię. – To znaczy kopie kartotek.

– Mhm – mruczy policjant, jakby nie zwracał specjalnej uwagi na to, co mówię.

– Arek od zawsze był zakręcony na punkcie anestezjologii – rzucam, gdy wzrok śledczego zatrzymuje się na podręczniku należącym do Maurycego.

– *Ciekawe przypadki kliniczne*. – Policjant odczytuje jego tytuł. – Jakie kartoteki miała pani na myśli? – A jednak mnie słuchał.

– Niedawno zakradłam się do jego pokoju i znalazłam tutaj kopie kartotek wszystkich zaginionych, w tym Michała Malczyka i Weroniki P. – wyjaśniam ostrożnie.

Komisarz pociera podbródek, przygląda mi się przy tym uważnie, jakby zastanawiał się, czy powinien mi wierzyć.

– Nie wiem, po co Arkowi te kartoteki – dodaję.

– Były tu dokumenty innych osób?

– Tak, wszystkich, który zaginęli – odpowiadam, szukając w pamięci tamtego momentu. Spieszyłam się, bałam się, że Arek zaraz wyjdzie z łazienki i nakryje mnie w swoim pokoju, ale dobrze pamiętam, co wtedy udało mi się podejrzeć.

– Rozumiem. – Śledczy obrzuca pokój jeszcze jednym spojrzeniem, po czym kieruje wzrok na mnie. – Sprawdziła pani wszystkie pomieszczenia?

– Nie byłam jeszcze w gabinecie Maurycego – przyznaję.

Wspólnie zaglądamy na poddasze. Tam też wszystko wydaje się w porządku.

– Proszę odpocząć – mówi policjant, kiedy jesteśmy już z powrotem na dole. Gdy kieruje się do drzwi, jestem niemal zaskoczona, że po prostu wychodzi. Wisielec w pokoju Arka to nie jedyna makabryczna wizja, która nie chciała dać mi spokoju.

Chyba właśnie tego mi trzeba, stwierdzam ze znużeniem, odpoczynku.

– I dzwonić, gdyby coś się działo – dodaje śledczy.

Potakuję skinięciem głowy.

– Dobranoc.

Gdy komisarz wreszcie wychodzi z mojego domu, rygluję drzwi i opieram się o nie plecami. Nogi mi się trzęsą, czuję zawroty głowy i oddycham nierówno. Znam ten stan, jestem o krok od ataku paniki.

Osuwam się na posadzkę i chowam twarz w dłonie. Sytuacja jest zbyt niepewna, żebym wspomogła się tabletką hydroksyzyny. Nie mogę się otumanić, muszę pozostać czujna. Nie mam innego wyjścia, jak sama wziąć się w garść.

—

–

—

Kiedy Siewka zaczął się niebezpiecznie do mnie zbliżać, pierwsze, co przyszło mi do głowy, to zacząć go obserwować. Wiedza zawsze daje największe możliwości. Podglądanie lekarza w Epione było stosunkowo łatwe, ale okazało się niewystarczające, trzeba było objąć obserwacją także dom. Pojawianie się tu rankiem, zanim Siewka wyjechał do pracy, stało się dla mnie swego rodzaju rutyną. Nie mogę powiedzieć, że zjawiam się tutaj codziennie, ale z pewnością często. Wieczorem też zdarza mi się tu przyjechać. Jeden poranek był szczególnie ciekawy. Jakaś kobieta pobazgrała drzwi wejściowe.

Miejsce do obserwacji jest ustronne. Jak zwykle parkuję samochód w zaciszu bujnych krzewów, większość gałęzi wypuściła już młode liście. Gaszę silnik. Zaczekam tutaj, aż Olga pójdzie spać. Wciąż palą się u niej wszystkie światła.

Rozsiadam się wygodniej, odsuwam nieco fotel od kierownicy, żeby móc wyciągnąć nogi. Nie wiem, ile przyjdzie mi tu czekać.

Mijają kolejne chwile. Dookoła jest ciemno. Spoglądam na pobliskie domy, niemal wszyscy sąsiedzi już śpią. Tylko w nielicznych oknach można dostrzec nikły blask włączonego telewizora albo nocnej lampki.

Dopadają mnie wątpliwości. Wcale nie chcę jej krzywdzić. Zadawanie bezsensownego cierpienia nie jest i nigdy nie było moją praktyką ani tym bardziej celem. Coś mi jednak podpowiada, że Olga stała się zagrożeniem, którego nie mogę zlekceważyć.

Sięgam po plecak leżący na fotelu pasażera. Sprawdzam, czy na pewno wszystko mam. Klucze do domu, jednorazowe rękawiczki, zastrzyk śmierci… Zatrzymuję dłużej spojrzenie na mieszaninie leków nasennych i zwiotczających mięśnie. Mogę szybko pozbyć się problemu, jeden zastrzyk i sprawa będzie zamknięta. Mam gdzie pochować ciało. W bunkrze czekają jeszcze zwłoki jej brata, wykopanie nowego grobu i tak jest nieuniknione.

Mogliby nawet spocząć razem. Tyle że jest mi szkoda marnować szansę na kolejnego ludzkiego pacjenta. Skoro Olga i tak ma umrzeć, to niesprawdzenie kolejnej wersji buforu wydaje mi się marnotrawstwem. Niewybaczalną stratą.

Owszem, nowy skład jeszcze nie powstał, nie było na to czasu. Już poprzedni trzeba było sformułować na szybko.

W plecaku mam jeszcze fiolki z lekami nasennymi, zawsze noszę je przy sobie. Tak na wszelki wypadek. Zamiast uśmiercać, mogę Olgę jedynie uśpić, a potem przewieźć ją do bunkra. Zaczeka tam, aż opracuję nową wersję buforu. Dzień, dwa i będzie gotowa.

Unoszę głowę i spoglądam na domy. U Olgi wciąż palą się światła. Jeszcze nie śpi. Poprawiam się w fotelu, a potem dochodzę do wniosku, że nie mogę zmarnować okazji na kolejny eksperyment. Tym bardziej że w perspektywie mam dłuższą przerwę. Policja i opinia publiczna znów muszą o mnie na jakiś czas zapomnieć.

36

Nie sądziłam, że w ogóle zapadnę w sen. Wielokrotnie kładłam się do łóżka przekonana, że zasypiam na stojąco, a sen nie chciał przyjść. Jednak dziś najwyraźniej wydarzyło się za dużo i mój mózg postanowił się od tego wszystkiego odciąć.

Budzę się nagle. Leżę na brzuchu i nadstawiam uważniej uszu. Zastanawiam się, co mnie wyrwało ze snu, wydaje mi się, że jakiś hałas. Nie dobiegają mnie jednak żadne dźwięki. Znów musiało mi się coś przyśnić. Trudno mi sobie przypomnieć jakiś konkretny sen, ale nie zdziwiłabym się, gdyby męczyły mnie koszmary.

Nim zdążę na nowo zasnąć, znów mam wrażenie, że coś słyszę. Jakiś szelest. Nie ruszam się, nasłuchując, czy dźwięk się powtórzy. Powtarza się. Teraz bardziej przypomina szuranie albo ocieranie się o siebie dwóch kawałków jakiegoś sztywniejszego materiału.

Dopada mnie przeświadczenie, że nie jestem już w domu sama. Myśli zaczynają wirować mi w głowie.

Sprawdziliśmy przecież z Jankowskim dom. Mimo to zastanawiam się, czy faktycznie miało to miejsce, czy może tylko mi się śniło. Obrazy w mojej głowie są jednak zbyt wyraźne, żeby powątpiewać w realność tamtego zdarzenia. Nikogo tutaj nie było. Udało się nam nawet zajrzeć do pokoju Arka, Jankowski użył wytrychu…

Przechodzą mnie ciarki na wspomnienie tego, z jaką łatwością policjant poradził sobie z zamkiem. Od razu zaczynam się zastanawiać, czy równie gładko poszłoby mu z drzwiami wejściowymi.

Wciąż się nie ruszam, kiedy do moich uszu znów dolatuje szmer. Ktoś idzie po schodach. Kroków praktycznie nie słychać, ale wyraźnie

szeleści czyjeś ubranie. Drzwi do sypialni zostawiłam otwarte, żeby mieć widok na korytarz, więc słyszę to wyraźnie.

Kiedy charakterystyczne szuranie się powtarza, poczucie, że nie jestem w domu sama, zmienia się w dławiącą pewność. Gorączkowo myślę, kto i po co mógłby przyjść tutaj w środku nocy, upominam się przy tym, żeby się przypadkiem nie poruszyć. Intuicja podpowiada mi, że powinnam udawać, że śpię przynajmniej dopóty, dopóki nie uda mi się lepiej zorientować w sytuacji.

Pomimo umiejętności, które zaprezentował mi dziś Jankowski, skreślam go z listy podejrzanych. Teraz najbardziej prawdopodobne wydaje mi się to, że intruzem jest ktoś, kto ma klucze do domu.

Arek. W końcu tu mieszka.

Może brat po prostu wrócił do domu. Może zaraz się okaże, że tylko niepotrzebnie panikuję. Próbuję sama siebie przekonać, że może tak być, jednak coś w głowie ciągle mi podpowiada, że to płonna nadzieja. Że powód zniknięcia Arka nie może być banalny.

Wreszcie w polu mojego widzenia pojawia się ciemna sylwetka. Atramentowy zarys pokonuje ostatnie stopnie i zmierza w moim kierunku. Po zwisających wzdłuż twarzy włosach i krągłych biodrach rozpoznaję, że to kobieta. Te szczegóły wystarczają mi, by już wiedzieć, kto włamał się do mojego domu.

Chcę chwycić za wisior, który jak zwykle mam na szyi, lecz wiem, że jeśli to zrobię, już nie będzie odwrotu. Resztkami woli zmuszam się, żeby nie pociągnąć za dolną część krzyża.

Oczami wyobraźni widzę, jak ze świstem wysuwa się cienkie zakrzywione ostrze. To właśnie nim zabiłam Fabiana. Nie spotykali się z Kaśką długo, ale wystarczająco, żeby przyjaciółka się od niego uzależniła. Problem polegał na tym, że chłopak też był uzależniony, ale od dragów. Ćpał i wciągał w to bagno Kaśkę. Sama o mało w nie nie wpadłam.

Nie wiem, czym Fabian nafaszerował się tamtej nocy, ale całkowicie stracił nad sobą kontrolę. Rzucił się na mnie, próbował

zedrzeć ze mnie spodnie. Nóż, zakamuflowany wcześniej w metalowym krzyżu, wszedł w szyję chłopaka jak w masło. Uciekłam. Zostawiłam go, żeby się wykrwawił.

Nie powiązano śmierci Fabiana ze mną, winą obarczono kolegów, którzy ćpali razem z nim. Jedyną osobą, która mogła naprowadzić policję na prawdę, była Kaśka. Widziała, co zrobiłam. Próbowała odciągnąć ode mnie Fabiana, chłopak odepchnął ją od siebie jak szmacianą lalkę. Uderzyła głową o chodnik, dość mocno. Musiałam użyć tego noża. Musiałam.

Po tamtej nocy rozmawiałyśmy ze sobą tylko raz, gdy wiedziałyśmy już, że Fabian nie żyje. Kaśka była całkowicie rozdarta, wściekła na niego, że próbował zrobić to, czego sama była świadkiem, a jednocześnie rozgoryczona tym, że go bezpowrotnie straciła. Nie doniosła na mnie, ale też nigdy więcej się do mnie nie odezwała. Może liczyła, że prędzej czy później dosięgnie mnie sprawiedliwość. Poniekąd tak się stało. Zabrano mi Maurycego, co dla mnie jest najsurowszą karą.

Kaśka staje w progu mojego pokoju. Zaczynam się trząść na całym ciele, kiedy uświadamiam sobie, z jaką łatwością tu weszła. Musiała jakoś zdobyć klucze do domu. Są tylko dwie możliwości: ma klucze Arka albo Dagi. A to przecież oznacza, że któremuś z nich mogła stać się krzywda.

To z Arkiem nie mogę się od dłuższego czasu skontaktować. Męża już straciłam, więc brat jest w tej chwili najbliższą mi osobą. Pytanie, skąd Kaśka o tym wiedziała. Śledziła moje życie? Może robiła to od zawsze? Złudnie założyłam, że nasze drogi się rozeszły, straciłam czujność, a ona to wykorzystała.

Ciemna sylwetka zbliża się do mojego łóżka. Do pokoju wpada trochę księżycowego światła, dzięki któremu dostrzegam, że Kaśka unosi dłoń. W pierwszej chwili nie mam pojęcia, co w niej trzyma, ale zaraz orientuję się, że to… strzykawka.

Nie mogę dłużej zwlekać, obracam się i szybko podnoszę z łóżka. Niemal jednocześnie chwytam za krzyż i ciągnę za jego końcówkę. Ostrze połyskuje w nikłej poświacie wpadającej przez okno do pokoju.

– O proszę – odzywa się i choć głos wydaje mi się znajomy, nie pasuje do Kaśki. – Nie śpisz jednak. A więc dobrze zrobiłam, przychodząc tu. Pewnie zaczęłabyś węszyć koło mnie szybciej, niż mi się wydaje.

Nie mam bladego pojęcia, o czym mówi ta kobieta, ale w tej chwili ważniejsze jest dla mnie to, z kim, do diabła, mam do czynienia. Intruz nie daje mi wiele czasu na myślenie, tylko przechodzi do ataku. Zaskakuje mnie siła, z jaką się na mnie rzuca, tracę równowagę i upadam na podłogę. Ostrze wypada mi z dłoni. Uderzam plecami o róg łóżka, jednak krzyk bólu więźnie mi w gardle, bo księżyc lepiej oświetla twarz kobiety i widzę nad sobą… Paulinę Malczyk.

—

–

—

Nie miałam innego wyjścia, jak zostać salową. Medycyna fascynowała mnie od najmłodszych lat i choć nie należałam do najlepszych uczniów w klasie, nauka przedmiotów przyrodniczych przychodziła mi z łatwością. Pojawiało się mnóstwo tematów, które szalenie mnie interesowały. Były takie partie materiału, które wystarczyło, że raz przeczytałam i pamiętałam w szczegółach.

Zdawałam sobie jednak sprawę, że dostanie się na studia medyczne będzie trudne. Po cichu liczyłam, że może mi się uda. Niestety stało się najgorsze, nie zostałam przyjęta na kierunek lekarski. Zaczęłam myśleć o pielęgniarstwie. Matka nie chciała o tym słyszeć. Wymyślała kierunki, które w ogóle mnie nie interesowały. Przebąkiwałam o ratownictwie medycznym, a nawet biotechnologii, ale te kierunki również nie spotkały się z jej aprobatą. Cóż, dziś wiem, że żaden z moich wyborów nie byłby dla niej zadowalający.

Decyzja zapadła, miałam iść na bankowość. Byłam w pełni świadoma tego, że jedynie spełniając wolę matki, będę mogła liczyć na wsparcie finansowe.

Zrezygnowałam z niego.

Wyniosłam się z domu zaraz po skończeniu liceum. Wiedziałam, że nie będę mieć życia, jeśli nie podejmę studiów wybranych mi przez matkę. Wolałam jednak przymierać głodem niż dłużej znosić jej dyktaturę.

Nic takiego się jednak nie wydarzyło, nigdy nie głodowałam ani nawet nie spałam pod mostem. Podjęłam pracę w szpitalu, wynajęłam mieszkanie. Okazało się, że wcale nie jestem taką nieudacznicą, za jaką zawsze uważała mnie matka. Oczywiście w jej oczach pozostałam nią do końca. Posada salowej w państwowej placówce nie mogła jej usatysfakcjonować. Więcej, profesja, której się podjęłam, stanowiła dla niej swego rodzaju hańbę. Na szczęście nie musiałam wysłuchiwać jej toksycznych uwag, bo trzymałam się od niej na bezpieczny dystans. Stopniowo ograniczałam kontakt, a gdy

zaczęła rościć sobie prawo do spadku, który zostawił mi dziadek, całkowicie się od niej odcięłam.

Dziś wiem, że było to najlepsze, co mogłam zrobić.

Praca w szpitalu okazała się cięższa, niż przypuszczałam. Snułam plany, że w wolnych chwilach będę się uczyć, żeby ponownie zdawać na medycynę. Niestety wolnego czasu miałam jak na lekarstwo i nic nie wyszło z moich ambitnych postanowień. Zabrakło mi wtedy determinacji i samozaparcia, byłam młoda i zdana wyłącznie na siebie, a podczas dyżuru miałam co robić. Do moich obowiązków należało: sprzątanie sal szpitalnych, roznoszenie posiłków, podmywanie pacjentów i to, co czyniło tę pracę tak potwornie męczącą – nieograniczona pomoc pielęgniarkom. Te kobiety się nami zwyczajnie wysługiwały. W tamtym czasie brakowało uregulowań w zakresie obowiązków salowej i to sprawiało, że byłyśmy właściwie od wszystkiego. Zdarzało się nawet, że na blokach operacyjnych powierzano nam zadania tak zwanej instrumentariuszki brudnej. Koleżankom po fachu się to nie podobało, sama początkowo narzekałam, nikt przecież nie chce dodatkowych obowiązków. Z czasem to się jednak zmieniło. I to diametralnie. Zrozumiałam, że dostaję szansę, by być w miejscu, w którym miałam się nigdy nie znaleźć.

Właśnie dzięki ówczesnemu bałaganowi miałam szczęście zobaczyć na własne oczy odruch Łazarza. Tamta chwila wciąż jest we mnie jak żywa. Zmarły uniósł ramiona i skrzyżował je na piersi, bardzo powoli, ale jednak samodzielnie. Zupełnie jakby jeszcze z zaświatów potrafił władać swoim ciałem albo na moment wrócił do życia. Bycie świadkiem syndromu Łazarza, czyli faktycznego powrotu do żywych, musi być absolutnie przepięknym zjawiskiem. Wierzę, że w końcu uda mi się je zaobserwować. Wytrwale do tego dążę. Mam wystarczającą wiedzę, by być przekonaną, że kiedyś się to wydarzy.

Kiedy ujrzałam odruch Łazarza, ogarnęłam się. Przestałam trwonić czas, „odpoczywać", czyli spędzać wolne chwile na bezproduktywnym gapieniu się w telewizor albo komórkę. Gdy zaczęłam uczyć się na własną rękę, przepadałam. Dałam też sobie spokój ze studiami, przestałam sądzić, że są mi potrzebne. I miałam rację. Samodzielne zdobywanie wiedzy dawało komfort, o którym studenci medycy mogą jedynie pomarzyć – uczyłam się tego, co faktycznie mnie interesowało i było mi potrzebne. Kiedy poczułam, że wiem tyle, ile powinnam, czyli zdecydowanie więcej niż przeciętny lekarz stażysta pojawiający się w szpitalu, zaczęłam myśleć o tym, że potrzebuję praktyki. Najpierw bawiłam się tylko z trupami, później ćwiczyłam na żywych pacjentach. Najlepsi byli ci w śpiączce. Nie ograniczałam się do banalnych

zastrzyków z soli fizjologicznej, potrzebowałam umieć więcej. Wkłucia dożylne, cewnikowanie, przećwiczyłam nawet intubację.

Wbrew temu, co chciała mi wmówić matka, jestem kimś. Eksperymenty, których się podjęłam, wzniosły mnie nad wszystkich. Wiem, że wielu medyków marzy o prowadzeniu równie skomplikowanych badań, ale ograniczają ich normy i własne zahamowania. Maurycy Soboń i Arkadiusz Siewka są na to najlepszym dowodem. Szalenie inteligentni, zdolni, mający obszerną wiedzę i olbrzymie umiejętności, niestety pozbawieni większych aspiracji i odwagi.

Najpierw jeden zaczął węszyć, później drugi. I obaj, zamiast dostrzec potencjał drzemiący w tym, co robię, chcieli mnie spacyfikować. Szkoda, że żaden z nich nie okazał się współczesnym Cornishem.

A teraz jeszcze żona Sobonia.

Trzyma się blisko Jankowskiego, co tylko potwierdza, że idzie w ślady męża i brata.

Właśnie, Jankowski…

Choć zastosowałam najskuteczniejszy kamuflaż z możliwych, policjant nabrał wobec mnie podejrzeń. Nie powinnam była zgarniać tej całej Weroniki ze szpitala, to był głupi pomysł. Nie musiałabym wtedy majstrować przy monitoringu. A może przeszarżowałam, gdy wystąpiłam w Uwadze, żeby obwieścić, iż policyjna ekspertyza potwierdziła, kto jest autorem wiadomości. Powinno mnie zaalarmować to, że policjant powiedział mi o ustaleniach grafologa, a jednocześnie nie spieszył się z przekazaniem wieści mediom. Był taki współczujący, gdy mówił mi o wyniku, taki zatroskany. Brał mnie pod włos. Chciał, bym się nie zorientowała, że wziął mnie na celownik. I na co mu to było?

Niczego w domu nie znalazł, nie mógł znaleźć, bo niczego tam nie ma. O tym, że posiadam nieruchomość w Mogilanach, nie wie nawet Michał. Mam nadzieję, że przełożeni zrobią komisarzowi koło dupy tak, że wyleci z policji. No, może aż tak kolorowo nie będzie, ale z całą pewnością przeszukując dom pokrzywdzonego, policjant zwyczajnie wtopił.

Cóż, jeśli się ode mnie nie odczepi, skończy jak reszta. Będzie następny.

37

Kobieta bierze zamach w moją stronę. Udaje mi się zablokować jej dłoń, ale jest silna, nie wiem, jak długo zdołam stawiać jej opór.

– Spokojnie – mówi. Tym razem jej głos idealnie pasuje do kobiety, którą do tej pory znałam jedynie ze szklanego ekranu. – Zaśniesz po tym zastrzyku jak dziecko. – Igła przymocowana do strzykawki wypełnionej jakimś bezbarwnym płynem przysuwa się niebezpiecznie blisko mojej skóry.

Sapię, usiłując odepchnąć od siebie Malczykową i zlokalizować nóż, który upuściłam. Zauważam go kątem oka. Leży niedaleko, gdybym wyprostowała rękę, dosięgnęłabym go. Brakuje mi jednak siły albo sprytu, żeby to zrobić.

Gdy uświadamiam sobie, że kobieta, która najwyraźniej usiłuje mnie zabić, doprowadziła własnego męża do paraliżu, żeby odsunąć od siebie podejrzenia policji, wzbiera we mnie obrzydzenie. Natychmiast przeradza się ono w wściekłość. Puls tak gwałtownie mi przyspiesza, że aż zaczyna łupać mnie w skroniach. Podobne okrucieństwo nie mieści mi się w głowie. Pewność do co winy Maurycego, którą od początku obserwowałam w zachowaniu kobiety, nabiera też głębszego znaczenia. Wrobiła Maurycego, a potem pewnie go zabiła.

Słyszę potężny krzyk, tak głośny, że bolą mnie od niego uszy. Gdybym miała wolne ręce, osłoniłabym je przed tym nieludzkim wrzaskiem. Dopiero moment później zdaję sobie sprawę, że wydobywa się on z mojego gardła, a Malczykowa leży na posadzce. Udało mi się ją z siebie zrzucić. Nie czekając ani chwili, sięgam po

nóż. Metalowa końcówka krzyża świetnie leży mi w ręce, lata zaciskania na niej dłoni zrobiły swoje.

Wstaję i doskakuję do Malczykowej.

– Wiedziałam, że będziesz następna – syczy rozwścieczona, skutecznie mnie od siebie odpychając. Znów ląduję na posadzce. – Najpierw mężulek, potem brat, kwestia czasu, aż sama zaczęłaś węszyć. Byłaś w szpitalu, rozpytywałaś…

Malczykowa rzuca się na mnie. Nie ma w dłoni strzykawki, co dodaje mi animuszu. Kobieta jest cholernie silna, zaraz wyrwie mi nóż. Zaczynam wierzgać nogami, kopać niemal na oślep. Myśl o tym, że to ona zabrała mi Maurycego, doprowadza mnie do białej furii. Kopię jeszcze mocniej, a kiedy Malczykowa cofa rękę, wyprowadzam cios nożem. Tryska krew, która ochlapuje mi twarz.

Czując lepką wilgoć na swojej skórze, dosłownie przenoszę się w czasie, mam wrażenie, że to krew Fabiana. Obryzgała mi ręce, po powrocie do domu długo je szorowałam, ale poczucie, że szkarłatne drobinki wciąż są na mojej skórze, nie chciało zniknąć. Przez wiele tygodni wciąż myłam dłonie i wciąż wydawały mi się one brudne.

Gdy wracam do tego, co tu i teraz, Paulina Malczyk leży nieruchomo na podłodze, a jej ciało jest skąpane we krwi.

38

Znów nie mogę doszorować dłoni. Jankowski pozwolił mi się umyć, ale wciąż widać bordowe zacieki pod moimi paznokciami. Jeszcze chwilę temu okropnie mi to przeszkadzało, lecz teraz już nic się nie liczy. Muszę tylko go zobaczyć. Przekonać się, że policjant sobie ze mnie nie drwi.

Komisarz zjawił się w moim domu, gdy tylko do niego zadzwoniłam. Nie mogłam drugi raz zataić, że zabiłam człowieka. Nawet jeśli znów był to ktoś, kto pierwszy mnie zaatakował. Kto skrzywdził najbliższe mi osoby. Zresztą nie wiem, jak miałabym zatuszować całą zbrodnię, gdzie ukryć ciało, jak pozbyć się śladów, od czego w ogóle zacząć. I przede wszystkim jak żyć z poczuciem, że znów pozbawiłam kogoś życia.

W pokoju przesłuchań na komendzie spędziłam dobrych kilka godzin. Ze szczegółami opowiedziałam Jankowskiemu o tym, co się wydarzyło, później policjant zostawił mnie samą w pomieszczeniu, które nagle nabrało dla mnie wyjątkowo złowrogiej aury.

Długo go nie było, a kiedy wrócił, oświadczył, że jedziemy do szpitala. Byłam tak przybita, więcej – zdruzgotana tym, co się wydarzyło, że nawet nie zaprotestowałam, tylko potulnie poszłam za policjantem.

A teraz przemierzam szpitalny korytarz, czując, że zaraz rozsadzi mnie od nadmiaru emocji, które we mnie buzują. Niedowierzanie, nadzieja, euforia i strach przetaczają się przeze mnie niczym nawałnica.

– Tutaj. – Jankowski przystaje przy białych drzwiach oznaczonych numerem siedemnaście. Jedną dłoń kładzie na klamce, drugą na

moim ramieniu. – Od początku miała pani rację – mówi, posyłając mi uśmiech, którego nigdy wcześniej u niego nie widziałam. Ten ciepły grymas zmywa typową hardość z jego twarzy i odejmuje mu lat.

Komisarz kiwa jeszcze głową, po czym otwiera drzwi. Przepuszcza mnie w progu.

Nie wchodzę do pokoju od razu, najpierw ostrożnie do niego zaglądam. Kiedy okazuje się, że policjant nie pogrywa sobie ze mną, chcę wbiec do środka, ale nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Mogę tylko mu się przyglądać.

Siedzi na łóżku, opiera się plecami o zagłówek, pewnie nie ma siły samodzielnie utrzymać wyprostowanej pozycji. Jest szczuplejszy, niż kiedy go ostatnio widziałam, a jego policzki pokrywa zarost, którego nigdy nie nosił. Wydaje się w niezłej kondycji, muszę przyznać, że nie tego się spodziewałam. Byłam przygotowana na zgoła inny widok.

Mam ochotę uśmiechnąć się do niego, tak się cieszę, że dobrze wygląda. Ale oszołomienie wciąż mnie obezwładnia. Serce nieprzerwanie bije mi tak szybko, że aż kłuje mnie w piersi, i nadal cała tak się trzęsę, że nie potrafię ruszyć z miejsca.

– Olga… – odzywa się, kiedy nasze spojrzenia się spotykają. Dźwięk jego głosu jest jak najpiękniejsza melodia, jak skomponowana przez najwybitniejszego muzyka symfonia. – Olga… – powtarza.

Puszczam się biegiem w jego stronę. Nie zważam na to, że w pokoju są inni ludzie, personel medyczny i Jankowski, po prostu podbiegam do Maurycego i wtulam się w niego, jakby zaraz miał znów zniknąć z mojego życia.

EPILOG

Pogrzeb Arka był najsmutniejszym wydarzeniem w moim życiu. Nie cierpiałam tak bardzo nawet wtedy, kiedy Maurycy zniknął. Może dlatego, że wówczas pozostała jakaś furtka, tymczasem zamknięcie trumny z ciałem to ostateczność. Na inne zakończenie już nie mogę liczyć.

Maurycego znaleziono w podziemnym bunkrze. Malczykowa dbała o niego, bo był jej potrzebny. Pomagał jej opracowywać skład kolejnych buforów życia. Tak nazywała te mieszaniny, podczas gdy przed ich aplikacją z premedytacją uśmiercała kolejnych nieszczęśników. W jednym z wywiadów określiła sprawcę paraliżu swojego męża diabłem w ludzkiej skórze – teraz opinia publiczna nie może otrząsnąć się z szoku, że kobieta tak naprawdę mówiła o sobie.

Paulina Malczyk wciąż straszyła Maurycego, że mnie zabije. Współpracował zatem. Napisał nawet tę wiadomość ze słowem „Wróciłem".

Nie wykrwawiła się na śmierć, choć kiedy zespół ratunkowy przybył na miejsce, krwi było naprawdę dużo. Lekarzom udało się jednak ocalić Malczykowej życie. Wyśpiewała wszystko Jankowskiemu, i to bardzo chętnie. Podobno policjant nie musiał się w ogóle wysilać, żeby poznać szczegóły. Zapowiedziała nawet, że napisze książkę o swoich dokonaniach. Mam nadzieję, że nie znajdą się ludzie, którzy zechcą ją opublikować.

Jestem pełna podziwu dla Jankowskiego, bo rozgryzł zagadkę, mimo że Malczykowa bardzo się postarała, żeby nigdy nie znaleźć się w kręgu podejrzanych.

Maurycy jest dziwny, czasem zwyczajnie go nie poznaję. Staram się jednak być cierpliwa i napominam się o wyrozumiałość, wiem, że sama zachowuję się inaczej, niż zanim się to wszystko wydarzyło, a przecież to nie ja spędziłam pięć lat w odosobnieniu. Wierzę, że jakoś ułożymy sobie życie na nowo.

Zaczęliśmy od przeprowadzki. Pozostajemy w pobliżu Krakowa, nie chcę oddalać się od Dagi i grobu Arka, ale właściwie nikomu nie zdradzam, gdzie się ulokowaliśmy. Oboje z Maurycym potrzebujemy teraz spokoju.

Wchodzę do mieszkania, które w porównaniu z domem w Tomaszowicach sprawia wrażenie ciasnej klitki. Gdy uda się nam sprzedać tamtą nieruchomość, z pewnością kupimy coś większego, a na razie te trzydzieści parę metrów kwadratowych musi nam wystarczyć.

– Jestem – wołam od progu. Byłam w Giebułtowie.

Śmierć Arka uświadomiła mi, że nie ma czasu do stracenia, że trzeba otworzyć się na drugiego człowieka bez zwlekania, bo nim się obejrzymy, może być za późno.

Zaczęłam od dawnej przyjaciółki. Kaśka potrzebuje pomocy. Dawniej cały czas się obawiałam, że dosięgnie mnie karma za to, co zrobiłam, jednak teraz widzę to inaczej. Nic nie dzieje się bez przyczyny. Czuję, że moim obowiązkiem jest wyrwać Kaśkę z przemocowego związku, w którym tkwi. Na razie niewiele udało mi się osiągnąć, ale się nie poddaję.

Wciąż nikt nie wie, że jestem odpowiedzialna za śmierć Fabiana, i chyba już na zawsze tak pozostanie.

– Hej – wołam znów, po czym przechodzę do części mieszkania zaaranżowanej na salon.

Maurycy siedzi na kanapie i czyta. Zawsze dużo czytał, cieszę się, że są rzeczy, które pozostały niezmienne. Na mój widok odkłada czasopismo na stertę, która piętrzy się przy boku sofy.

– Jak ci minęło przedpołudnie? – pytam.

– W porządku – odpowiada. – A tobie?

– Też nie najgorzej.

– Cudownie – komentuje Maurycy, uśmiechając się. To też w nim pozostało, wewnętrza pogoda ducha.

– Zgłodniałam – oznajmiam. – Zamówimy obiad? Nie chce mi się stać dziś przy garach.

– Pewnie – chętnie się zgadza.

– Na co masz ochotę?

– Na to, co ty.

Maurycy idzie do toalety, a ja odpalam aplikację Pyszne.pl i opadam na kanapę. Niechcący zahaczam nogą o stos czasopism, który się przewraca. Odkładam telefon i schylam się, żeby posprzątać bałagan. Jeden z periodyków jest otwarty, a ja machinalnie zerkam na tytuł artykułu.

Osiągnięcia Cornisha.

Zimny dreszcz przebiega mi po plecach, kiedy dostrzegam, że strona oznaczona jest kolorową karteczką. Nic nie zostało na niej zapisane, ale zauważam więcej podobnych zakładek powtykanych w kolejne bruliony. Sięgam po czasopisma i otwieram tam, gdzie umieszczone są naklejki.

Cornish i jego eksperymenty.

Co tak naprawdę udało się osiągnąć amerykańskiemu naukowcowi?

Naukowa spuścizna Cornisha.

Zamykam pismo, które trzymam w dłoniach, gdy słyszę spłuczkę w łazience. Pospiesznie układam periodyki w stos.

– To co jemy? – Maurycy pojawia się w salonie.

Siedzę już na kanapie, wzrok mam wbity w telefon, tyle że całkowicie straciłam apetyt.

POSŁOWIE

Bardzo dużo mówi się teraz o toksycznych relacjach w rodzinie i o tym, jaki mają one wpływ na dzieci dorastające pod opieką narcystycznej matki czy narcystycznego ojca. Obok tego pojawiają się głosy, że to zwyczajna moda, wymówka na życiowe niepowodzenia. Pozwólcie, że przypomnę kilka zdań, które przeczytaliście w tej książce: „Takie czasy, powie ktoś, tak było i tyle, nie ma co przesadzać. Jednak trauma z dzieciństwa nie znika z biegiem lat ani nie rozpływa się w magiczny sposób, gdy stajemy się dorośli. Ona przeradza się w coś znacznie gorszego".

Dziecięca psychika jest delikatna, krucha i niczym nieosłonięta. Łatwo ją pogruchotać. Cieszę się, że społeczna świadomość w tej kwestii stale wzrasta, a coraz większy odsetek dorosłych postrzega dziecko tak, jak powinno być postrzegane – jak człowieka. Brzmi kontrowersyjnie? Ktoś się oburzy, zapewni, że przecież zawsze tak było, ale zadajmy sobie pytanie, czy aby na pewno? Złoszczący się dorosły jest po prostu złoszczącym się dorosłym, ale złoszczące się dziecko jest niegrzeczne. Zmęczony dorosły jest zmęczony, jednak zmęczone dziecko jest niegrzeczne. Wyrażający swoje zdanie dorosły jest asertywny, natomiast dziecko walczące o swoje jest… niegrzeczne. I można jeszcze długo tak wymieniać. Przemoc nie zawsze przybiera cielesną formę, a przemocowy dom to nie tylko taki, w którym są nałogi i fizyczna agresja. Przemoc emocjonalna również sieje ogromne spustoszenie. Wyzwiska, groźby, straszenie, nadmierne wymagania, emocjonalny chłód i manipulacja – to wszystko niszczy dziecięcą psychikę, nieraz nieodwracalnie. Wierzę, że oprócz rozrywki, której mają za zadanie dostarczyć thrillery, książka *Pod dachem z mordercą* skłoni do zastanowienia się nad tym problemem.

Dziękuję całej ekipie Czwartej Strony Kryminału za to, że moja kolejna powieść zagościła na księgarskich półkach. Szczególne słowa wdzięczności należą się Annie Rychlickiej-Karbowskiej, Aleksandrze Deskur i Marcie Kujawie, które znów to zrobiły – kompleksowo zaopiekowały się moją powieścią. Podtrzymuję to, co twierdziłam już wcześniej, praca z tymi trzema kobietami to czysta przyjemność!

Podziękowania kieruję również do Leszka Koźmińskiego, który rozwiał kilka wątpliwości natury merytorycznej.

Dziękuję także Bartkowi Soczówce, który otrzymał surowy tekst powieści, za doping w chwilach zwątpienia, entuzjazm, gdy powieść powstała, i cenne uwagi już po lekturze.

Nie byłabym sobą, gdybym nie wspomniała o swoich najbliższych! Córeczko, synku i mężu, dziękuję, że jesteście, bez Was nie napisałabym nawet jednego sensowego zdania!

Oczywiście dziękuję i Tobie, czytelniku/czytelniczko, za to, że sięgnąłeś/sięgnęłaś po thriller Pod dachem z mordercą. Piszę dla Ciebie, więc mam nadzieję, że i tym razem lektura okazała się satysfakcjonująca.

Ponadto proszę pamiętać, że bohaterowie i wydarzenia przedstawione w książce są w pełni fikcyjni, a potencjalne zbieżności z rzeczywistością – wynikiem mojej wyobraźni.

Do ponownego przeczytania!

Klaudia Muniak

Co dla ciebie było największym wyzwaniem podczas pisania *Pod dachem z mordercą*? Z czym musiałaś się mierzyć? Jak sobie z tym poradziłaś?

Wiele razy wspominałam o tym, że często inspiracją do utkania nowej historii są dla mnie ciekawostki medyczne czy nowinki z dziedzin okołomedycznych. Tak właśnie to wyglądało w przypadku tej książki, od wątku medycznego wszystko się zaczęło. Pojęcie syndromu Łazarza było mi znane już od dawna, miałam je z tyłu głowy podczas tworzenia kilku swoich poprzednich książek. Dziesiątki razy brałam je na tapet i nic z tego nie wychodziło. Obudowanie tego szalenie intrygującego i jednocześnie niezwykle rzadkiego zjawiska fabułą okazało się trudniejsze, niż mogłoby się wydawać. Jak sobie z tym poradziłam? Szukam informacji, drążyłam temat, podgryzałam go z różnych stron. Nowe bodźce stały się paliwem napędowym dla wyobraźni, która ostatecznie podołała wyzwaniu.

W swoim thrillerze zwracasz uwagę na relacje dzieci z rodzicami i na to, jak ogromny wpływ mają na kształtowanie człowieka. Czy podczas robienia researchu natrafiłaś na jakąś historię lub artykuł, który sprawił, że postanowiłaś poruszyć ten temat w książce?

Ten element wkomponował się w książkę, powiedziałabym, samoistnie. Jesteśmy jako społeczeństwo coraz bardziej

świadomi, że to właśnie relacje rodzinne determinują osobowość dziecka i to, jak będzie wyglądało jego dorosłe życie. Coraz więcej osób zdaje sobie sprawę, że zmaga się z nieprzepracowanymi traumami. I o tym mówi. Na problem zwracają też uwagę psychologowie i terapeuci, którzy spotykają się z takimi ludźmi w swoich gabinetach. W sieci można znaleźć mnóstwo tego typu treści i choć pojęcia narcystycznej osobowości czy też toksycznego rodzica są mi znane od dawna, poruszyła mnie skala tego zjawiska. Myślę, że podejmowanie problemów społecznych to coś, co charakteryzuje moją twórczość, więc nie wyobrażam sobie, że mogłabym przejść obojętnie wobec tabu, jakim jeszcze do niedawna były narcystyczne rodziny. Przemoc psychiczna wobec dziecka jest dotkliwym i skrajnie niezrozumiałym okrucieństwem, którego nigdy nie powinno się normalizować.

Wybierając narrację pierwszoosobową, podejmujesz się niełatwego zadania wejścia w buty swojej bohaterki. Czy wcielenie się w rolę Olgi Soboń, okrzykniętej żoną mordercy, było dla ciebie trudne?

Było bardzo trudne! A to dlatego, że musiałam postawić się na miejscu osoby wytykanej palcami, kobiety, którą gardzą obcy ludzie, ale także odwrócili się od niej przyjaciele i znajomi. Warto jednak zaznaczyć, że jednocześnie wejście w skórę Olgi Soboń było fascynujące! Sytuacja, w której znalazła się bohaterka, jest krańcowo niecodzienna, a ja lubię przecież wyzwania. Olga Soboń była jednym z nich.

Sabina, bohaterka thrillera *Nie zabiłam*, cierpi na zaniki pamięci, ma problemy natury psychicznej i ciężko jej funkcjonować w społeczeństwie. Milena z Domu obok to młoda osoba, która w sytuacji ekstremalnej ze spokojnej

studentki przeradza się w kobietę, która nie cofnie się przed niczym, by ratować życie. Olga jest uparta, odważna i nie daje się łatwo zastraszyć, choć życie z piętnem żony mordercy nie jest łatwe. W jaki sposób konstruujesz sylwetki swoich bohaterek? Co jest dla ciebie najważniejsze przy ich tworzeniu?

Chcę, żeby moje bohaterki były „jakieś". Żeby wzbudzały w Czytelnikach emocje. I wcale nie musi być tak, że od razu wszyscy je pokochają. Niech wkurzają i irytują, niech będą waleczne, niech wzbudzają podziw, niech zasługują na współczucie. Niech część Czytelników się z nimi utożsamia, a część kompletnie ich nie rozumie. Wyrazistość tworzonej postaci jest dla mnie bardzo ważna.

Intryga kryminalna, psychologia postaci czy warstwa medyczna? Na czym skupiasz się najmocniej, planując nową historię?

Stawiam na psychologiczny aspekt powieści. Dlatego też najchętniej określam swoje książki mianem thrillerów psychologicznych, bo sporo – nawet znacząca część – tego, co dzieje się w książce, rozgrywa się w głowach bohaterów. Oczywiście intryga kryminalna jest istotna, nigdy nie zaniedbuję tej sfery, w moich książkach jest całkiem sporo kryminału. Z kolei wątek medyczny to taka wisienka na torcie, dodaje moim książkom pikanterii i wyróżnia je na tle innych.

Ważnym motywem twojej twórczości są wspomniane wątki medyczne. W *Nie zabiłam* pisałaś o nowinkach medycznych i strachu przed ich stosowaniem. W *Domu obok* o tym, co może się wydarzyć, gdy środki tworzone w dobrym celu trafią w złe ręce, a w *Pod dachem z mordercą* o syndromie Łazarza. Skąd medycyna w twoich książkach?

Medycyna fascynowała mnie od zawsze, jako mała dziewczynka powtarzałam, że gdy dorosnę, zostanę lekarką. Tak się nie stało. Ukończyłam za to studia biotechnologiczne na Śląskim Uniwersytecie Medycznym w Katowicach, po czym pracowałam w firmie nanotechnologicznej w Wielkiej Brytanii, gdzie zajmowałam się między innymi rozwijaniem nowoczesnych terapii celowanych w leczeniu nowotworów. W tej chwili nie pracuję już w zawodzie, jednak medycyna i biotechnologia nigdy nie przestały mnie interesować, często podczytuję, co w trawie piszczy.

Wróćmy do syndromu i odruchu Łazarza. To bardzo rzadkie zjawiska. Na czym one polegają i skąd pomysł, żeby wykorzystać je w fabule?

Zacznijmy może od tego, że odruch Łazarza często jest mylony z syndromem Łazarza, a to dwa zupełnie odrębne zjawiska. Odruch Łazarza można zaobserwować stosunkowo często, jest niczym innym jak pośmiertną reakcją ruchową organizmu, która polega na uniesieniu i skrzyżowaniu na piersi kończyn górnych zmarłego, znacznie rzadziej także obracaniu głowy na bok. To działanie nieświadome, bardzo podobne do odruchu kolanowego, kiedy to po uderzeniu młoteczkiem w ścięgno mięśnia czworogłowego uda następuje wyprostowanie nogi w stawie kolanowym. Odruch Łazarza można zaobserwować po odłączeniu pacjenta od aparatury podtrzymującej funkcje życiowe po stwierdzeniu śmierci mózgu. Zwykle odruch poprzedza drżenie rąk i pojawienie się gęsiej skórki, które również tłumaczy fizjologia, ale może zostać przez rodzinę zmarłego niewłaściwie zinterpretowane. Syndrom Łazarza to już zupełnie inne zjawisko, to realny powrót funkcji życiowych po tym, jak doszło do zatrzymania akcji serca i zaprzestano czynności resuscytacyjnych. Opisano kilkadziesiąt

przypadków takiego samoczynnego powrotu krążenia, znamienna większość pacjentów z syndromem Łazarza ostatecznie zmarła, jednak są osoby, które wróciły do pełnej sprawności. Jak tłumaczy się to niecodzienne zjawisko? Między innymi opóźnioną reakcją organizmu na leki podawane podczas reanimacji. Teorii usiłujących wytłumaczyć owe zdarzenia jest więcej, ale w rzeczywistości syndrom Łazarza pozostaje niezgłębioną tajemnicą. I budzi wątpliwości natury etycznej. Skoro nie można przewidzieć jego wystąpienia, to po jakim czasie od zatrzymania akcji serca można stwierdzić zgon? Albo zaprzestać reanimacji? Według danych syndrom Łazarza występuje zwykle do dziesięciu minut po zaprzestaniu resuscytacji, czy zatem te dziesięć minut to prawidłowo postawiona granica? Ilu ludzi przeżyłoby, gdyby wydłużono ją do piętnastu czy dwudziestu minut? W tym miejscu możemy mnożyć pytania. To właśnie one popchnęły mnie do umieszczenia syndromu Łazarza w fabule któregoś z moich thrillerów.

W książce ważną rolę odgrywają badania doktora Cornisha. Możesz powiedzieć o nich coś więcej?

Robert Edward Cornish, amerykański lekarz, biolog i naukowiec, działał w dwudziestym wieku. Poszukiwał skutecznych metod reanimacyjnych, zainicjował własne badania, które prowadził z wielką determinacją. W swoich eksperymentach wykorzystywał psy. Dusił zwierzęta, po czym usiłował przywrócić je do życia. Wstrzykiwał im roztwór na bazie soli fizjologicznej i surowicy zawierający heparynę wraz z adrenaliną, po czym umieszczał w urządzeniu do kołysania ciała, które również sam skonstruował. Według opublikowanych danych Cornishowi się powiodło, u co najmniej dwóch uprzednio uduszonych psów powróciło

krążenie. Inną kwestią jest fakt, że zwierzęta nie odzyskały pełnej sprawności, doszło u nich do upośledzenia szeregu funkcji. Eksperymenty naukowca budziły duże kontrowersje natury etycznej, nagonka medialna i społeczne oburzenie pozbawiły Cornisha uniwersyteckiego wsparcia, a to spowodowało, że zaczął działać na własną rękę. Kontynuował badania, by w 1947 roku ogłosić, że jest w stanie z powodzeniem przywrócić krążenie u człowieka. Cornish potrzebował ochotników do prób na ludziach, co rzecz jasna nie spotkało się z powszechną aprobatą, a pozyskanie ich nie było łatwe. Ostatecznie naukowcowi udało się znaleźć królika doświadczalnego. Thomas McMonigle, więzień skazany na karę śmierci za zabójstwo młodej dziewczyny, zgodził się wziąć udział w eksperymencie Cornisha. Gratyfikacją miały być zwolnienie więźnia z kary i wypuszczenie na wolność, gdy próba zakończy się sukcesem. Do eksperymentu ostatecznie nie doszło, bo po wykonanej egzekucji władze stanu opóźniły wydanie ciała więźnia o godzinę, w wyniku czego wszelkie próby reanimacyjne straciły sens. Po porażce Cornish zrezygnował ze swoich badań. Naukowcowi poświęcono odcinek programu dokumentalnego *Mroczna strona nauki* z 2012 roku. Abstrahując od szaleńczych zapędów Corisha, w tym działań budzących wątpliwości etyczne, trzeba zaznaczyć, że opracował on własną wersję płucoserca, a jego badania miały niemały wpływ na rozwój medycyny, przede wszystkich technik reanimacyjnych.

W *Pod dachem z mordercą* kilkukrotnie przyglądamy się pracy techników kryminalistycznych. Skąd czerpiesz wiedzę na ten temat?

Z wielu źródeł. Zwykle zaczyna się od prostych opisów, które można znaleźć w sieci, a kończy na szperaniu w literaturze

fachowej. Konsultacje z ludźmi z branży to także stały element.

Z jednej strony serwujesz nam dynamiczną akcję, z drugiej – bardzo dbasz o psychologię postaci, dając nam wgląd w emocje i przemyślenia bohaterów. Trudno zachować tę równowagę?

Z mojej perspektywy to potwornie trudne zadanie, może nawet najtrudniejsze w całym procesie tworzenia książki. Wszystko dlatego, że warstwa psychologiczna jest dla mnie najważniejsza i zawsze stawiam ją na pierwszym miejscu, a zbudowanie pełnego portretu psychologicznego bohatera niestety nie sprzyja dynamicznej akcji. Zachowanie równowagi pomiędzy tymi dwoma rozbieżnymi elementami nieraz nastręcza kłopotów i trzeba się sporo napocić, żeby wyszło dobrze. Interesująco i z napięciem, za które tak kochamy thrillery. Często tutaj z pomocą przychodzą redaktorki, kilka czasem drobnych uwag w odpowiednim momencie fabuły potrafi zdziałać cuda.

W jaki sposób pracujesz nad budową fabuły? Czy masz wszystko wcześniej rozplanowane? Czy płyniesz za bohaterami?

Gdy zaczynam pisać nową książkę, w głowie mam ogólny zarys tego, co chcę, żeby się w historii wydarzyło. Głównych bohaterów, intrygę kryminalną i wątek medyczny, który ma się w to wszystko wkomponować. Szczegóły fabuły wychodzą w czasie, bywa, że skręca ona w zupełnie nieznane mi rejony, ale zwykle nie walczę z tym. Pozwalam, żeby to bohaterowie mnie prowadzili.

Czy od początku pisania tej historii wiedziałaś, kto porywał pacjentów Epione? A może w trakcie pisania zmieniłaś swoje

początkowe założenia?

W tej historii wszystko wywróciło się do góry nogami, gdy przyszedł mi do głowy pomysł na sprytny i, trzeba dodać, skrajnie okrutny kamuflaż sprawcy. Nie mogłam z tego zrezygnować, więc trzeba było nieco inaczej pokierować fabułą. Myślę, że finalnie dobrze zrobiło to powieści.

Olga uważnie śledzi wiadomości dotyczące sprawy zaginięcia pacjentów szpitalu Epione w telewizji. Czy pisząc książkę, inspirowałaś się jakąś prawdziwą sprawą, o której było głośno w mediach?

Nie, ale zawsze chciałam napisać książkę, w której główna bohaterka czy bohater znajdzie się na świeczniku mediów. Oglądam sporo reportaży, te zwykle koncentrują się na sprawcy i ofierze, co jest w pełni zrozumiałe, ja jednak przyglądam się postaciom pobocznym. Bliskim ofiar, rodzinie sprawców. Zastanawiam się, jak te osoby radzą sobie z sytuacją, w której się znalazły. Jak wygląda ich rzeczywistość, z czym na co dzień muszą się mierzyć.

Akcję książki osadziłaś w okolicach, w których mieszkasz. Skąd taki pomysł?

Lubię osadzać fabułę w miejscach, które są mi w jakimś stopniu znane. Byliśmy już na Górnym Śląsku, gdzie studiowałam, w Dębicy i okolicach, skąd pochodzę, teraz przyszedł czas na Kraków, do którego się przeprowadziłam. Myślę, że takie podejście dodaje książce autentyczności.

Co w procesie pisania sprawia ci największą frajdę, a który etap najchętniej byś pominęła?

Największą frajdę sprawia mi, gdy udaje się połączyć wszystkie wątki w całość. Kiedy fabuła się rozbudowuje, a bohaterowie wymykają się spod kontroli, może zrobić się naprawdę niezły bajzel. Trzeba go okiełznać, oczywiście zachowując założenia, które obrało się na początku drogi. To niebywale satysfakcjonujące, gdy udaje się wszystko razem spiąć. Który etap tworzenia powieści bym pominęła? Chyba żaden, ja naprawdę lubię pisać! :)

CZY ODWAŻYSZ SIĘ POZNAĆ JEGO TAJEMNICE?

Chciała zrobić im niespodziankę. Dlatego nie mówiła, że przyjeżdża. Jednak Milena nie zastała w domu ani rodziców, ani nastoletniej siostry, Laury. By dostać się do ogródka, gdzie spodziewa się znaleźć klucz do drzwi, prosi o pomoc sąsiadów, rodzinę Nowickich. Tę samą, która jakiś czas temu była zamieszana w zaginięcie młodego chłopaka.

Milena budzi się w zamkniętym pokoju. Pamięta niewiele. Brak klucza, rozładowany telefon, zgubiony pierścionek, noc u Nowickich i drogę na parking. Później nie ma już nic.

Tak zaczyna się koszmar dziewczyny więzionej przez człowieka, który podda ją niewyobrażalnym torturom. Jaki ma cel? I czy Laurze uda się odnaleźć siostrę, nim ta wyda z siebie ostatni krzyk?

W „Domu obok" kryje się zło. Bo nawet to, co stworzone z dobrych pobudek, w nieodpowiednich rękach może siać ból, zniszczenie i śmierć.

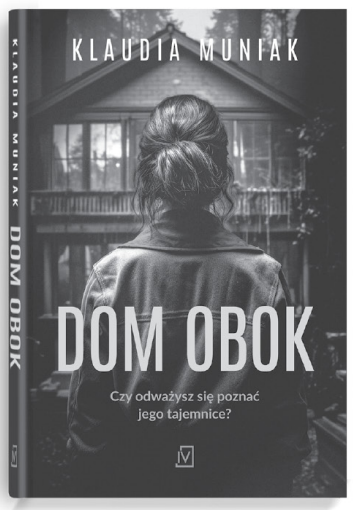

Mocny, przeszywający thriller. Przerażające studium ludzkiego okrucieństwa. Ile bólu zdołasz znieść, nie tracąc przy tym woli walki oraz zdrowych zmysłów? Odwiedź Dom obok *i poznaj odpowiedź na to pytanie.*

Hanna Greń

Twierdzi, że nie zabiła. Ale przecież już raz popełniła zbrodnię.

Trzydziestoczteroletnia Sabina Gancarek miała trudne dzieciństwo, a teraz przeżywa równie niełatwą dorosłość. Kiepsko odnajduje się wśród ludzi, nie ma rodziny, niedawno straciła pracę, a zaburzenia depresyjno-lękowe próbuje opanować za pomocą leku, który dopiero niedawno wszedł do użycia. Z uwagi na możliwe efekty uboczne zażywający go pacjenci pozostają pod obserwacją.
Gdy w wyniku brutalnego morderstwa ginie kobieta odpowiedzialna za zwolnienie Sabiny z pracy, bohaterka trafia na celownik policji. W odsunięciu od siebie podejrzeń nie pomaga jej fakt, że nie pamięta, co robiła w noc morderstwa.
Czy terapia, której poddała się Sabina, mogła obudzić mroczną część jej natury? Gdzie była w noc morderstwa i gdzie będzie, gdy… dojdzie do następnego?
Klaudia Muniak nie boi się trudnych tematów. W „Nie zabiłam" opowiada o lęku wobec nowinek medycznych i o tym, jak wychowanie w przemocowej rodzinie wpływa na dalsze życie. To thriller, którego czytanie wywołuje jeden skutek uboczny – sprawia że wszystko inne schodzi na drugi plan.

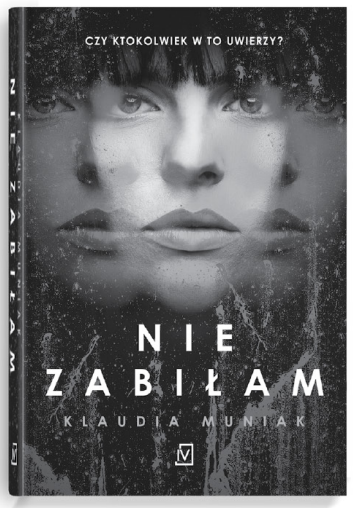

Zagadka, misterna aura, sączące się napięcie.
Nie zabiłam *to thriller kompletny, całkowicie wciągający w swój skomplikowany świat. Czy pamięcią można manipulować? Co jest prawdą, a co iluzją? Nie zmrużycie oka, nim nie zbierzecie w całość tej mistrzowsko porozrzucanej układanki.*

Małgorzata Oliwia Sobczak

MAM
KRYMINALNY
CHARAKTER

Jeśli masz go i ty, koniecznie sięgnij po nasze kryminały i thrillery.

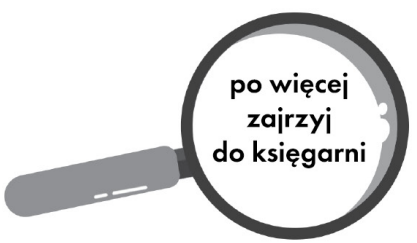

www.wydajenamsie.pl